

Tom Clancy

ZWIADŃCZY



ŚMIERCIONOŚNA GRA

Przy współpracy Steve'a Pieczonika

TOM CLANCY
PRZY WSPÓLPRACY STEVE'A PIECZENIKA
ŚMIERCIONOŚNA GRA

CYKL: ZWIADOWCY TOM 2

TŁUMACZYŁA ANNA ZDZIEMBORSKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: TOM CLANCY'S NET FORCE EXPLORERS: THE DEADLIEST GAME

Copyright © 2000 by Netco Partners

Redaktor Andrzej Kamiński

Skład i łamanie

Wydawnictwo Adamski i Bieliński, Andrzej Pytka

Projekt graficzny okładki Klaudiusz Majkowski

For the Polish edition

Copyright © 2000 by Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Wydanie pierwsze

ISBN 83-87454-59-1

Powieści Toma Clancy'ego w Wydawnictwie AiB

Patrioci:

Polowanie na „Czerwony Październik”

Kardynał z Kremla

Stan zagrożenia

Suma wszystkich strachów

Dług honorowy

Dekret

Tęcza sześć

Bez skrupułów

Czerwony Sztorm

w przygotowaniu

Niedźwiedź i Smok

Centrum:

Centrum

Zwierciadło

Racja stanu
Casus belli
Równowaga
Oblężenie

Net Force:

Net Force
Akta
Kwant

Zwiadowcy:

Wandale
Śmiercionośna gra

w przygotowaniu
Cyberszpieg

Podziękowania

Pragniemy podziękować następującym osobom, bez których napisanie tej książki byłoby niemożliwe: Dianie Duane, za pomoc w dopracowywaniu rękopisu; Martinowi H. Greenbergowi, Larry'emu Segriffowi, Denise Little i Johnowi Helfersowi z Tekno Books; Mitchellowi Rubinsteinowi i Laurie Silvers z BIG Entertainment; Tomowi Colganowi z Penguin Putnam Inc.; Robertowi Youdelmanowi, Esquire; i Tomowi Mallonowi, Esquire; oraz Robertowi Gottliebowi z William Morris Agency, agentowi i przyjacielowi. Doceniamy waszą pomoc.

* * *

Prolog
Waszyngton, Dystrykt Columbia
marzec 2025

W dzisiejszych czasach pokój bez okien, taki jak ten, można znaleźć w każdym z tysięcy budynków, w których mieszczą się różne firmy, ponieważ świat stał się wirtualny i dowolnie wybrana ściana może na życzenie użytkownika pełnić funkcję okna. Jednak ludzie znajdujący się w tym konkretnym pomieszczeniu nie mieli najmniejszej ochoty na ujrzenie w nim chociażby namiastki okna. Niewykluczone, że odnosili się z niechęcią do samego pojęcia okna, ponieważ nieodłącznie kojarzy się ono zarówno z wyglądem na zewnątrz, jak i zagładaniem do środka. Ściany w pokoju pozbawionym mebli były nieprzeniknione, chociaż równomiernie emitowały chłodne światło, padające na duży, czarny i błyszczący stół, usytuowany na środku oraz na pięciu siedzących przy nim mężczyzn.

Byli Garniturami. Kłapy oraz krawaty niektórych były nieznacznie węższe lub szersze od innych, jednak tylko ledwo zauważalne różnice wieku czy preferencji w ubieraniu w jakiś sposób odróżniały ich od siebie nawzajem.

Poza tym ich krawaty miały stonowane kolory, koszule zaś były białe albo pastelowe, ale zawsze gładkie. Prawie pod każdym względem mężczyźni sprawiali nijakie wrażenie i traktowali tę nijakość jak przebranie. Stanowili jednolitą grupę.

- Więc kiedy to będzie gotowe? - spytał człowiek siedzący pośrodku.

- Już jest gotowe - odpowiedział mu ostatni po lewej, dość młody mężczyzna o włosach i oczach stalowego koloru. - Urządzenia sterujące zostały zainstalowane ponad osiemnaście miesięcy temu i od tego czasu umacniamy ich pozycje oraz przygotowujemy do działania w trybie maksymalnej interwencji.

- I nikt niczego nie podejrzewa?

- Nikt. Mamy zerową tolerancję przecieków... co nie znaczy, że ewentualny przeciek stanowiłby jakiś problem. Środowisko jest z założenia tak chaotyczne, że człowiek mógłby tam zrzucić bombę atomową i spowodowałby ogólną rozpacz i obrzucanie się nawzajem oskarżeniami, nie doczekałby się natomiast żadnego wiarygodnego oszacowania strat.

Młodo wyglądający mężczyzna wydał z siebie pogardliwe parsknięcie. - Nikt tam zresztą nie jest zainteresowany analizowaniem czegokolwiek. Całe tło ma za zadanie dostarczać emocji i „doświadczenia”. Nawet kiedy program zacznie działać, zorientują się co się dzieje, kiedy już będzie za późno.

Mężczyzna siedzący pośrodku odwrócił się do jednego z dwóch zajmujących miejsce po jego

lewej, starszego mężczyzny o głęboko pomarszczonej twarzy i potarganych blond włosach, które zaczęły się już pokrywać siwizną. - A co z ludźmi z działu finansowego? Są gotowi?

Mężczyzna ze srebrzystą czupryną kiwnął głową. - Już wiele miesięcy temu ustalili punkt maksymalnych zysków. Wszystkie przewidywania pokrywają się z wynikami ze świata rzeczywistego... jeśli „rzeczywisty” to odpowiednie słowo. Możemy zatrzęsnać światem, co do tego nie ma wątpliwości. Wystarczy wcisnąć guzik. Teraz musimy tylko zająć odpowiednie pozycje.

Mężczyzna w centrum kiwnął głową. - W porządku. Dwie pańskie sekcje będą musiały ściśle ze sobą współpracować na tym polu. To zresztą dla was nic nowego. Upewnijcie się, że wybieriecie właściwy „punkt”... a kiedy zaczniecie działać, nie oszczędzajcie się. Chcę, żebyście wszystko przewrócili do góry nogami. Wielu ludzi będzie obserwować ten pokaz i za fundusze, które w to wpakowali, będą się spodziewali czegoś spektakularnego. O, przepraszam. Chciałem powiedzieć „zainwestowali na boku” - pozostali się uśmiechnęli - „licząc na możliwie najlepsze wyniki”. Upewnijcie się ponad wszelką wątpliwość, że końcowy wynik gry zgadza się z modelowym. Nie życzę sobie potem żadnych głodnych kawałków o „spornych rezultatach”.

Dwaj mężczyźni, do których skierował swoją wypowiedź, pokiwali głowami.

- No, dobrze - powiedział człowiek siedzący pośrodku. - Lunch z ludźmi Tokagawy jemy o wpół do drugiej. Nie spóźnijcie się. Musimy zaprezentować się jako solidarna grupa, a sami wiecie do jakiego stopnia ten mały żaloszny człowieczek zwraca uwagę na formy towarzyskie.

- Jeśli to się uda - powiedział mężczyzna, do którego ani razu nie zwrócił się człowiek siedzący pośrodku - nie będziemy już musieli zawracać sobie głowy formami towarzyskimi. To on będzie zmuszony do wzmożenia czujności.

Mężczyzna zajmujący centralne miejsce zwrócił głowę w jego kierunku z taką precyzją, z jaką mechanizm naprowadzający działa odnajdując swój cel.

- Jeśli? - zapytał.

Drugi mężczyzna poblądł nieznacznie na twarzy i spuścił wzrok.

Mężczyzna siedzący pośrodku popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym wstał. Inni zrobili to samo.

- Samochód przyjedzie tu pięć po pierwszej - powiedział. - Zabierajmy się do pracy.

Mężczyzna, który zbladł, opuścił pomieszczenie jako pierwszy. Zaraz za nim wyszedł ten, który nie odezwał się przez całe spotkanie. Młody mężczyzna, o włosach stalowego koloru, spojrzał przelotnie na człowieka zajmującego centralne miejsce, po czym również opuścił pomieszczenie. Drzwi się zamknęły.

Mężczyzna zajmujący miejsce pośrodku roześmiał się cicho - Bomba atomowa, mówisz? - powiedział. - To mogłoby być zabawne.

Mężczyzna o srebrzarych włosach przybrał lekko szydery wyraz twarzy i skierował się do wyjścia. - Cóż - powiedział - szczerze mówiąc, ja bym się nie przejmował. Oni pewnie i tak pomyśleliby, że to czary...

Bród rzeki Artel, Talair, wirtualne Królestwo Saraos

113. zielonego miesiąca roku deszczowego smoka

Okolica śmierdziała tak, jakby niedaleko zalegała hałda padliny. To właśnie przyszło Shelowi do głowy, kiedy odchylił płachtę namiotu i wyrzwał na tereny zalane promieniami zachodzącego słońca.

Spojrzał znużony na rdzawe, tonące już w cieniu lasy sosnowe, pola położone na zboczach oraz na brzeg rzeki, który dzisiaj w południe stał się polem bitwy. I nagle na kilka magicznych chwil to miejsce wyglądało jak marzenie wojownika: zwarte szeregi wojska, połyskujące włócznie, chorągwie powiewające na porywistym wietrze i surmy bojowe wygrywające buńczuczne sygnały, niesione przez rzekę oddzielającą jego siły od sił Delmonda. Delmond nadciągnął nad rzekę z dwoma tysiącami konnicy i trzema tysiącami piechoty, po czym wysłał na drugi brzeg Azure Alaunta - swojego herolda, z typową dla niego arogancją, a raczej arogancją, z której zaczął słynać, podporządkowując sobie pomniejszych królestwa Sarxos. Tradycyjne uprzejmości, które zazwyczaj wymieniają między sobą dowódcy przeciwnych armii, tym razem nie miały miejsca. Nie doszło do propozycji pojedynku, żeby oszczędzić nieuniknionego rozlewu krwi swoich żołnierzy. Nie pojawiła się nawet powszechnie stosowana i rozsądna sugestia, żeby kwatermistrzowie obu armii spotkali się i omówili możliwość wykupienia przez jedną ze stron kontraktów najemników drugiej armii, przez co nie raz bitwa okazywała się niepotrzebna, jeśli na skutek takiego posunięcia siła jednej ze stron nagle ulegała podwojeniu, a drugiej zmniejszała się o połowę. Nie, Delmond chciał zająć należący do Shela niewielki kraik Talair, leżący po drugiej stronie rzeki Artel; co więcej, pragnął walki - tego popołudnia chciał poczuć zapach krwi i usłyszeć dźwięk trąb.

Shel postanowił, że spełni jego życzenie.

Nie było sensu kryć zadowolenia. Posunięcia taktyczne Delmonda zakrawały na kpinę - żadnych zwiadowców ani próby wcześniejszego zajęcia pola bitwy. Najzwyczajniej w świecie pomaszerował Północną Drogą do Rzeki Artel, ignorując niebezpieczeństwo i po krótkim postoju, który wykorzystał na wysłanie bezczelnego wyzwania wojskom rozlokowanym po drugiej stronie rzeki, Delmond na czele swoich sił pokonał bród i skierował się na lekkie trawiaste wzniesienie na przeciwległym brzegu rzeki, jakby nie miał najmniejszych powodów do obaw przed atakowaniem szczytu wzgórza i czekającej tam nieprzyjacielskiej konnicy.

Delmond szedł w kierunku Minsaru, małego miasteczka położonego o jakieś trzy kilometry od brodu. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że bez trudu poradzi sobie z połączonymi siłami pięćsetosobowej konnicy i dwóch tysięcy piechoty, które Shel rozlokował na drodze pomiędzy rzeką a Minsarem, tym bardziej że sądząc po braku poradców dowódcy przy wielkiej chorągwi sił Talairu, Shel im nie towarzyszył.

Ale Artel to stara rzeka, kręta i wijąca się pomiędzy łagodnymi sosnowymi stokami. Doświadczony wędrowiec znał wiele sekretów tych wzgórz. Po wzgórzach oplecionych korytem rzeki przebiegało wiele ukrytych ścieżek i dróg, tras myśliwskich i przejść, wykorzystywanych w grze... i były one dobrze zamaskowane grubymi gałęziami oraz sosnami i świerkami. Podłoże pod drzewami pokrywała szczelnie warstwa suchego igliwia tłumiącego wszelkie odgłosy.

Dlatego też, kiedy siły Delmonda znajdowały się w połowie drogi przez rzekę - najpierw konnica, a za nimi piechota, i kiedy konnica prawie od niechcenia rozpoczęła potyczkę z konnicą Talairu na wzgórzu - ku ich zupełnemu zaskoczeniu Shel i ośmiuset jego jeźdźców zaatakowało z

okolicznych wzgórz po obu stronach rzeki i uderzyło wojska Delmonda z obu flank.

Konnica Delmonda, która częściowo tkwiła jeszcze po stronie Minsaru albo usiłowała dopiero wydostać się na brzeg, została wepchnięta w muł, trzciny i turzyce, i tam zdziesiątkowana przez halabardników Shela. Piechota Delmonda, zgodnie z przewidywaniami, rozsądnie chciała wziąć nogi za pas, ale ponieważ nie miała dokąd, kawaleria z Talairu pod wodzą Shela, stojącego na czele jednego z czterech oddziałów, które zaatakowały z kryjówek w sosnowym lesie, otoczyła piechotę Delmonda i zaczęła zbierać krwawe żniwo. Nie upłynęło wiele czasu zanim bitwa dobiegła końca.

Powyższy opis sugerowałby, że nie było w tym nic trudnego, ale to nieprawda. W rzeczywistości zwycięstwo kosztowało Shela długie godziny, poczynając od świtu, które spędził na rozlokowywaniu swoich sił na wzgórzach w absolutnej ciszy, modląc się w duchu, żeby poranna mgła nie podniosła się, zanim jego ludzie dobrze się nie ukryją. Należałoby również wspomnieć o paskudnie niskiej temperaturze pod drzewami, która sprawiała, że z ust wydobywał się biały obłoczek, a zęby szczękały o siebie. Po kilku godzinach chłód ustąpił miejsca obezwładniającemu upałowi, nietypowemu dla wiosennego dnia. Do tego dochodziło kąsanie owadów, klujące szpilki sosnowe i świerkowe pod kolczugą i tuniką Shela, które doprowadzały go do szaleństwa oraz konieczność czołgania się z pozycji na pozycję, żeby się upewnić, że jego ludzie znajdują się tam, gdzie trzeba i powiedzieć im kilka starannie dobranych słów podnoszących na duchu, podczas gdy on sam potrzebował otuchy, ale nie śmiał tego po sobie pokazać.

Powyższy opis nie mógłby ponadto pominąć potężnej fali strachu, która go oblała, kiedy usłyszał beczelny odgłos trąb nadbiegający z drogi po drugiej stronie rzeki i zbliżający się do brodu. Oczekiwanie zmieszane z przerażeniem na myśl, że Delmond wciąż może wysłać zwiadowców w głąb sosnowego lasu ustąpiło miejsca uldze i wściekłości na Delmonda, który nic takiego nie zrobił. Dzięki ci, Rod, za małe akty łaski, pomyślał Shel i dodał w myślach rozzłoszczony: Za jakiego generała, do cholery, on mnie uważa? Pokażę temu sukin...

Wtedy dopadł go ostatni atak strachu, ponieważ wojska Delmonda pokonywały rzekę brodem, nie przestając dąć z całych sił w surmy.

Wydaje mu się, że to parada w Dzień Pamięci Poległych... Zobaczymy, kto go będzie potrzebował za kilka godzin!

Wojska Delmonda dotarły do końca brodu, w miejsce, gdzie czekały na nich oddziały Shela, pod dowództwem młodej i oddanej porucznik o imieniu Alla, która otrzymała tylko jeden rozkaz: „Nie pozwólcie im przejść! Trzymajcie się!”

Trzymali się. Bitwa była tuż-tuż. Musieli trwać na swoich stanowiskach, a potem walczyć samotnie wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że cała kawaleria Delmonda połknęła haczyk i przez rzekę przedostała się na niekorzystne z punktu widzenia taktyki podnóże wzgórze. Gdyby któryś z nich zamarudził na przeciwległym brzegu rzeki, cały starannie opracowany taktyczny plan Shela diabli by wzięli. Na razie koncepcja walki jego przeciwnika była aż za prymitywna. Kilka zwycięstw nad nieostrożnymi albo pechowymi przeciwnikami przekonała Delmonda o jego umiejętnościach strategicznych i taktycznych, chociaż Shel wiedział, że w świecie realnym Delmond nie posiada zdolności w żadnej z tych sztuk. Teraz wystarczy tylko sprowokować go do rozpoczęcia walki, która w jego mniemaniu przyniesie mu szybkie zwycięstwo i skusić go, żeby wykonał łatwy do przewidzenia manewr. Delmond dał się nabrać... ale nawet wtedy Shel przeżył kilka kolejnych minut w strachu i niepewności, kiedy jego niewielkie siły na drugim brzegu rzeki stawiały czoło pierwszej szarży Delmonda.

Dopiero wtedy Shel w towarzystwie starannie wyselekcjonowanych jeźdźców, mógł wskoczyć na konia, dać sygnał do ataku i poprowadzić ich ze wzgórz przy dźwięku kamieni roztrzącanych końskimi kopytami. Otoczyli piechotę Delmonda na otwartym terenie od prawej do lewej, a jego podzieloną konnicę z tyłu i z obu stron. Na brzegu po stronie Minsaru rozległy się komendy - „Do Shela! Do Shela!” - a wtedy niepokój jego ludzi natychmiast ustąpił miejsca szalonej woli walki i z triumfalnymi okrzykami zaczęli pokonywać rzekę, podczas gdy Shel i jego jeźdźcy torowali sobie ku nim drogę.

Najgorsze mieli za sobą już pół godziny później, chociaż oczyszczanie pola bitwy przeciągnęło się jak zwykle do zachodu słońca... co nie oznacza wcale, że o tej porze pole było już czyste. Niedobitków zebrano w jednym miejscu i rozbrojono, w każdym razie wszystkich, których udało się odnaleźć. Rannych trzeba było przynieść. Tych, których prawdopodobnie ktoś będzie chciał wykupić - jeśli udało się ich zlokalizować, ponieważ wszyscy się maskowali - odizolowano, wyceniono i po odebraniu im pieniężnych poręczeń, warunkowo zwolniono. Shel musiał to wszystko nadzorować i z każdą chwilą czuł się coraz bardziej zmęczony.

Wreszcie się uporał ze wszystkim z wyjątkiem najważniejszej sprawy, będącej powodem tej bitwy: rozprawienia się z Delmondem. Shel nie wybiegał tak daleko myślami i nadal nie mógł wyjść ze zdumienia, że Delmond dał się nabrać na jego manewr taktyczny. Lecz, z drugiej strony, Szwajcarzy też byli zdziwieni, kiedy Austriacy wpadli w podobną pułapkę pod Morgarten. Delmond nigdy za wiele nie czytał, przez co skazany był na powtarzanie słynnych wojskowych błędów popełnianych przez wieki. Osobiście Shel był zdania, że Delmond dostał to, na co zasłużył.

Trąby wygrywały zmęczoną wersję sygnału, wzywającego do zabrania rannych z pola walki, informując, że osoby cywilne - mężowie i żony zabitych, którzy podążali za siłami obu walczących stron - mogą bezpiecznie odebrać ciała swoich bliskich. Shel po raz ostatni obrzucił spojrzeniem pole bitwy, które coraz gęściej pokrywała różowawa mgła, wznosząca się znad rzeki Artel i niepostrzeżenie otulająca okolice, litościwie zasłaniając leżące tam zwłoki. Po chwili Shel opuścił płachtę namiotu, usiadł na rozkładanym krześle przy stole zarzuconym mapami i odetchnął głęboko.

Zanim kilka lat temu stoczył swoją pierwszą potyczkę w Sarxos, miał konkretne wyobrażenie krajobrazu po bitwie: jego sztandar dumnie powiewający nad polem walki, a sztandar nieprzyjaciela zdeptany w kurzu na ziemi. Wraz z doświadczeniem, które przyszło po zwycięskich i przegranych bitwach, wiedział już, że na takim polu walki trudno byłoby znaleźć choćby odrobinę kurzu. Jeszcze dziś rano, zalany słońcem łagodny stok wzgórz prowadzący do brodu, był rozległym trawiastym terenem upstrzonym stadami owiec i białymi stokrotkami oraz małymi żółtymi pąkami nicnieśzkódek. Teraz jednak stok, stratowany dwudziestoma tysiącami końskich kopyt i dziesięcioma tysiącami stóp, zmienił się w bagno. Czerwone bagno z obrzydliwą uporczywością przyklejające się do podeszew. Sztandar jego przeciwnika najprawdopodobniej był w to bagno dokładnie wdeptany i upodobił się do mokrej szmaty, której nie dałoby się odróżnić od przewróconego namiotu albo płaszcza jakiegoś zaściankowego szlachcica, zrzuconego przez niego w pośpiechu, w obawie przed pojmaniem go w zamian za sowity okup.

Nic też dziwnego, że mężowie, żony i inni krewni poległych zawsze pojawiali się od razu po zakończeniu bitwy albo przynajmniej przed zapadnięciem zmierzchu, żeby poprosić o pozwolenie na odszukanie ciała bliskiej osoby. Wiedzieli z bolesnych doświadczeń, jak zacnie cuchnąć to miejsce, kiedy tylko wszędzie słońce i zacnie grzać. Shel do tego czasu zamierzał być już daleko stąd. Nawet teraz namiot nie chronił go przed smrodem z pola bitwy - smrodem rozdeptanych wnętrzności. Taki

los spotykał najczęściej młodych, dzielnych rycerzy, po raz pierwszy biorących udział w bitwie. Mówi się, że wojna to piekło, ale Shel w tym momencie miał ochotę ująć tę myśl w mocniejszych słowach. Wolałby nawet swąd siarki od zapachu, który obecnie dominował w powietrzu.

- To tylko gra - powiedział do siebie... i skrzywił się. Twórca tej gry, ostrożny i dokładny rzemieślnik, wykonał swoją pracę zbyt pedantycznie, żeby można ją było zbyć pustymi słowami. W żaden sposób nie dało się uniknąć konsekwencji własnych działań. Powietrze zbliżającego się wieczoru powinno słodko pachnąć, ale nie pachnie. Oczywiście później, kiedy Shel wróci do Minsaru, odbędzie się wielkie świętowanie jego zwycięstwa, tłumne spotkanie z bohaterami, którzy przyczynili się do sukcesu.

Będą powiewać sztandary, grać trąbki, a bardowie zaśpiewają pochwalne pieśni... ale nie tutaj. Tego miejsca nikt nie wyczyści tak dobrze, jak robi to Matka Natura, a nawet jej zajmie to kilka miesięcy. I chociaż niebawem zbrocze porośnię trawą i zakwitną stokrotki, to owce jeszcze przez wiele lat będą musiały okręzać miecze, groty strzał i splamione krwią kości poległych. Za to późno-jesienna trawa będzie gęsta i soczysta. Krew to doskonały nawóz...

Podniosła się płachta wejściowa. Do namiotu zajrzał Talch, jeden ze strażników Shela i jego stary towarzysz broni. Shel spojrzał na niego.

- Kiedy chce się pan z nim zobaczyć, sir? - spytał Talch. Był to jeździec słusznej budowy, poplamiony po całodniowej walce błotem, krwią i sam Rod wie czym jeszcze. Cuchnął okropnie, ale Shel w niczym mu nie ustępował, podobnie jak wszyscy znajdujący się w obrębie półtora kilometra od pola bitwy.

- Za jakieś dwadzieścia minut - powiedział Shel, sięgając po kufel z sycącym miodem. - Pozwól, że najpierw podniosę sobie poziom cukru we krwi. Mówił coś?

- Ani słowa.

Shel uniósł brwi, zaniepokojony. Delmond znany był ze swojego upodobania do buńczucznych deklaracji, nawet kiedy przegrywał, tak długo, jak długo miał nadzieję na wyjście z opresji cało. - To dobrze. Jadłeś coś?

- Jeszcze nie. Nick był na polowaniu. Upolował sarnę -teraz ją oprawiają. Ale nikt raczej nie ma ochoty tutaj nic jeść...

- I mają rację. My też nie będziemy. Wyślij kogoś w stronę Minsaru, niech rozpalą ogniska przed murami. Dziś tam będziemy nocować. I powiedz Alli, że teraz wysłucham jej raportu.

Talch kiwnął głową i opuścił klapę. Shel popatrzył na nią i po raz kolejny zapytał sam siebie w duchu, czy Talch jest graczem, czy sztucznym tworem, jednym z wielu „statystów” wchodzących w skład personelu gry. Było ich mnóstwo, ponieważ większość ludzi wolała grać role bardziej interesujące od strażników, czy ludzi podążających za obozowiskami; ale człowiek nigdy nie miał całkowitej pewności. Jeden z największych generałów dwudziestodwuletniej historii Sarxos, Alainde, spędził blisko dwa lata jako praczek w służbie Wielkiego Księcia Erbina, zanim zaczął się szybko wspinać po szczeblach kariery wojskowej. W każdym razie etykieta Sarxos wykluczała

zadanie bezpośredniego pytania: „Czy jesteś graczem?”. Wtedy „czar by prysł”.

Jeśli gracz decydował się przed tobą ujawnić, to co innego. Wtedy dziękowałeś mu za pokładane w tobie zaufanie. Ale dziesiątki tysięcy graczy w Sarxos wolały pozostać anonimowymi i nie zdradzać ani swoich nazwisk, ani profesji. Odwiedzali Wirtualne Królestwo, żeby uprzyjemnić sobie wieczór. Niektórzy rzadziej, inni - jak Shel - codziennie odwiedzali to miejsce w konkretnym celu - dla rozrywki, dreszczyku emocji, przygody, zemsty, władzy lub jedynie ucieczki od świata rzeczywistego, który czasem zbyt mocno daje w kość.

Shel pociągnął duży łyk miodu, rozsiadł się wygodnie i oddał rozmyśleniom, przerwanych jedynie po to, żeby się otrząpać i podrapać. Wciąż te sosnowe igły pod tuniką... miną dni, zanim wszystkich się pozbędzie. Stanowczo wolałby odłożyć resztę zajęć na następny ranek, ale trudno było przewidzieć jakim podstępem posłużyłby się Delmond, gdyby dysponował odpowiednio długim czasem. Mimo iż Shel zajmował obecnie silną pozycję, nie mógł lekceważyć faktu, że Delmond cieszył się reputacją szczwanego lisa. Jego matka - Tarasp ze Wzgórz - była czarodziejką mniejszego kalibru, która nigdy nie opowiadała się zdecydowanie po żadnej stronie i bez ostrzeżenia zawierała sojusze raz z siłami Światła, a innym razem z siłami Ciemności. Po niej Delmond odziedziczył ograniczoną umiejętność zmieniania postaci i niebezpieczną cechę zmieniania nastroju, przez co potrafił podpisywać z tobą pokój jedną ręką, a w drugiej trzymać nóż przeznaczony dla twojego brzucha, ukryty za pomocą zaklęcia. Raz nawet próbował wprowadzić w życie ten plan w namiocie człowieka, który pokonał go w walce. Istnieli gracze podziwiający ten rodzaj taktyki, ale Shel do nich nie należał i nie miał zamiaru paść jej ofiarą.

Na razie Shel nie przejmował się za bardzo wizją zamachu na jego życie. Oparty o maszt namiotowy stał jego nagi miecz o klindze szerokiej na półtorej dłoni. Z pozoru bardzo proste narzędzie z szarej stali z lekko niebieskawym połyskiem. Różnie go nazywano, podobnie jak większość mieczy w Sarxos - przynajmniej tych, które były coś warte. Ten miecz ludzie w okolicy nazywali Wycem (albo Wrzaskunem). Szczycił się paskudną reputacją i znany był z tego, że potrafi chronić swojego mistrza, nawet gdy ten nie trzyma go w rękach. Niewielu słyszało wycie tego miecza i przeżyło, żeby o tym opowiedzieć.

Shel podniósł głowę, słysząc na zewnątrz czyjeś kroki i narzekania, a potem zapalczywe przekleństwa po elsterńsku.

- Talch?

Po chwili jego strażnik wetknął głowę do namiotu.

- Nasz chłopczyk zaczyna się niecierpliwić? - spytał Shel.

Jego strażnik uśmiechnął się szyderczo i powiedział: - Zdaje się, że urażiliśmy jego dumę nie przydzielając mu osobnego namiotu.

- Powinien się uważać za szczęściarza, że ucierpiała tylko jego duma.

- Myślę, że większość ludzi z obozowiska podzieliłaby tę opinię. Na razie Alla czeka na widzenie.

- Niech wejdzie.

- Dobrze, sir.

Kłapa od namiotu opadła i zaraz znów się uniosła. Weszła Alla, przy każdym ruchu cicho pobrząkując kolczugą noszoną na długiej tunice zrobionej z jeleniej skóry. Serce Shela mocniej zabiło, co ostatnio często mu się zdarzało, kiedy widział ją po zakończeniu bitwy. Była walkirią - nie dosłownie, ale pod względem budowy ciała: duża, silna, ale nie przesadnie umięśniona, z olśniewającymi blond włosami i twarzą, której wyraz potrafił w kilka sekund zmienić się z przyjacielskiego w morderczy... właśnie na polu bitwy. Ona również zaliczała się do tej grupy ludzi z Sarxos, którzy wzbudzali największą ciekawość Shela. Czy istnieje naprawdę po obu stronach interfejsu, czy tylko tutaj? I tym razem nie mógł zapytać, chociaż w przypadku Alli w grę wchodziła raczej nieśmiałość Shela niż etykieta. Byłby nieszczęśliwy, dowiedziawszy się, że Alla nie istnieje w świecie rzeczywistym. Natomiast, gdyby się okazało, że to prawdziwa osoba, natychmiast zadałby sobie pytanie: I co z tym zrobisz? Na razie zostawało bez odpowiedzi. Ale któregoś dnia, pomyślał, któregoś dnia, znajdzie sposób, żeby rozwiązać tę zagadkę... krok po kroku. A jeśli ona zdecyduje się cokolwiek wyjawiać, wtedy...

- Jak się czujesz? - spytał ją Shel. - Byłaś u cyrulika?

Usiadła i zrobiła minę, świadczącą o tym, że właściwie nie było powodu. - Tak... zaszył mi ranę na nodze. Szybko się z tym uporał. Mówi, że do jutra się zagoi. Zastosował jedno z tych swoich trwałych zakłęb. A ty? Doprowadziłeś już system do porządku?

- Litości - powiedział Shel. - To mi zajmie tydzień albo dłużej. Nie znoszę bitew.

Alla przewróciła oczami. - Nic dziwnego... tyle ich już przeprowadziłeś. Chcesz teraz poznać liczby?

- Tak.

- Nasze siły: stu dziewięćdziesięciu sześciu zabitych, trzystu czterdziestu rannych, z czego dwunastu w stanie krytycznym. Siły Delmonda: dwa tysiące czterestu zabitych, ponad stu sześćdziesięciu rannych, czterdziestu w stanie krytycznym.

Shel zagwizdał cicho. Nowiny o jego spektakularnym zwycięstwie rozejdą się lotem błyskawicy. To może na jakiś czas zmniejszyć apetyt głodnych ziemi i walki mieszkańców Południowego Kontynentu Sarxos na jego terytoria. Wielu dojdzie do wniosku, że posłużył się pierwszorzędną strategią, jeszcze więcej ludzi pomyśli, że użył czarów... i to Shelowi odpowiadało.

- Jeńcy?

- Trzydziestu żołnierzy piechoty, którzy nie mają żadnych ran. Może z dziesięciu szlachciców, również całych i zdrowych. Prawie cała reszta odniosła rany albo poległa w walce. Pozostali prawdopodobnie puciekali, w większości na południe.

- Wrócili do jego miast. Co się z nimi dzieje? Lubią być paszą dla jego konnicy?

Alla wzruszyła ramionami. Niezbyt interesowała się polityką. Wołała walkę i jedzenie, chociaż Shel nie miał pojęcia, gdzie podziewają się u niej kalorie i trochę jej tego zazdrościł. On od samego spojrzenia na pasztet lub pieczony udziec z dzika przybierał na wadze.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Powinieneś rzucić okiem na ich wozy z kosztownościami - powiedziała Alla i podała mu zwitek pergaminu, który wyciągnęła spod tuniki.

Shel zaczął go czytać i aż otworzył usta ze zdziwienia. - Co do... Do czego on potrzebował takich rzeczy?

- Wygląda na to, że dziś wieczorem w Minsarze miało się odbyć wielkie biesiadowanie po zwycięstwie - powiedziała Alla, przeciągając się leniwie, lecz wciąż z gniewnym wyrazem twarzy.

- Odświętne stroje i jedzenie połączone z oglądaniem łupów przez zwycięzców; tradycyjne upokarzanie przegranych... nic nowego. Pewnie powiązalıby nam powrozy na szyi i okładali ogryzionymi wołowymi udźcami i cielęcymi nóżkami.

Shel prychnął pogardliwie: - Jakby można było tu coś takiego dostać. To tereny wypasu owiec.

- No, tak. Zamiast wielkiego, zwycięskiego obiadu i wielkiego picia i napawania się strachem miejscowych możnowładców, Delmond dostaje teraz ochłapy, a my mamy jego kosztowności.

Shel kiwnął głową, wciąż zaczytany w niewiarygodnym spisie bagaży. - Co za głupota, ciągnąć ze sobą te wszystkie rzeczy... Nie mogę uwierzyć, że jest aż taki naiwny... musi coś kombinować. Jestem ciekaw co. Czy Delmond zadawał się ostatnio z kimś, kogo chciałby wprowadzić w błąd, udając głupiego lub szalonego?

Alla uniosła brwi. - Z nami?

Shel spojrział na nią przelotnie. - Sugerujesz, że celowo oddał nam zwycięstwo? Dał się złapać w pułapkę, chociaż wiedział o jej istnieniu?

- Nie dba o życie swoich ludzi, jeśli tak właśnie było - powiedziała Alla. - Ale to nic nowego.

- Hm. - Shel siedział przez chwilę w milczeniu i myślał. - Cóż, zobaczymy. Jeśli to nie nas chciał nabrać...

Oparł się na krzesło, zastanawiając się, który z jego najnowszych przeciwników mógł być w jakimś stopniu odpowiedzialny za działania Delmonda. Komu przyniosłoby to korzyści? Może Argathowi? Nie... on jest zazwyczaj nieco bardziej bezpośredni. Elblai? Nie, z tego, co ostatnio słyszałem, szykuje się do walki z Argathem... prawdopodobnie spróbuje podkopać Trójstronne Przymierze.

Shel pozwolił myślom biec tym torem jeszcze chwilę, analizując kilka możliwości, ale jego wzrok powędrował w stronę stołu z mapą, na którym tlił się zwitek pergaminu. W Sarxos nadszedł czas zawierania nowych przymierzy i zrywania starych, gdyż Władca Ciemności wyruszył na dziewięcioletnią wyprawę ze swojej krainy graniczącej z górami, szykując się do decydującej bitwy

o dominację nad wszystkimi ziemiami Królestwa. Zawsze kiedy tego próbował, sarxoscy lordowie jednoczyli siły, żeby odeprzeć jego atak, ale ostatnie przymierze było nieco słabiej zorganizowane niż zazwyczaj, a nawet nieco spóźnione... i Władca Ciemności zainicjował kolejną rundę „rozmów dyplomatycznych” po klęsce - wcześniej niż miał to w zwyczaju. Zupełnie, jakby myślał, że tym razem może zwyciężyć...

To było skomplikowane, jak wszystko w Sarxos. Dlatego warto było angażować się w tę grę. Na razie musi załatwić sprawy z Delmondem tak, żeby nie sprowadzić sobie na kark jego sprzymierzeńców, a w szczególności jego matki, potężnej władczyni w Królestwie, posiadającej groźne znajomości. Musi się z Delmondem rozmówić tak, żeby wyszedł na sprawiedliwego, a nawet na bohatera pozytywnego.

- Uważam, że powinieneś go zabić - oświadczyła Alla. Shel posłał jej nikły uśmiech. - Za taki ruch dostałbym niewiele punktów - powiedział, ale nie to było prawdziwą przyczyną i wiedział, że Alla zdaje sobie z tego sprawę. Znow przewróciła oczami.

- Szkoda na niego twojego czasu - powiedziała Alla.

- Jeśli ktoś miałby się któregoś dnia stać Władcą Wielkiego Królestwa - powiedział Shel - to musiałby się od początku gry do jej samego końca zachowywać odpowiednio. Potraktujmy to jako ćwiczenie, dobrze? Czy muszę wiedzieć coś jeszcze o czyszczeniu pola walki?

Alla zaprzeczyła ruchem głowy. - Kwatermistrz chce wiedzieć, kiedy zamierzasz zamienić wszystkie te rupiecie na pieniądze. Oddziały zaczynają się - jak by to ująć - niecierpliwie w pobliżu takiej sterty złota.

- Nie wątpię. Płatnościami zajmiemy się rano w Minsarze. Jutro jest dzień targowy; przyjadą tam jubilerzy i płatnerze z Vellathilu, którzy z chęcią pozbawią nas tego ciężaru. Powiadom oddziały, że wypłata będzie wprost proporcjonalna do zdobytych łupów, a ja przekazuję mój udział na opłacenie kosztów pogrzebowych.

Alla uniosła brwi. - Szefie, dostałeś dziś coś po głowie?

- Nie, chcę mieć tylko pewność, że dysponuję wystarczającą liczbą ochotników, na których mogę liczyć za kilka tygodni. Tymczasem każ przytoczyć kilka beczek wina z zapasów naszego przewidywanego nieprzyjaciela i rozdziel je między oddziały. I wypuść na swobodę tancerki. Jeśli zechcą.

- Większość z nich już zachowuje się dość „swobodnie”.

- W takim razie, upewnij się, że zdają sobie sprawę z tego, że są wolne. - Shel westchnął. - Coś jeszcze?

Alla pokręciła głową przecząco. - No, dobrze - powiedział Shel. - Talch?

Talch wetknął głowę do namiotu. - Panie?

„Panie” oznaczało, że Delmond znajduje się tuż przy wejściu. - Wprowadź więźnia - powiedział Shel.

Chwilę później do namiotu Shela dumnie wkroczył Delmond w asyście dwóch strażników. Zdjęli

mu jego słynną czarną zbroję, ale nawet w rajtuzach i pikowanym kaftanie nadal sprawiał imponujące wrażenie: szeroki w barach, muskularny i krzepkiej budowy, chociaż z twarzą wykrzywioną grymasem gniewu. Jedynym nietypowym szczegółem jego garderoby była żelazna obręcz na szyi - niezawodna metoda na zmuszenie człowieka, który potrafi przybierać różne kształty do pozostania w obecnej postaci.

Za nim szedł wysoki, jasnowłosy szczupły człowiek ubrany w płaszcz herolda, ozdobiony wizerunkiem dużego niebieskiego psa siedzącego u stóp rycerza. Shel zauważył, że płaszcz herolda jest idealnie czysty, i że mężczyzna ostentacyjnie starł kurz z krzesła za stołem z mapami.

Delmond usiadł, burcząc coś pod nosem. Herold wstał i głosem donośniejszym, niż to było konieczne, oznajmił: - Przedstawiam waszej łaskowości mojego Pana Delmonda t'Lavirh o Czarnym Stroju, Księcia Elsteru i Najjaśniejszego Pana Chax.

Obydwa tytuły zgadzały się z prawdą, ale żadnym z nich nie warto było się szczycić. Kolejni spadkobiercy państwa Elsteru podzielili go na tyle części, że miało ono z tuzin książąt, natomiast Chax był małym, lecz gęsto zaludnionym obszarem Sarxos, słynącym z lasów grabowych, lekkich czerwonych win, strategicznego położenia w punkcie, gdzie łączyły się dwie duże rzeki oraz z faktu, że średnio co dwa tygodnie przechodziło z rąk jednego poważnego gracza w ręce innego. Delmond jednak dostał Chax w posiadanie przez przypadek... co wzbudzało żywą wesołość u graczy w Sarxos o bardziej ustalonej pozycji. Zdobył Chax (jego przeciwnik posłużył się fatalną taktyką) i teraz dumnie przemierzał całe Królestwo, wyobrażając sobie, że jest ważniejszy niż w rzeczywistości.

Nowi gracze czasem zachowywali się w ten sposób, szczególnie jeśli poszczęściło im się na początku. Zdarzało się, że utrzymywali silną pozycję i stawiali się potęgą, z którą należało się liczyć. Częściej jednak zaczynali ponosić porażki w dyplomacji i w walce równie spektakularne jak ich początkowe sukcesy, po czym wypalali się i wypadali z gry. Potrafili też tak rozżłościć pozostałych graczy, że czasem nawet zawierano nieprawdopodobne sojusze, żeby natychmiast, oficjalnie i z hukiem pozbyć się „nowicjusza”. Na razie Delmond nie zdobył jeszcze tego statusu, ale był coraz bliżej.

Shel spojrział na herolda, a potem na Allę, która odezwała się spokojnym głosem: - A oto Shel Lookbehind, władca Talairu i Irdainu, wolny przywódca wolnych ludzi, który dziś pokonał was w bitwie. Teraz podyktujemy nasze warunki.

Herold Azure Alaunt wyglądał na głęboko zaszokowanego, zupełnie jakby ktoś zaproponował rozmowę na temat moczu.

- Wysłuchaj teraz słów Najjaśniejszego Pana Chaxu...

- On nie powie ani słowa - przerwała mu Alla - dopóki nie przemówi zwycięzca i nie poda warunków, na których zaakceptujemy wasze poddanie się.

Azure Alaunt cały się zjeżył. - Po pierwsze, mój pan domaga się okazania odpowiedniego szacunku jego armii, wspaniale uzbrojonej, potężnej, która zmierzyła się z wami w morderczej bitwie i od której odwróciła się dziś fortuna...

- Proszę wybaczyć - powiedział Shel do herolda. - Brałeś udział w dzisiejszej bitwie, Azure Alaunt? Nie wydaje mi się, bo nie wyglądasz jak my i na pewno nie śmierdzisz jak my. Więc daj sobie spokój z udawaniem, że też byłeś na polu bitwy.

- Hm. Mając na uwadze, że nikt nie pokona w pojedynkę przeważających sił Czarnego Władcy, przypominam, że jeśli nie będziemy się trzymać razem, to niebawem zawiśniemy oddziel...

- Och, błagam, daruj sobie demagogię - przerwał mu Shel. - A co do całej reszty, cóż. Powiem ci tyle: „Czarny Władca może się wypchać”.

Delmond wytrzeszczył oczy i otworzył usta, ale zaraz je zamknął z powrotem. - Przejdźmy do rzeczy - powiedział Shel. - Nie powinieneś się tak dziwić, skoro sam odprzedałeś swój kontrakt z Ciemnymi Siłami i przy pierwszej nadarzającej się okazji zacząłeś działać jako wolny strzelec. Niezbyt mądre posunięcie, ale tego nie musisz mi mówić, chociaż wszyscy próbowali cię wcześniej ostrzec. A teraz, z głupoty - to jest z dobroci serca - mam być łaskawy, „respektować zwyczaje wojenne” i wyciągnąć twój tyłek z bałaganu, w jaki sam go wpakowałeś?

Pociągnął długi łyk miodu. - Otóż mam dla ciebie nowiny: „zwyczaje wojenne” honorowane w Sarxos mówią o tym, że zwycięzca może postąpić z niewykupionym więźniem wedle własnego uznania. Moi czarownicy dziś po południu rozmawiali z potencjalnie zainteresowanymi stronami. Nawiasem mówiąc, nie udało im się skontaktować z twoją matką. Jej podczarownicy poinformowali nas, że to jest „dzień, kiedy myje włosy”. Nie otrzymaliśmy żadnych propozycji zapłacenia za ciebie okupu... nawet po niżkowej cenie. Przykro mi. Więc jeśli do jutra nie dostaniemy jakiejś propozycji, a obawiam się, że tak właśnie będzie, to postąpię z tobą wedle własnego uznania.

Shel usiadł wygodnie na krześle i zaczął się przyglądać swojemu kufłowi z pitnym miodem. Uśmiechnięta Alla patrzyła na Delmonda, nie mrugnawszy nawet okiem, jak kot, zastanawiający się w którą stronę skoczy szczur. Shel podjął monolog. - Osobiście fantastycznie bym się ubawił, widząc jak stajesz się wiecznym niewolnikiem w kopalniach Orona Władcy Powolnej Śmierci. Spójrz, to list od niego, który dostałem dziś po południu. Prosi o zaszczyt przebywania w twoim towarzystwie.

Shel wyciągnął rękę w stronę stołu i nadział zwitek pergaminu na nóż, w duchu pragnąc, żeby atrament przestał się już palić. Działo mu to na nerwy, a poza tym obawiał się, że list zaproszy ogień i zniszczy coś wartościowego. - To nie jest oferta okupu, tylko kupna twojej osoby. Zapewne ponad dwustu generałów, władców i władczyń, jak również ważniejszych i mniej ważnych szlachciców Wielkiego Wirtualnego Królestwa Sarxos przekonywałoby mnie, żebym przyjął tę ofertę. Ja jednak nie bardzo lubię niewolnictwo, a mój kwatermistrz przekonał mnie, że zyskam więcej zabierając ci po prostu twoje dobra, tak żebyś musiał żebrać o chleb na drogach, gdzie wieśniacy, którym utrudniałeś życie paląc im zbiory na polach i pozbawiając środków do życia, będą mogli rzucać w ciebie krowimi plackami.

Delmond wyraźnie zadrżał. - Ale przecież byłoby dla ciebie z większą korzyścią? to znaczy z politycznego punktu widzenia, gdybyś zatrzymał moją armię, a mnie i moje dobra odesłał do domu pod eskortą...

- Co proszę? - Shel włożył sobie palec do ucha i zaczął w nim wiercić. - Mógłbym przysiąc, że wspomniałeś coś o tym, że masz armię. Tę żalną bandę nedorobionych skinów o tłustych tyłkach, uzbrojonych w łańcuchy rowerowe, siedzącą w zagrodzie przed namiotem, tych dwustu ludzi bez koni i broni; tę armię? Aha.

Od dawna było wiadomo, że Delmond nie rozumie ironii. W tym momencie Shel przekonał się, że to prawda.

- Nie tę armię - powiedział pośpiesznie Delmond. - Moją drugą armię.

Shel roześmiał się na głos. - Przykro mi - powiedział.

- Jeśli masz gdzieś schowaną drugą armię, w co zresztą wątpię, to i ją niebawem stracisz. Po tym, jak rozejdą się nowiny o wydarzeniach dzisiejszego popołudnia. - Shel miał nadzieję, że to prawda, ponieważ znając Delmonda, rzeczywiście mógł mieć drugą armię... ale dziś nie chciał się nad tym zastanawiać. - A nawet, gdybyś miał drugą armię, po co mi ona, biorąc pod uwagę jakość twoich oddziałów? Jeśli w tym wypadku w ogóle można użyć słowa Jakość”.

- No to ziemie.

Shel westchnął. - Nie chcę twoich ziem. - A przynajmniej nie bardzo, dodał w myślach, ale nie miał teraz czasu na załatwianie z Delmondem prywatnych spraw. Dzisiejsza bitwa stanowiła część większej ofensywy, omówionej z dwoma sarxoskimi generałami, którym ufał Shel... to znaczy, ufał na tyle, na ile to możliwe w przypadku graczy w Sarxos. Jeśli sprawy ułożą się po jego myśli, za kilka miesięcy Shel odbierze siłą ziemie Delmonda i wszyscy mieszkańcy Sarxos, łącznie z jego poddanymi, z radością przywitają tę zmianę. Teraz Shel powiedział tylko: - Nie, dzięki.

O wiele bardziej interesuje mnie twój majątek ruchomy i zasłużyłeś sobie na to, żeby go stracić. Nie mam pojęcia, dlaczego wozisz ze sobą cały ten majdan. Chyba tylko dlatego, że jesteś zbyt zepsuty, żeby jak inni jeść z normalnej zastawy w terenie. Dwa tysiące metrów brokatu na jeden namiot, pół tony złotej zastawy, tuzin paradnych zbroi, grupa tancerek...

- Nie możesz mi tego zabrać! To królewskie regalia mojego domu od niepamiętnych czasów...

- Delmond, ja już ci je zabrałem. Poniosłeś dziś klęskę. To jest część bitwy nazywana: „dyktowanie warunków”. Nie zauważyłeś? Poza tym dziewięć dziesiątych tego majątku ukradłeś Elansis z Schirholz półtora roku temu. Złupiłeś jej zamek, kiedy znajdował się w nim tylko jej mały braciszek Landgrave ze zbyt szczupłymi siłami, żeby się obronić. Bardzo nieładnie, Delmond, kraść srebra rodowe dziewięciolatkom. Nic dziwnego, że nie zostawiasz ich w domu. Boisz się, że ktoś mógłby załatwić cię w podobny sposób. Cóż, wpadłeś w wykopany przez siebie dołek, ponieważ te rzeczy nazywają się teraz „łupami wojennymi”, gdyż zdobyłem je w uczciwej walce na polu bitwy. Gdybyś je zostawił w domu, nikt nie mógłby ich tknąć. - Elansis zaś ucieszy się, kiedy odzyska Oko Argonu. To będzie oznaczało, że coś w tym roku urośnie na polach Schirholza, a Talair zyska kilku potężnych sprzymierzeńców stąd do Morza Zachodu Słońca, którzy uniosą brwi ze zdziwienia. Dobrze ci tak. Nie mogę uwierzyć, że to ukradłeś. Wszyscy wiedzą, że Karmazynowy Szmaragd przynosi nieszczęście każdemu, kto wejdzie w jego posiadanie nie będąc członkiem rodu Landgrave’ów. Nie mów mi tylko, że i do tego namówiła cię matka?

Delmond przybrał zdziwiony wyraz twarzy. Shel oceniał go przez chwilę, po czym zakwalifikował jako

„Matki/macochy, wredne, zaleca się szczególną ostrożność w kontaktach”.

- No dobrze - powiedział Shel. - Zadbam o twoich szlachciców, którzy ocaleli i uwolnię ich po

wpłaceniu okupów, zgodnie z obowiązującym prawem. Na szczęście, dostaliśmy wiele ofert wykupienia ich. Twoja piechota przepracuje miesiąc w Minsarze, w ramach rekompensaty za szkody poczynione na terytorium Talairu i też zostanie wypuszczona na wolność. Kto wie, może niektórzy nawet zdecydują się zostać z nami - wyglądają na niedożywioną bandę.

Delmond zacisnął gniewnie usta i milczał.

- Ty natomiast dostaniesz dziś wieczorem posiłek, nakarmimy cię też rano, a potem damy ci przepisowy skórzany bukłak z wodą oraz worek z chlebem i mięsem. Jeden z moich ludzi konno zawiezie cię piętnaście kilometrów w stronę przygranicznych ziem, skąd zaczniesz wędrówkę do domu. Jeśli nie będziesz się guzdrał, dotrzesz tam w połowie lata. Stalowy kołnierz też ci zostawimy. Gdybyś leciał do domu jako ptaszek, mogłoby ci nie starczyć czasu na przemyślenie swoich błędów.

Twarz Delmonda przybrała kolor pięknej purpury, a on sam wziął głęboki oddech i zaczął mówić paskudne rzeczy na temat pochodzenia Shela oraz jego rodziny. Porządnie się już rozkręcił, kiedy od strony masztu namiotowego nadleciało delikatne pojękiwanie. To Wyjec lekko drżał, przez co wzory wykute w metalu sprawiały wrażenie, że się poruszają, jakby stał oddychała. Wycie nasiliło się. Przypominało to dźwięk jaki wydaje kocur, kiedy chce wystraszyć drugiego kocura... tylko że był głośniejszy, a groźba w nim zawarta brzmiała bardzo osobiście, niemal tak jak w głosie rozgniewanej matki, która domyśla się dlaczego tak długo siedziałeś w łazience zamkniętej od środka na klucz.

Delmond przełknął ślinę i umilkł natychmiast. - Myślę, że powinieneś się lepiej wyrażać - powiedział Shel. - Wyjec nie raz wylatywał nocą z mojego namiotu i załatwiał swoje sprawy - mijałbym się z prawdą, gdybym je nazwał „całkowicie legalnymi”; jego postęпки nie zawsze są zgodne z prawem. Ale ja zawsze zwracam koszty pogrzebu.

Delmond siedział jak mysz pod miotłą.

- To są moje postanowienia - powiedział Shel. - Proszę powiedzieć, Azure Alaunt, czy jako prawnie ustanowiony herold Królestwa, uważasz moje zarządzenia za zgodne z prawem?

- Są one zgodne z prawem - powiedział herold, zerkając nerwowo na swego pracodawcę.

- Świetnie. Teraz wysłucham oficjalnego protestu wobec moich zarządzeń.

Delmond najpierw nie mógł złapać powietrza, potem znaleźć słów i wreszcie wybuchnął: - To wszystko by się nie stało, gdybyś nie posługiwał się magią! To nie konie sprowadziły was w dół ze zboczy wzgórz, tylko diabły! Dowiemy się, skąd wzięłeś te demony i wtedy dopadniemy cię, gdzie...

- Pochodzą głównie z Altharnu - powiedział spokojnie Shel. - Z niewielkiej, uroczej stadniny. Mojej własnej. Skrzyżowaliśmy ze sobą nasze czarne Delvairny z górskimi kucykami i chodzą słuchy, że w tym połączeniu kryje się tajemny składnik... prawdopodobnie kozioł. Ale ty nie miał byś z nich wiele pożytku, Delmond. Gryzą i trzeba się do tego przyzwyczaić... bo to ich duch czyni je tak zwinnymi.

- Duchy! - wrzasnął Delmond, odwracając się do Azure Alaunta. - Słyszałeś? Przyznał się, że to były duchy pod postacią zwierząt!

Azure Alaunt posłał Shelowi ukradkowe spojrzenie, dając do zrozumienia, że jest bezradny. A to sprawiło, że Shel zaczął się zastanawiać, czy kiedyś nie zaproponować posady temu człowiekowi.

- Hm - zwrócił się Shel do Delmonda. - To nie jest twój normalny ton w rozmowie. W McDonalddie sprawy muszą stać gorzej niż zazwyczaj.

Delmond zrobił się siny na twarzy. W Sarxos robienie aluzji do „prawdziwego życia” graczy nie należało do najlepszego tonu. Gra miała być przeciwieństwem świata zewnętrznego, miejscem, w którym gracze mogli się pozbyć stresów i monotonii swojego stylu życia i - w towarzystwie wielu innych osób o podobnych zamiarach -doświadczyć czegoś większego i bardziej egzotycznego. Ale w Sarxos często nie przestrzegano „regulaminu” zbyt surowo, co zresztą twórca gry traktował jako wskaźnik prawidłowego rozwoju gry, przekształcania się jej w niezależne miejsce, nabierania osobistego charakteru... niemal życia. Poza tym Delmond sam w potyczce ponaginał wiele zasad do swoich potrzeb. W uczciwej grze dostaje się nauczkę za takie postęпки, pomyślał Shel.

- Dobrze - powiedział Shel. - Dyspozycje zostały wydane. Talch? - Pojawił się strażnik. - Zabierz go i nakarm. Potem zamknij w wozie z bagażami - nie w jego, w jednym z naszych. Kto wie, jakie niespodzianki wbudował w swój sprzęt. Rano ma być dla niego gotowy przepisowy żebraczy worek. A niech tam, nie będziemy skąpi. Dorzuć kawałek sera.

Trzęsącego się z wściekłości, ale milczącego Delmonda wyprowadzono z namiotu. Azure Alaunt zatrzymał się na progu i powiedział.

- Czy mógłbym szepnąć dwa słowa do twego ucha, panie?

Shel kiwnął głową.

- Niebezpiecznie jest narażać się jego matce. Jeśli jej synowi po drodze przytrafi się coś złego, może pokrzyżować twoje plany.

Shel siedział przez chwilę w milczeniu. - Odważnie powiedziane - stwierdził wreszcie.
- I może nawet prawdziwe. Ufam, że udzieliłeś mi tego ostrzeżenia w dobrej wierze, Azure Alaunt.
Herold skłonił się i wyslizgnął z namiotu.

Shel siedział jeszcze chwilę, przygryzając w zamyśleniu dolną wargę. - Trochę nerwowo ten koleś - zauważyła Alla, wstając i przeciągając się.

- Być może. Chodźmy - powiedział Shel, również się podnosząc. - Niech tragarze złożą namiot, żebyśmy mogli ruszać do Minsaru na posiłek. Mieliśmy pracowity dzień.

Alla pokiwała głową i wyszła z namiotu.

W chwilę potem Shel wyszedł na zewnątrz, gdzie zapadał już zmierzch i przeszedł kilka kroków po czerwonym, klejącym się do butów błocie, szukając pewniejszego gruntu. Znalazł wreszcie kawałek twardej ziemi, jakimś cudem nie zdeptanej kompletnie tysiącem kopyt i spojrzał na

południe, na pierwszy, mniejszy księżyc, unoszący się nisko nad mgłą.

Odwrócił się i spojrzał na północ w stronę Minsaru, położonego między zalesionymi wzgórzami. W świetle księżyca czubki sosen wydawały się trochę bledsze od pozostałych gałęzi; miały połyskliwy, matowosrebrzysty odcień, podczas gdy pozostała część drzew była ciemnoszara i pogrążona w mroku. Na Południowym Kontynencie właśnie rozpoczęła się wiosna i w świetle dziennym można było dostrzec wyraźnie ten wyjątkowy, świeży, zielony kolor na czubkach drzew iglastych. Wszędzie indziej widać już było charakterystyczny delikatny zielonkawy odcień młodych pączków dębu i klonu; z przyrody była świeżość i młodość. Rankiem pola wyglądały przepięknie; oprócz żółtych nicnieszkódek i białych południowokontynentalnych stokrotek, które pojawiają się po stopnieniu śniegu, była też inna biel - owieczki, niezgrabnie turlające się w wiosennym słońcu, zdumione i uradowane faktem, że żyją. Więc kiedy człowiek dostawał wiadomość, że ktoś taki jak Delmond stoi na jego granicy, z zamiarem przekroczenia jej i przerobienia wszystkiego na krwawą miazgę - wiosek, ludzi, owiec, stokrotek, wszystkiego, co się liczyło, a nawet tego, co się nie liczyło, aż do tego momentu - To wstępowało w człowieka coś takiego, że stawał do walki w obronie swojej ziemi.

Shel - ku własnemu zdumieniu - już jakiś czas temu zaczął tak postępować. Rzadko widywał stokrotki, chyba że w kwiaciarni na swojej ulicy, i nigdy nie widział owcy, która nie byłaby poćwiartowana i zapakowana w plastikowe torebki na stoisku mięsnym w supermarkecie. W Sarxos dowiedział się, jakie znaczenie mają kwiaty i żywy inwentarz dla ludzi ze wsi, dla drobnych rolników i właścicieli ziemskich, wśród których żył. I kiedy po raz pierwszy „osiedlił się” i uczynił tę część Sarxos swoim „domem poza domem”, a ktoś inny z Sarxos pojawił się, żeby zabrać mu inwentarz i zabić ludzi i stokrotki, nie z konieczności, ale z powodu nazywanego przez tę osobę „polityczną ekspansją” - Shel powiedział „Do diabła z tym” i zaczął organizować armię.

Pierwsza bitwa wydaje się taka odległa... bitwa i związane z nią problemy, które towarzyszyły „ocaleniu ziemi”. Armie, nieważne jak małe - a jego była mała - posiadały denerwujący zwyczaj upominania się o zapłatę. Jeśli ta się opóźniała, armia szła do kogoś innego lub zwracała się przeciwko swojemu pracodawcy. Shel znalazł sposoby, żeby im płacić, czasem nawet z własnej kieszeni, przez co zdobył sobie wśród innych generałów i władców Sarxos opinię ekscentryka.

W następnej kolejności na Jego ziemiach” pojawili się poprzedni właściciele, zwabieni wzmocnionymi działaniami w Talairze, którzy (nie bez podstaw) twierdzili, że ten kraj to ich własność, i którym nie spodobało się, że ktoś bez ich zgody organizuje armię dla jego obrony. Konflikt trwał prawie rok, dopóki ci władcy nie zdali sobie sprawy, że walka z Shelem do niczego nie prowadzi, i że proponowana przez niego cena wykupu jest do przyjęcia. Po tych wydarzeniach dali mu wreszcie spokój... i tylko ludzie pokroju Delmonda czasem go niepokoiли. Kiedy tacy jak on pojawiali się w Talairze, Shel radził sobie z nimi jak mógł... ponieważ zakochał się w tym miejscu. Wiedział, że to niebezpieczne. Jeśli zakochasz się, ryzykujesz, że zostaniesz zraniony.

Ale dla niektórych spraw warto cierpieć.

Stał jeszcze chwilę, wdychając świeże powietrze i patrząc na księżyc, po czym powiedział: - Zakończ grę.

Wszystko wokół natychmiast znieruchomiło jak na fotografii albo w holo.

- Opcje - odezwał się głos serwera obsługującego „oprawę” wirtualnego doświadczenia. - Kontynuuj. Zachowaj.

- Zachowaj - powiedział Shel. - Zrób rozliczenie.

- Zachowane. Rozliczenie dla Shela Lookbehinda - powiedział komputer nadrzędny gry, podczas gdy zamrożone tło zmieniało się stopniowo w niebieską planszę kontrolną. - Bilans z poprzedniej rozgrywki: cztery tysiące osiemset szesnaście punktów. Punkty zdobyte podczas tej sesji: pięćset sześćdziesiąt punktów. Całkowity bilans: pięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt sześć punktów. Pytania?

- Żadnych pytań - powiedział Shel.

- Potwierdzam akceptację rozliczenia, żadnych pytań. Odczytać teraz oczekujące wiadomości?

- Zachować na potem - powiedział Shel.

- Przyjąłem - powiedział komputer nadrzędny gry. - Proszę wprowadzić osobistą sekwencję kodową dla zachowania tego wyniku w bazie danych.

Shel mrugnął dwukrotnie, czekając aż pojawi się kod osobisty - „podpis”, który gwarantuje, że wynik gry zostanie przekazany nadrzędnemu komputerowi gry jako wynik gry Shela. Podpis był skomplikowany do tego stopnia, że uniemożliwiał przeciwnikowi podszyć się pod Shela. Jedna część kodu zmieniała się przy każdej sesji i łączyła się z drugą częścią, umieszczoną na stałe w jego komputerze, a trzecia część kodu pochodziła od nadrzędnego komputera Sarxos. Shel kiwnął głową w stronę komputera, zlecając mu opcję „zachowaj”.

- Zachowanie potwierdzone - powiedział komputer. Shel zamrugał oczami, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że głos komputera bardzo przypomina głos Alli. - Ta sesja Sarxos została zakończona. Prawa autorskie Sarxos należą do Christophera Rodriguesa, 1999, 2000, 2003-2010 i lata następne. Wszelkie prawa zastrzeżone na wszechświat i inne wszechświaty, które mogą zostać odkryte.

I wszystko znikło. Shel znów siedział w pokoju wypełnionym po brzegi książkami i kasetami oraz innymi przedmiotami utrudniającymi poruszanie się po pomieszczeniu, na przykład dużym, wygodnym fotelem (zajmującym prawie całą powierzchnię), dzięki któremu mógł podłączyć swój implant z domowym komputerem. I tak Shel z krwi i kości, a nie wirtualny, siedział o szóstej rano, ziewając w swoim mieszkaniu w Cincinnati, a wschodzące słońce przebijało się już przez zasłony. Czuł się obolały i zeszytywniały po całonocnej bitwie. Komputer był tak zaprogramowany, że kilka razy na godzinę wysyłał mięśniom sygnał, dzięki czemu się kurczyły, ale czasem rutynowe ruchy nie wystarczały, żeby się pozbyć nadmiaru kwasu mlekowego gromadzącego się w większych mięśniach podczas stresu. Z tego powodu stali, długodystansowi gracze często podnosili ciężary albo regularnie ćwiczyli. Stereotyp mówiący, że gracze VR są chudzi i niewysportowani nie sprawdzał się w przypadku użytkowników Sarxos, którzy generalnie utrzymywali zadziwiająco wysoką formę. Trudno prowadzić skuteczną kampanię, żeby zdobyć królestwo, jeśli twoje ciało nie jest fizycznie przygotowane na wspieranie umysłu w grze.

Teraz jego ciało wysyłało bardzo konkretny sygnał, mówiący: - Płatki kukurydziane! Płatki kukurydziane z mlekiem!

Shel wstał i przeciągnął się, uśmiechając się szeroko na myśl o jedzeniu i o minie Delmonda, kiedy tamten zdał sobie sprawę, że nie wywinie się z nietkniętym dobytkiem, tylko po to żeby ktoś mógł zrobić przyjemność jego matce. Tarasp ze NTgórT., pomyślał Shel, szukając kluczy od domu. Co mam z tobą zrobić, pani? Jesteś utrapieniem, nawet dla własnej rodziny. Muszę porozmawiać o

tym z moimi czarownikami...

Przebrał się w mniej pogniecioną koszulkę, zamknął mieszkanie i w doskonałym humorze wyszedł na ulicę, zeskakując po dwa stopnie naraz. Mimo soboty, nie ma dzisiaj wolnego. Popołudniowa zmiana w szpitalu zaczyna się o wpół do czwartej. Kolejny fascynujący wieczór spędzony na pobieraniu krwi i próbek do laboratorium od setki pacjentów, którzy nie cierpią jego widoku. Mimo to tanecznym krokiem wszedł do sklepu spożywczego, kupił płatki i mleko, po czym pogawędził dziesięć minut z Ya Chen, nocną sprzedawczynią, która właśnie kończyła pracę. Miał ochotę śpiewać z radości. Co za wspianiała kampania. Co za wspianiała bitwa. Nie mogę się doczekać, żeby zająć się puszką Pandory, którą otworzyłem...

Przez całą drogę ze sklepu snuł plany... zastanawiał się, z którymi graczami powinien się porozumieć. Myśli zaprzętała mu wisząca nad nimi groźba Ciemnego Władcy. O co właściwie mu chodziło z tym „kupowaniem” Delmonda? Suma, którą proponował trzykrotnie przekraczała ewentualny okup. Chyba że chodzi o jakieś tajne sprawy łączące matkę Delmonda z Ciemnym Władcą. Niewykluczone, pomyślał Shel, wbiegając po schodach. To prawdziwa żmija. Właściwie, czy ona na początku nie była żmiją? Czymś w rodzaju...

Zatrzymał się na półpiętrze z kluczami w ręku i wbił wzrok w drzwi. Były otwarte?

Nieemożliwe, żebym zostawił je otwarte.

Ostrożnie otworzył je szerzej i zajrzał do środka. Serce mu się ścisnęło. Ktoś tu był...

...i zdemolował mu mieszkanie.

Na palcach wszedł głębiej, zastanawiając się, czy napastnik wciąż tu jest, ale nie dbając o to za bardzo, ponieważ na przeciwległym końcu salonu, gdzie znajdowało się jego biurko i fotel z interfejsem... zobaczył epicentrum katastrofy. Biurko było przewrócone. Komputer leżał na boku, pudełko z głównym systemem otwarte, a części oprogramowania porozrzucone wokół. Monitor był rozbity. Jego system został zniszczony.

Oczywiście, Shel natychmiast zadzwonił do towarzystwa ubezpieczeniowego. Na pewno w końcu zapłacą za nowy system. Ale w jednej sprawie nic nie poradzą - chodziło o twardy dysk. Kiedy Shel w poniedziałek zaniósł swój twardy dysk do sklepu, dowiedział się, że został sformatowany. Wtedy stracił resztę nadziei.

Przed wyjściem nie skopiował swoich plików w pamięci „awaryjnej”. A przede wszystkim nie skopiował osobistej sekwencji kodów, tych skomplikowanych i niemożliwych do zapamiętania cyfr, które w połączeniu z kodem przechowywanym w komputerze nadrzędnym gry Sarxos dawały mu dostęp do jego postaci i jej historii.

Minęło wiele dni, zanim zwalczył chęć walenia głową w ścianę, żeby ukarać się za własną głupotę. Naprawianie szkód zajmie tygodnie, ponieważ ludzie z Sarxos są obsesyjnie ostrożni, jeśli chodzi o względy bezpieczeństwa. Och, w końcu uda mu się wrócić do gry. Poda swoje wyniki po ostatnim zachowaniu z odległych kopii rezerwowych (podobnie jak wielu użytkowników komputerów w obecnych czasach, został klientem usług „ratowniczych”, firmy, która trzymała kopie jego plików rezerwowych w innej lokalizacji w sieci) i kopię sekwencji kodów osobistych, wykorzystanych przy ostatnim zachowywaniu. Firma porówna jego najnowsze pliki włączone do archiwum ze swoimi i sprawdzi inne dokumenty ze świata rzeczywistego, po czym przydzielili mu nowe hasło i będzie mógł wrócić do gry.

Jednak do tego czasu nie wolno mu będzie spacerować po zielonych polach Talairu. Może wejść do Sarxos dzięki jednemu z tych tanich „wprowadzających kont”, sprzedawanych ludziom, którzy nie

byli pewni, czy chcą na poważnie zaangażować się w grę. Ale nie będzie mógł wejść do gry jako Shel, dopóki nie dostanie nowego hasła, a do tego czasu tegoroczna kampania dobiegnie końca. Dwa lata starannych przygotowań, dwa lata zawierania przyjacielskich umów z innymi graczami - wszystko na nic. Część ludzi, z którymi Shel spiskował, wścieknie się; być może w przyszłości nie będą chcieli mieć z nim do czynienia, bez względu na to, że nie był winien temu, co się stało. Pozostali podczas jego nieobecności mogą po prostu sprzymierzyć się z kimś innym.

A co z Allą? Jeśli jest prawdziwa, może od niego odejść, kiedy go zabraknie albo nawet wycofać się całkowicie z gry. Jeśli nie jest prawdziwa... cóż, postaci tworzone przez samą grę, z którymi nie zachodziła regularna interakcja, zazwyczaj zostawały „odwoływane” - określenie przyjemniejsze od „wykasowywane”. Sarxos to w końcu produkt rynkowy, nie marnują środków, które nie są używane. Wizja, że Alla może odejść, przestać istnieć z powodu jego nieobecności, martwiła go bardziej niż przegrana kampania.

Cała ta sytuacja nieprawdopodobnie go rozwścieczyła. Ale ta gra pociągała za sobą i takie niebezpieczeństwa... a Shel nie mógł im w żaden sposób zaradzić. Oczywiście, zacznie od nowa. Rezygnacja nie leżała w naturze Shela. Dlatego, zresztą, wyróżniał się wśród graczy w Sarxos. Lecz kiedy zaczął odbudowywać swoje wirtualne życie i (po tym jak wreszcie przydzielono mu nowe hasło) odzyskiwać wiarygodność swojej postaci, wciąż nie potrafił znaleźć odpowiedzi na jedno pytanie: Dlaczego ja? Dlaczego?

Kilka dni później, o siódmej trzydzięci rano Megan O'Malley zaglądając do szafek w kuchni mruczała do siebie : - Nie mogę uwierzyć, że znów się nam skończyło...

Posiadanie czterech braci sprawiało jej przez lata wiele problemów, z których najgorszym był fakt, iż bez przerwy jedli. Takie przynajmniej odnosiła wrażenie. Wpadała do kuchni na śniadanie, żeby szybko coś zjeść przed wyjściem do szkoły, i okazywało się, że pomieszczenie wygląda jak pole uprawne w jednym z krajów Trzeciego Świata, po przejściu szarańczy. Kiedy jej rodzeństwo podrosło na tyle, że dwóch wyjechało do koledżów, Megan miała nadzieję, że sytuacja ulegnie poprawie, ale stało się odwrotnie - Mike i Sean zaczęli jeść jeszcze więcej, jakby chcieli zrekompensować nieobecność Paula i Rory'ego. Chowanie jedzenia przed dwoma, którzy studiowali niedaleko domu na Uniwersytecie imienia George'a Washingtona i w Georgetown, tylko czasem zdawało egzamin, najczęściej, gdy chodziło o produkt, który im nie odpowiadał. Niestety niewiele rodzajów żywności mieściło się w tej kategorii. Przez jakiś czas należało do niej müsli... aż którejś nocy, podczas przetrząsania szafek w kuchni, Sean natrafił na zapas müsli należący do Megan. Od tego momentu zaczęła zmieniać kryjówki na jedzenie. Czasami taka taktyka się sprawdzała.

Nie zawsze. - Szarańcza - mruknęła pod nosem zdegustowana Megan, kiedy wyciągnęła pudełko, z pozoru bezpiecznie ukryte pod zlewem, za butelką z wybielaczem i gumowymi rękawicami. To było opakowanie oryginalnego szwajcarskiego müsli o nazwie Familia, a nie jeden z krajowych produktów, które miały mączny posmak. Pudełko było puste. Wyprostowała się w dużej, słonecznej wyłożonej złotawymi kafelkami kuchni, i westchnęła, po czym wyrzuciła do śmieci puste pudełko i podeszła do chlebaka.

Niestety, nie znalazła w nim żadnego pieczywa. To by było na tyle, jeśli chodzi o tosty, pomyślała Megan, zamykając pojemnik. Szkoda, że nie muszę stracić na wadze, bo właśnie bym zaczęła. Cóż, w takim razie, herbata...

Tę przynajmniej znalazła. Jej bracia, na szczęście, zaczęli pić kawę, kiedy tylko dla ich rodziców

stało się jasne, że nie zahamuje to wzrostu ich synów (a twarde fakty przemawiały za tym, że nic nie jest w stanie tego dokonać). Megan nalala wody do czajnika, postawiła go na kuchence, nastawiła na maksymalną temperaturę i poszła po kubek, po drodze spoglądając na zegarek. Siódma czterdzieści pięć. Zostało pół godziny do przyjazdu autobusu... warto sprawdzić pocztę.

Zeszła do dużego pokoju na parterze, w którym znajdował się jeden z trzech domowych komputerów, podłączonych do sieci. Pomieszczenie było po brzegi wypełnione książkami jej rodziców, zajmującymi przestrzeń od podłogi do sufitu i szczelnie zalegającymi półki na czterech ścianach. Kiedy ma się matkę, która pracuje jako reporterka dla „Washington Post”, i ojca, który pisze powieści sensacyjne, to domowa biblioteka wygląda na dość eklektyczny i raczej przypadkowy zbiór. Na dodatek, pozycje niechronnie mieszają się ze sobą, przez co książki na temat polityki międzynarodowej, ekonomii, środowiska i historii świata oraz nieco dziwne tytuły w rodzaju: „Bezimienne Strachy i Jak im Zaradzić” lub „Tajne Projekty Luftwaffe 1946” sąsiadowały z prawdziwie przerażającą kolekcją książek dotyczących medycyny sądowej, broni i trucizn, na przykład pod tytułem: „Snobistyczna Przemoc” oraz „Poradnik Przystępstwa Doskonałego” i „Jadowite Zwierzęta od A do Z”, jak również „Medyczne Prawoznawstwo” i „Toksykologia Glaistera”.

Megan wiedziała, że jej ojciec jest praworządnym obywatelem i całkowicie nieszkodliwym człowiekiem. Raz nawet widziała jak szlochał, kiedy niechcący zabił mysz, którą próbował złapać i wypuścić na zewnątrz, po tym jak umknęła pazuram jednego z domowych kotów. Z drugiej strony, miała nadzieję, że nikt go nigdy nie będzie podejrzewał o morderstwo. Gdyby rzucili okiem na zawartość tego pokoju, nikt by nie uwierzył, że jego właściciel nie wiedział dokładnie jak je popełnić.

Usiadła w komputerowym fotelu i westchnęła ciężko na widok sterty książek zasłaniających główne pudło interfejsu. Bez względu na to, ile razy im o tym przypominała, rodzice zawsze zostawiali studiowane w danej chwili materiały badawcze w miejscu, gdzie blokowały ścieżkę pomiędzy implantowym fotelem komputerowym i resztą sprzętu. Ale oni wciąż używali siatkówkowych/optycznych implantów, które mogły się połączyć z komputerem wysoko ponad blatem biurka, a Megan miała jeden z nowszych modeli implantów - boczny, szyjno-neuralny, który łączył się z komputerem pod mniejszym kątem. Odsuwając poranną barykadę z książek - należały głównie do jej taty, który miał w zwyczaju pracować do trzeciej lub czwartej nad ranem - Megan przyjrzała się im z pewnym zainteresowaniem. Na szczycie sterty książek leżały następujące tytuły: „Europejski Rozkład Jazdy Pociągów” Cooka, „Przewodnik po Broni” Jane’a i „The Curry Club Book z 250 Ostrymi Potrawami”. Widząc tę ostatnią, Megan zamrugała oczami. Ewentualna fabuła do tego momentu wydawała się całkiem logiczna. Zwabić kogoś do tajemniczego wschodnioeuropejskiego pociągu, zastrzelić go - i ukryć w curry?

Niee. W każdym razie postanowiła kupić jogurt w drodze powrotnej do domu, na wypadek, gdyby tato zamierzał ugotować dziś obiad, żeby było czym ugasić wywołany chili pożar w żołądku.

Megan ustawiła fotel w odpowiedniej pozycji. Chwilę zajęło jej „przypominanie sobie” jej ulubionej pozycji - lekko uniesionych stóp, głowy odchylonej pod odpowiednim kątem. Połączyła swój implant ze skrzynką interfejsu komputera nadrzędnego i poczuła znany szok wzajemnego połączenia, zupełnie jakby ktoś lekko potraktował ją prądem, wyłączając normalny wszechświat i włączając ten drugi.

Megan знала ludzi, którzy urządzali swoje wirtualne miejsce pracy jak jeszcze jedno biuro pełne

szafek z dokumentami. Wobec takich ograniczonych umysłów czuła niesmak. Skoro wszystko jest możliwe w rzeczywistości wirtualnej, czemu ludzie nie robią, no właśnie, wszystkiego? Nie mogła tego zrozumieć. Dla siebie znalazła inne rozwiązanie. Weszła właśnie do ogromnego kamiennego amfiteatru. Trybuny z białego, wytartego wapienia sięgały kilku pięter wzwyż. Nad nimi widniało czarne niebo ze świetlistymi gwiazdami. Spojrzała przez ramię, za „przednią część” amfiteatru na opadający stok, delikatnie oświetlony różowawym lodem i pokryty żwirem oraz niebieskawym metanowym śniegiem. Tuż nad horyzontem widniał Saturn, pękaty i jajowaty w kształcie, koloru przejrzałej pomarańczy. Jego liczne pierścienie były nachylone pod kątem, a podłużny cień pochodzący ze słonecznej półkuli rozkładał się na powierzchni planety po przekątnej, ukośnie i stylowo. Światło odbite od powierzchni planety padało na jej księżyc, Rhea, nadając mu matowzłoty odcień. Podobnie jak ziemski księżyc, Rhea nie odwracała się twarzą od swojej matki, ale Megan wiedziała, że gdyby stała tu wystarczająco długo i obserwowała niebo, Saturna wolno zaczęłoby ubywać, pierścienie zmieniłyby położenie i w niedługim czasie słońce zajęłoby miejsce na małym horyzoncie nad Rheą i zmieniłoby przeważający na księżycu kolor złoty na olśniewająco biały, zalewając wspaniałym lśnieniem jej amfiteatr, poczynając od krawędzi głębokiego basenu Tirawa, powstałego po uderzeniu meteorytu.

Niestety, Megan miała tego ranka ważniejsze rzeczy na głowie niż obserwowanie planet. - Siedzenie - powiedziała i obok niej pojawiła się dokładna kopia fotela z domu. Usiadła, uniosła stopy i powiedziała do komputera: - Poproszę pocztę.

- Bieżąca poczta - powiedział komputer miłym kobiecym głosem i zaczął pokazywać rząd zamrożonych, audiowizualnych „kciuków”, oznaczających wiadomości, które czekały na odczytanie. Inni ludzie lubili nadawać swojemu komputerowi kształt „sekretarki”, która przedstawiała im ich korespondencję i tak dalej, ale Megan wolała, żeby maszyna wykonała tę pracę na jej polecenie. Nie interesowały ją pogaduszki z przemądrzałymi paniami.

- To dlatego, że sama jesteś przemądrzała - powiedział jej Mike, kiedy mu o tym wspomniała kilka miesięcy wcześniej. Parę dni później Mike skarżył się na siniaki. Należało mu się, pomyślała Megan, z uśmiechem przywołując to wspomnienie. Jeśli nie chce mu się wziąć kilku lekcji wschodnich sztuk walki, żeby powstrzymać swoją młodszą siostrzyczkę od rozkładania go raz po raz na łopatki, to już jego problem, a nie mój.

Poczta nie zawierała nic ważnego. - Pierwszy list - powiedziała Megan i mały obrazek „kciuka” rozrósł się natychmiast do trójwymiarowego dużego kształtu i zaczął do niej mówić. Podpis poinformował ją, że wiadomość pochodzi od jej wychowawcy ze szkoły średniej. Pan MacIlwaina siedział za swoim biurkiem, które przypominało biurko jej rodziców, ponieważ było pokryte papierami, dyskietkami, książkami i diabli wiedzą, czym jeszcze. - Przypominam o tym, że twoje próbne testy na SAT III i SAT IV/NMSQT zostały przełożone na dwunastego marca. Jeśli zdecydowałaś się również na Egzamin dla Zaawansowanych, to próbny egzamin wyznaczono na piętnastego marca. Esej i wypracowanie z angielskiego zostaną przeprowadzone jako egzamin ogólnokrajowy w kwietniu, więc upewnij się, czy...

- Tak, tak, zatrzymaj i skasuj - powiedziała Megan. Spełniła już wszelkie wymagania wymienione w wiadomości i była przygotowana na przystąpienie do SAT-u na tyle, na ile było to możliwe -

choć, ilekroć spoglądała na datę Egzaminu dla Zaawansowanych, natychmiast przychodziło jej do głowy, Idy Marcowe, fantastycznie... Jakby Szekspir i Juliusz Cezar w wystarczającym stopniu nie przyczynili się niechlubnie do zapamiętania tej daty. Do prawdziwego egzaminu zostało jej na szczęście ponad miesiąc. Kolejny miesiąc nerwówki... - Następny list - powiedziała.

Kolejny „kciuk” przybrał kształt Carrie Henderson, koleżanki z jej szkoły średniej. - Cześć, Megan! Posłuchaj, wiem, że mówiłaś, że nie masz ochoty angażować się w prace komitetu do spraw potańcówki, ale nam bardzo, ale to bardzo przydałaby się twoja...

- Zatrzymaj - powiedziała Megan. - Zachowaj. - A ja bardzo, ale to bardzo nie chcę się w to angażować, niech zajmie się tym ktoś inny. Jeśli zignoruję tę wiadomość, Carrie na pewno znajdzie kogoś innego do tego zajęcia. - Następny list.

Trzeci kciuk przybrał kształt mężczyzny w garniturze trzymającego w ręku skrawek dywanu. On sam stał na zdającym się nie mieć końca ohydny, pstrokatym dywanie, który na szczęście kończył się tuż obok amfiteatru Megan. - Drogi użytkowniku systemu - odezwał się mężczyzna ożywionym tonem - zostałeś wybrany do elitarnej grupy klientów, którzy będą mogli ocenić wspianiały...

- Zatrzymaj, wykasuj! - jęknęła Megan. Cyberśmieci... musi być jakiś sposób, żeby to zatrzymać. Zaczęła się zastanawiać, czy któraś z antycyberśmieciowych inicjatyw, popieranych obecnie przez Zwiadowców, zostanie przyjęta przez Kongres. Problem polega na tym, że lobby „śmieciowe” jest bardzo potężne... a poza tym, kiedy tylko rząd pozbywał się jednego, na jego miejscu pojawiała się inne. W rezultacie jej skrzynka pocztowa i skrzynki niemal wszystkich użytkowników sieci pękały od niepotrzebnych reklam. Reklama dywanu była przynajmniej względnie nieszkodliwa. Do jej skrzynki pocztowej trafiały czasem tak denerwujące albo natarczywe listy, że miała ochotę poćwiczyć kopnięcia na swoim komputerze albo na ludziach przysyłających te reklamy...

Woda się już pewnie gotuje, pomyślała, spoglądając na podpisy na pozostałych „kciukach”. Nie ma tu nic ważnego, mogą poczekać.

Nagle w powietrzu rozległa się cicha melodyjka i Megan rozejrzała się zdziwiona. Ktoś próbował połączyć się z nią, żeby porozmawiać na żywo. O tej porze? - Kto to? - spytała komputer.

- Wiadomość z identyfikacją Jamesa Wintersa - odparł komputer.

- Naprawdę? O, kurczę - powiedziała Megan. - Przyjmij. Po jednej stronie amfiteatru pojawił się nagle gabinet, nieco schludniejszy niż gabinet jej rodziców. Poranne słońce przeświecało przez żaluzje okienne i promienie padały na duże biurko stojące na przeciwległej ścianie gabinetu. Za biurkiem, na którym leżało kilka wydruków, listów i dyskietek, siedział James Winters, dobrze zbudowany, szeroki w ramionach oficer w służbie Zwiadowcy i przełożony Zwiadowców. Odłożył dokument, który przeglądał i spojrzał na Megan. Gdyby nie ostrzyżone przy skórze włosy oficera piechoty morskiej i leniwe oko, w garniturze wyglądałby jak zapracowany biznesmen. I chociaż jego oczy były okolone siateczką zmarszczek powstałych w wyniku częstego uśmiechania się, to czaiła się w nich też nieustępliwość, o której większość biznesmenów mogła tylko marzyć.

- Megan? Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

- Nie, właśnie przygotowywałam się do wyjścia do szkoły, ale mam jeszcze kilka minut. - Ale przecież pan to wie, pomyślała, czując przyływ zainteresowania. Winters doskonale znał rozkłady dnia wszystkich Zwiadowców. Zwiadowcy. Coś się szykuje!

Kiwnął głową, patrząc ponad jej głową. - Niezły krajobraz.

Megan uśmiechnęła się lekko. - Tak, „tutaj” jest teraz lato. Przynajmniej przez następne sześć godzin, jeśli można w ogóle mówić o lecie przy osi obrotu nachylonej o jedną trzecią stopnia. Jak mogę panu pomóc?

Spojrzał na nią poważnym wzrokiem. - Megan, potrzebuję od ciebie pewnych informacji. Twój profil podaje, że jesteś graczem w Sarxos.

Megan uniosła brwi zdziwiona. - Wpadam tam od czasu do czasu.

- Częściej niż co kilka tygodni?

Myślała przez chwilę. - Tak, raczej tak. Powiedziałabym, że średnio raz na tydzień, chociaż czasem częściej, jeśli dzieje się coś ciekawego. Ale warto tam też wałęsać się w czasach, kiedy nie toczy się żadna wojna ani potyczka rodzinna pomiędzy czarownikami. Można spotkać ciekawych ludzi... Rodrigues świetnie ją zaprojektował. Wydaje się prawdziwsza od pozostałych gier wirtualnych.

Winters pokiwał głową. - Co słyszałaś o graczach, których „wykopano”?

Megan zamrużyła oczami, słysząc te słowa. - Chodzi panu o ludzi, którym wykasowano osobistą sekwencję kodową? O wirusy i sabotowanie charakterów wykorzystywanych w grze, o takie rzeczy? Tak, słyszałam, że to się zdarza. Pewnie chodzi o wyrównywanie rachunków. Niektórzy traktują to bardzo serio...

- Ostatnio ktoś taki potraktował grę zbyt serio. W bieżącym roku „wykopano” dwanaście osób.

To było dla Megan coś nowego. - Jeden na miesiąc... ale w Sarxos jest setki tysięcy graczy. W porównaniu z tym, dwanaście to niedużo.

- Mnie by się też tak wydawało, gdyby nie fakt, że przez osiem lat poprzedzających ostatnie półtora roku nie miało miejsca ani jedno „wykopanie”. Coś się święci i firmy sponsorujące Sarxos zaczynają się denerwować. Zamknięcie serwera to ostatnia rzecz, na jaką mieliby ochotę.

- Nie wątpię - powiedziała Megan nieco chłodnym tonem. Gracze Sarxos płacili za każdą sesję albo wykupowali roczny abonament. Tak czy inaczej, w skali roku w grę wchodziły miliony dolarów.

- Cóż, właśnie zdarzyło się wyjątkowo silne „wykopanie... - powiedział Winters. - Nie podam ci jego rzeczywistego nazwiska, ale chodzi o gracza, który posługiwał się postacią Shela Lookbehinda.

- Rany, Shel? - powiedziała Megan, zupełnie zaskoczona.

- Znałaś go?

- Trochę - odpowiedziała Megan. - Natknęłam się na niego kilka razy rok temu, kiedy prowadził kampanię. Wielu ludzi interesowało się jego utarczkami z Królowymi Mordiri. Wtedy nie istniały legalne przepisy dotyczące przejmowania czyjegoś terytorium, zanim oficjalnie nie uznano je za opuszczone. Wszyscy chcieli się przekonać, czy nie zostanie ustanowiony jakiś precedens.

Pojechałam do Talairu, żeby zorientować się w sytuacji. Shel sprawiał wrażenie dobrego gracza i miłego faceta. A przynajmniej jego postać.

- Cóż, jego postać znajduje się obecnie w stanie zawieszenia, jak się zapewne domyślasz - powiedział Winters - do czasu, aż jej właściciel nie dostanie nowego hasła. To było najbardziej ostre „wykopanie” jeśli chodzi o przemoc fizyczną i dlatego przykuło naszą uwagę. W większości przypadków, jak sama mówiłaś, „wykopania” dokonała „osoba lub osoby nieznane” zarażając system ofiary Trojanem albo podobnym typem wirusa. Ponadto przynajmniej raz dokonano kradzieży systemu domowego, co mogło, ale nie musiało być aktem „wykopania”. Dowody okazały się niewystarczające, żeby to stwierdzić. Jednak w przypadku Shela, ktoś włamał się do jego mieszkania, zdemolował je, wykasował mu pamięć operacyjną i właściwie zniszczył cały system.

Megan pokręciła głową. - I nikt nie ma pojęcia, kto to zrobił?

- Policjanci na nic nie natrafili. Liczyłem, że ty mi trochę pomożesz.

- Chce pan, żebym udała się do Sarxos i „zadała kilka pytań” - powiedziała Megan.

- Nadajesz się do tego zadania. Masz ustaloną pozycję w Sarxos, a to sprzyjająca okoliczność.

Nowa postać, która pojawiłaby się nagle i zaczęła zadawać pytania na temat „wykopań”, natychmiast wzbudziłaby zainteresowanie i nieufność. Ale nie będziesz pracować w pojedynkę. Sądzę, że w świetle ostatnich zdarzeń rozsądnie będzie przydzielić ci kogoś do współpracy. Inny punkt widzenia może okazać się pomocny... a Sarxos to w końcu potężny obszar. Trzeba sprawdzić wiele miejsc.

Megan w zamyśleniu zagryzła wargę. - Kogoś ze Zwiadowców Zwiadowcy?

- Raczej tak.

Zastanawiała się jeszcze przez chwilę. - Muszę się przyznać, że nie wiem, którzy Zwiadowcy Zwiadowcy mogą być graczami. Zazwyczaj się o to nie pyta.

- Cóż - powiedział Winters. - Ja znam przynajmniej jednego Zwiadowcę, który ma ustaloną tożsamość i jest zainteresowany współpracą oraz nie ma nic przeciwko temu, żeby inni Zwiadowcy dowiedzieli się, że grywa. Znasz Leifa Andersona?

Megan znów się zdziwiła. - Mówi pan o Leifie Andersonie z Nowego Jorku? Tym rudym, który zna kilka języków? On gra w Sarxos?

- Tak. Jest... - Winters przerwał i zajrzał do kartki papieru, którą trzymał w ręku i zachichotał - ...Krzewiastym Czarodziejem. Tak tu jest napisane. Zakładam, że to ktoś, kto za pomocą czarów uprawia innym ogrody.

Megan też prychnęła śmiechem. - Nie. Ta nazwa oznacza, że taka postać koncentruje się na wykonywaniu drobnych czarów, a nie potężnych i niebezpiecznych. To oznacza, że ktoś taki woli pracować w terenie ze „zwykłymi ludźmi” albo że nie zna się zbyt dobrze na czarach i próbuje to ukryć. Krzewiaści Czarodzieje bywają trochę niekompetentni.

Winters wydawał się nieco zdezorientowany. - No dobrze. Uważasz więc, że to dobra przykrywka?

- Podejrzewam, że tak - odpowiedziała Megan po namyśle. - Krzewiaści Czarodzieje są ciągle w drodze, szukając rzadkich ziół oraz zaklęć. W związku z tym znają wielu ludzi. Mój charakter zajmuje się czymś podobnym, tyle że z innych powodów... więc powinniśmy się zgrać.

- Mam mu więc polecić, żeby się z tobą skontaktował?

- Jasne - powiedziała Megan. - Czy to może poczekać do jutrzejszego wieczoru? Dziś jestem trochę zajęta.

- Nie ma problemu. Sama narzuć sobie tempo. Wolałbym, żebyście się nie śpieszyli; wpadnięcie tam zniemacka i rozpytywanie na prawo i lewo może się skończyć tym, że „osoba lub osoby” odpowiedzialne przyczynają się... a tego byśmy nie chcieli.

- Fakt. Potrzebna mi będzie lista „wykopanych” osób - powiedziała Megan.

- Mam ją tutaj - powiedział Winters. Znów rozległa się cicha melodia i w wirtualnym miejscu pracy Megan pojawiła się mała, wirująca piramida - symbol pliku, czekającego na odczytanie. - Skontaktuj się ze mną, gdybyś miała jakieś pytania lub potrzebowała czegoś jeszcze.

- Dobrze, panie Winters. Dzięki!

Zniknął wraz ze swoim gabinetem. Megan siedziała nieruchomo i czuła się o wiele za bardzo podekscytowana, jak na perspektywę długiego dnia w szkole. Świadomość, że jest się Zwiadowcą Zwiadowcy, powiazanym (co prawda bardzo luźno) z ludźmi wykonującymi wyjątkowo interesującą pracę - to jedna sprawa. Wykonywanie zadania, pod obserwacją ludzi, z którymi miała nadzieję kiedyś pracować, na tyle zainteresowanych i przekonanych o jej zdolnościach, żeby jej takie zadanie powierzyć i sprawdzić, jak sobie poradzi - to coś zupełnie innego.

To, pomyślała Megan, będzie prawdziwa przygoda!

Wstała z fotela i powiedziała do komputera: - Przerwij połączenie.

Znalazła się z powrotem w pokoju rodziców na fotelu, słysząc ogłuszający gwizd. Rozlegał się z kuchni. Ulubiony czajnik jej mamy, z gwizdkiem przypominającym odgłos wydawany przez lokomotywę, podskakiwał i hałasował tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć; a samochód wożący Megan do szkoły trąbił na zewnątrz.

Megan wpadła do kuchni, żeby zdjąć czajnik z kuchenki, zanim przepali się w nim denko. I po herbacie, pomyślała, wyłączając kuchenkę, po czym złapała przenośny komputer, książki, dyskietki i kartę od drzwi wyjściowych ze stołu i wybiegła z domu, uśmiechając się radośnie.

Sarxos, przybywam!

Wirtualne Królestwo Sarxos:

23. zielonego miesiąca roku deszczowego smoka

Karczma składała się tylko z jednego pomieszczenia, w którym przeciekał dach. Drobny, ale nieustępliwy deszczyk przedostawał się przez dziurę w krytym strzechą dachu i kapał na popękana płytę paleniska, sycząc ponuro przy każdym uderzeniu. Niebieski jak spaliny dym z nieoczyszczonego przewodu kominowego snuł się pod szerniałymi krokwiami. Z krokwi zwisało kilka pryskających lamp, a ich światło unosiło się wśród dymu. Czasem nawet udawało mu się przebić w

dół do starych, masywnych stołów o drewnianych blatach, pociętych nożami.

Przy stołach siedziała zbieranina ludzi, którzy jedli i pili: byli wśród nich drobni chłopcy prosto z pól, szlachcice, ostentacyjnie siedzący na złożonych pelerynach, żeby nie dotykać bezpośrednio ław, najemnicy w znoszonych skórzanych kaftanach, dobrze ubrani przyjezdni kupcy, rozmawiający między sobą z ożywieniem o sarxoskich rynkach inwestycyjnych i wpływie toczonych obecnie wojen na handel. Innymi słowy, typowa mieszanka w wieczór w karczmie „Pod bażantem i baryłką”, gdzie wszyscy zapijają się ziołową nalewką albo gahfeh czy też rozwodnionym przez gospodarza (lecz na szczęście dobrej jakości) winem, obserwując się bacznie nawzajem i świetnie się przy tym bawiąc.

W kącie przy kominie siedział nawet obowiązkowy za-kapturzony nieznajomy, ze stopami opartymi o masywny ruszt beleczkowy, paląc długą fajkę i przenikliwym wzrokiem przyglądał się towarzystwu spod swojego kaptura. Duży szarobiały kocur, o poszarpanych uszach i ślepy na jedno oko, przeszedł obok nieznajomego, spojrzął na niego pobieżnie i powiedział: - Och, znowu ty... - i poszedł dalej.

Leif Anderson, siedzący sam przy małym stole przy drzwiach w przeciwległym kącie karczmy, rozejrzał się po lokalu i pomyślał bezwiednie, że matka zawsze ostrzegła go przed takimi właśnie miejscami. Problem polegał na tym, że w przyływie nadopiekuńczych uczuć obawiała się, iż Leif trafi do takiego lokalu w prawdziwym świecie, a on szczerze wątpił w istnienie takowych: przynajmniej nie tam, gdzie mógłby ewentualnie na nie trafić, czyli w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Już prędzej w Mongolii, na Hybrydach albo na Jukonie. Uśmiechnął się lekko. Zawsze bawiło go, kiedy ktoś tak silny jak jego matka - od lat tańcząca w balecie nowojorskim, a przez to silna jak stal sprężynowa i o języku ostrym niczym brzytwa - martwi się o swojego „małego chłopczyka”, jakby sam nie odziedziczył części tej siły.

Znienacka pojawił się nad nim właściciel gospody. -Potrzebne ci drugie krzesło? - spytał. Był postacią archetypową, podobnie jak nieznajomy przy kominku: gruby, łysiejący, ubrany w fartuch, który ostatni raz prano, zanim zaczął się cykl Smoka, i wiecznie w złym humorze.

Leif podniósł głowę. - Czekał na kogoś - powiedział.

- Świetnie - odparł właściciel gospody i złapał jedną ręką wolne krzesło. - Kiedy się pojawi, dostaniesz drugie krzesło. Tego potrzebuję dla klientów, którzy płacą.

Leif podniósł kufel nalewki ziołowej, z którego popijał i zamachał właścicielowi znacząco przed oczami.

- Trudno - powiedział właściciel. - Chcesz drugie krzesło, zapłać za drugiego drinka. - Zaczął się śmiać z własnego dowcipu, prezentując zęby prosto z horroru dentystycznego.

- Nierozsądnie jest obrażać Czarodzieja - zauważył Leif. Właściciel gospody spojrzął na niego pogardliwie.

Najwyraźniej niezbyt mu imponował młody, szczupły mężczyzna, w nieco znoszonym stroju, pokrytym wyblakłymi i niezrozumiałymi alchemicznymi i magicznymi symbolami. - Jesteś zwykłym Krzaczakiem - zadrwił karczmarz. - Co mi zrobisz? Nie zostawisz napiwku?

- Nie - odparł pogodnym głosem Leif - zostawię ci napiwek. Zdjął z głowy kapelusz i przez

chwilę czegoś w nim szukał. Wreszcie wyjął coś i rzucił we właściciela gospody, mrużąc pod nosem jedno słowo.

Właściciel machinalnie złapał i na chwilę utkwiał wzrok w czymś, co wyglądało jak szmatka oplataną sznurkiem i na jego twarzy pojawił się wyraz całkowitego zdumienia. Nagle, nie wiadomo skąd pojawił się obłok dymu i otoczył go. Wszystkie głowy w karczmie odwróciły się w ich kierunku.

Dym powoli się rozwiął, a w miejscu, w którym przedtem stał właściciel, na podłodze siedziała teraz mała biała myszka i wystraszona rozglądała się wokół.

Leif pochylił się i podniósł leżący obok niej, zawinięty w szmatkę talizman. - Nawet Krzewiaści Czarodzieje - powiedział - znają kilka zaklęć. Taki napiwek wystarczy? - I spojrzał pod sąsiedni stół, a następnie przeniósł wzrok na myszkę. - Życzę miłego dnia.

Mysz odwróciła się, żeby sprawdzić, co przyciągnęło uwagę Leifa... i zobaczyła poobijanego w różnych walkach białego kota, który zbliżał się w jej kierunku, najwyraźniej gotów na przystawkę przed obiadem.

Mysz pomknęła po startej kamiennej podłodze. Kot ruszył jej śladem, ale bez specjalnego pośpiechu, jakby cieszyła go perspektywa hors d'oeuvre.

Pozostali goście również stracili zainteresowanie całym zdarzeniem, ponieważ córka właściciela, zupełnie nie przejmując się losem ojca, zaczęła obchodzić stoliki, zbierając zamówienia. Leif schował talizman i usiadł wygodnie na krześle, popijając ziołową nalewkę, znów kierując swoją uwagę na dyskusję zagranicznych kupców na temat przyszłych rynków.

Tutaj, zupełnie tak samo jak w świecie rzeczywistym, kupcy prowadzili terminowe transakcje giełdowe wieprzowiny i Leif bez trudu wyobraził sobie ojca, jak siedzi wśród nich i omawia marże i sprzedaż blankową, jeszcze zanim krowy i wieprze trafią do klientów.

Naprawdę powinienem go kiedyś namówić, żeby tu wpadł, pomyślał leniwie Leif. Myślę, że zarobilibyśmy tu niezłe „pieniądze”. Niestety, talent inwestycyjny jego ojca zmuszał go do podróżowania po całej planecie, fizycznie i wirtualnie: do tego stopnia, że nie zgadzał się na spędzanie niewielkiej ilości wolnego czasu w rzeczywistości wirtualnej, ani w żaden inny sposób, który w najmniejszym stopniu wiązał się z pracą. Gdybym go tu zaciągnął, pewnie wolałby zostać jakimś nawiedzonym wojownikiem w przepasce biodrowej. Każda okazja jest dobra do pozbycia się garnituru...

Uwagę Leifa przyciągnął na chwilę jeden z gości, siedzący po drugiej stronie pomieszczenia, wysoki, szczupły, młody mężczyzna w czarnym kaftanie, w skupieniu i metodycznie czyszczący jakiś rodzaj broni podobnej do Glocka. Normalnie mogłoby to wzbudzić pewien niepokój, ale karczma „Pod bażantem i barylką” znajdowała się na terytorium małego księstwa Elendry, a Elendra była w Sarxos jednym z tych miejsc, gdzie proch strzelniczy nie działał. Prawdę mówiąc, nie działał na większości terytorium Sarxos. Twórca gry stworzył ten alternatywny świat dla użytkowników preferujących białą broń, najlepiej taką, w przypadku której przeciwnicy musieli się do siebie bardzo zbliżyć, żeby się pozabijać.

Jednak Chris Rodrigues musiał podejrzewać, że zawsze znajdą się tacy, dla których życie nie byłoby pełne bez broni robiącej głośne BUM, im częściej i im głośniej, tym lepiej i dla nich Sarxos miało przylegające kraje Arstan i Lidios, gdzie materiały wybuchowe i inna broń chemiczna była dozwolona. Na tych terenach było głośno, a częste wojny pociągały za sobą mnóstwo ofiar. Wielu

Sarxończyków z zasady nie zapuszczało się na terytoria Arstan i Lidios, wychodząc z założenia, że lepiej będzie pozwolić chłopcom i dziewczynkom z tej grupy bawić się, jak im się podoba i nie denerwować ich irytującymi obrazkami świata, w którym ludzie załatwiają swoje interesy w inny sposób.

Jednak te obrazki trochę denerwowały niektórych graczy, ponieważ bez przerwy ktoś próbował wynaleźć jakiś materiał wybuchowy, czy odpowiednik prochu strzelniczego, który działałby na całym obszarze Sarxos, pomimo zapewnień twórcy gry, że taka substancja nie istnieje i istnieć nie może. Niektórzy gracze - mający aspiracje, żeby zostać alchemikami albo handlarzami bronią - spędzali sporo czasu próbując wynaleźć taką substancję. Zazwyczaj padali oni ofiarą wypadków, których nie dało się wyjaśnić inaczej jak za pomocą starego sarxoskiego powiedzenia: „Reguły same się sobą zajmą”.

Ktoś nacisnął czarną żeliwną klamkę w drzwiach niedaleko Leifa. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i zasłoniły mu widok. Goście przestali zajmować się tym, czym się do tej pory zajmowali i utkwili spojrzenie w przybyszu - zawsze tak robili, nawet, gdy ten ktoś był znajomy. Ale tym razem najwyraźniej nie był. Więc nie przestawali na niego patrzeć.

Osoba, która weszła do karczmy, odwróciła się i zamknęła drzwi. Była średniego wzrostu, szczupłej budowy, miała długie brązowe włosy, które związała ciasno na karku i upięła na głowie. Jej ubranie utrzymane było w ciemnych, ponurych kolorach: brązowa tunika, czarne bryczesy i buty, obcisła skórzana ciemnobrązowa kurtka, ciemnobrązowy pas podtrzymujący bryczesy, ciemnobrązowy płaszcz do konnej jazdy, rozcięty z tyłu i brązowy skórzany plecak. Jeśli miała przy sobie broń, Leif nie widział gdzie... ale mogła być ukryta.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, wykonując swoją część ceremoniału przypatrywania się - ponieważ był to swoisty ceremoniał. Należało wytrzymać wzrok gapiów, dać im do zrozumienia, że ma się takie samo prawo do przebywania w tym miejscu jak oni... w innym wypadku można było napytać sobie biedy i bez względu na to, czy samemu było się sprawcą własnych kłopotów czy nie, trzeba było potem ponosić przykre konsekwencje. Goście karczmy „Pod bażantem i baryłką”, znając zasady, ostentacyjnie stracili zainteresowanie nowym przybyszem.

Dziewczyna spojrzała na Leifa. On znów uniósł swój kapelusz - na tyle, żeby mogła zobaczyć jego rude włosy.

Podeszła do niego z uśmiechem, usiadła na wolnym krześle i rozejrzała się po karczmie z drwiącą miną.

- Często tu przychodzisz? - spytała.

Leif przewrócił oczami, słysząc tę wyświechtaną formułkę.

- Nie, pytam poważnie. Co za spelunka. Jak ją znalazłeś?

Leif zachichotał. - Natknąłem się na nie w zeszłym roku, podczas wojen. Ma swoisty urok, nie sądzisz?

- Ma myszy - powiedziała Megan, podnosząc nieco stopy i zaglądając pod stół na coś, co pod nim przebiegło.

- Och, cóż, to nie ma znaczenia, bo pojawił się kot...

Leif roześmiał się. - Napijesz się czegoś? Mają tu niezłą herbatę.

- Za chwilę. Rozumiem, że dostałeś listę od Wintersa.

- Aha... kilka dni temu. - Leif odsunął od siebie kufel z nalewką i przybrał poważny wyraz twarzy. - Częściowo mnie zaskoczyła. Problem polega na tym, że gdybym nawet znał tych ludzi, to znałbym przede wszystkim ich nazwiska z gry, a nie z rzeczywistego świata - inaczej być może wcześniej bym coś zauważył. Zresztą pewnie nie ja jeden. Ale od razu widać, że wszyscy „wykopani” byli bardzo aktywnymi graczami. Żadnych dylów. - Leif posłużył się sarxoskim terminem oznaczającym „dyletantów”, ludzi uczestniczących w grze rzadziej niż raz w tygodniu. - I jeśli się nie mylę, nie ma też wśród nich „pomniejszych” postaci. Wszyscy „wykopani” byli pod jakimś względem ważni.

Megan pokiwała głową. Najwyraźniej też to zauważyła. Ale spojrzała na niego trochę krzywo: - Kilka dni temu? Czemu nie zacząłeś tu poszukiwań od razu?

- Zacząłem. - Leif uśmiechnął się do niej szeroko. - Ale chciałem sam przygotować nam grunt do działania. Gdyby okazało się, że to strata czasu, cóż, to byłby tylko mój czas, a nie nas obojga.

- W porządku. Więc, dokąd się udałeś, żeby przygotować ten grunt?

- Głównie na północ. - Sarxos miało dwa wielkie kontynenty, jeden na północy, a drugi na południu. Północny łączył z południowym wielki archipelag w kształcie półksiężyca, istny raj dla piratów, rebeliantów i tych, którzy chcieli przez kilka tygodni odpocząć od grania i popracować nad wirtualną opalenizną. - Porozmawiałem z paroma osobami - powiedział Leif. - Jeden z nich nosi w Sarxos imię Lindau.

- Chodzi o tego, który przeprowadził szturm na Port Wewnętrzny? - spytała Megan.

- Aha. Ostatnio niewiele szturmuje, bo został wykopany. Pogawędziłem też z Erengis, która od zawsze była arcywrogiem Lindaua. To królowa plotek. - Leif przeciągnął się i zajrzał pod sąsiedni stół. - Rozmawiałem też z paroma osobami, które były wrogami Shela lub innych wykopanych graczy; i z paroma ich przyjaciółmi.

Musiał wyglądać na nieco za bardzo zadowolonego z siebie, sądząc z miny Megan. - Jasna sprawa - powiedziała. - I czy pewne nazwisko pojawiło się chociaż raz? A może nawet kilka razy?

Leif uśmiechnął się lekko. - Byłaś tam przede mną.

- Argath - powiedziała Megan. Leif pokiwał głową.

Argath był królem Orxen, jednego z pomocnych krajów, miejsca górzystego i pozbawionego bogactw naturalnych, za to gęsto zaludnionego barbarzyńcami ubranymi w skóry dzikich zwierząt, gotowych w każdej chwili z radością udać się na wojnę. Miejsce to zdobyło sobie przydomek „Czarne Królestwo” z powodu tendencji do przechodzenia na stronę Ciemnego Władcy podczas wielu lat gry, gdy ten na jakiś czas rósł w siłę. Nikt go jednak nigdy nie zdobył, co bardzo złościło lub było powodem zawiści niektórych graczy.

Argath wkradł się do rodziny królewskiej w Orxen podczas ostatniej dekady gry, sposobami, które w Sarxos uznawano za dość naturalny bieg rzeczy. Dał się poznać jako skuteczny generał w siłach onceńskich podczas panowania słabego i pozbawionego charakteru króla. Nikt się specjalnie nie zdziwił, kiedy pewnej nocy staremu królowi Laurinowi przydarzył się nieszczęśliwy wypadek nieopodal jego stawu rybnego. Służba znalazła go w towarzystwie zdumionych karp. Utonął kilka godzin wcześniej. Nikogo też nie zdziwiło, że nie wykryto sprawcy morderstwa; i nikogo nie zdziwiło, że Argath został wybrany nowym królem przez aklamację, ponieważ pechowy król Laurin przeżył wszystkich uprawnionych do dziedziczenia tronu potomków.

Według sarxoskich standardów kariera Argatha po tym zdarzeniu niczym się nie wyróżniała. Latem - jak wszyscy - prowadził walki, zimą spiskował, zawierając przymierza z innymi graczami lub się z nich wykręcając. Wygrywał bitwy, przegrywał bitwy, choć częściej odnosił zwycięstwa. Argath był dobry w tym, co robił. Shel walczył z nim jakiś rok temu, według kalendarza gry, w potyczce podobnej do tej, którą stoczył z Delmondem i wygrał, co wywołało u mieszkańców Sarxos duże zdziwienie, ponieważ armia Argatha była znacznie większa od wojsk Shela.

- Poza tym Argath - powiedziała Megan - nie jest sztucznym wytworem wbudowanym w grę.

- Nie, to prawdziwy człowiek, wiem - powiedział Leif.

- Ktoś mi kiedyś zdradził, czym on się zajmuje w prawdziwym świecie. Argath wygląda na takiego, który źle życzy każdemu, kto pokonał go w uczciwej walce.

- Ale dopiero od niedawna - zauważyła Megan. - A wszystkie wykopania zdarzyły się podczas ostatnich trzech lat według kalendarza gry. Czemu nagle zaczęłyby napadać na ludzi?

- A czemu nie? - Leif wzruszył ramionami. - Coś się zdarzyło w domu. Coś mu nie wyszło i zaczął grać ostro.

- Może, ale nie mamy na to żadnych dowodów - powiedziała Megan. - A Sherlock Holmes zawsze mawiał, że błędem jest stawianie hipotez bez odpowiedniej ilości informacji. Na razie my dysponujemy tylko poszlakami.

- Musimy przecież od czegoś zacząć - powiedział Leif. - Argath się do tego nadaje, chyba że masz lepszy pomysł.

- Nie wiem, czy jest lepszy - powiedziała Megan - ale myślałam o tym, żeby wybrać się do Minsaru.

- Do miejsca, w którym zdarzyło się ostatnie wykopanie.

- Nie tyle ze względu na lokalizację, co na fakt, że jak to mówią: „zebrały się tam orły”. Armia, nawet mała, nie może stracić dowódcy, który na dokładkę prawdopodobnie został wykopany i nie ściągnąć na siebie przy tym ogólnego zainteresowania. Tam się zatrzymają, aż do wyjaśnienia całej sytuacji... aż znajdą nowego pana, któremu złożą przysięgę lojalności albo zdecydują się rozejść. Możemy się dowiedzieć wielu rzeczy, podczas gdy wszyscy będą się tam zjeżdżać, żeby wyjaśnić całą sprawę.

- Brzmi to obiecująco. Ale nadal uważam, że powinniśmy się przyjrzeć Argathowi.

Megan wzruszyła ramionami. - Więc, gdzie dokładnie przebywa obecnie wielki A.

- Zgadnij.

- W Minsarze? - Megan wyglądała na zdezorientowaną. - Żartujesz. A co on tam robi? Minsar to

przecież dla niego mało atrakcyjny rynek. Jedno wolne miasto go nie zainteresuje. Argath prowadzi wojny o całe państwa. Przypomnij sobie, co zrobił w Sarvent, czy na północy w Proveis! Ze strategicznego punktu widzenia, miasto też nie przedstawia dużej wartości. Tak daleko nie da się nawet dopłynąć rzeką.

- Nikt to końca nie wie, co on tam robi - powiedział Leif. - Może pragnie zemsty. W końcu Shel raz go pokonał. Został po nim wakat. Może Argath sądzi, że uda mu się przejąć jego tereny.

- No nie wiem. - Pokręciła głową. - W przeszłości Argath nie zachowywał się tak ostentacyjnie. Czemu nagle miałby zrobić coś tak rzucającego się w oczy?

- Z bezmyślności - powiedział Leif. - W przekonaniu, że nikt go nie złapie.

- Cóż... może. Ale jest tak, jak mówisz - musimy od czegoś zacząć... - Megan rozejrzała się wokół. - U kogo zamawia się tu coś do picia?

- U córki właściciela. Jej tata jest trochę zajęty.

Może sprawił to uśmieszek Leifa, w każdym razie Megan zmierzyła go lekko zdziwionym wzrokiem. Leif pozował na niewiniątko, aż pojawiła się córka właściciela gospody. Megan zamówiła herbatę. Kiedy przyniesiono jej napój, zaczęła go saczyć z zamyślnym wyrazem twarzy, natomiast Leif zainteresował się czymś, co działo się w mroku pod jednym ze stołów po prawej. - Więc - powiedziała. - Jak się tam dostaniemy? Pieszko? A może masz konie na zewnątrz?

- Co? - Leif podniósł na nią nieco błędny wzrok. - Ach, nie. Spadam z koni.

- Rozumiem.

- Niech zgadnę. Oczywiście, jeździsz konno.

Megan przybrała lekko drwiący wyraz twarzy. - Szczerze mówiąc, są rzeczy, w których jestem jeszcze lepsza. Nie miałabym nic przeciwko pieszej wędrowce, tylko że Minsar leży dość daleko stąd i szkoda mi czasu.

- Masz szczęście, że podróżujesz z Czarodziejem - powiedział Leif. - Zaoszczędziłem jakieś pięć tysięcy kilometrów.

Z satysfakcją odnotował wdzięczny uśmiech, którym obdarzyła go Megan. Kiedy nie miało się konia lub innego środka transportu, jak zaprzęg czy oswojony bazyliszek, pozostawało wędrować po Sarxos na własnych nogach... co czasem zdawało się trwać całe wieki: częścią planu projektanta gry było umożliwienie jej uczestnikom „rzeczywistego doświadczenia” jego świata. Jednak gracze mogli wykorzystać zdobyte punkty nie do zdobycia władzy czy pieniędzy, ale transportu. Dzięki zaklęciu (tak prostemu, że nie tylko Czarodzieje mogli się nim posługiwać) człowiek zniknął z jednego miejsca i pojawiał się w innym. Tylko armie nie miały takiej możliwości. Według słów Rodriguesa: „Byłoby to zbyt podobne do świata rzeczywistego”. Ale ludzie odbywający pokojowe podróże w towarzystwie przyjaciół mogli używać zaklęcia, kiedy tylko chcieli.

- To sporo kilometrów - powiedziała Megan. - Czym się zajmowałeś, żeby na nie zarobić?

- Tym, czym się zazwyczaj zajmują Krzewiaści Czarodzieje - powiedział Leif. - Leczeniem chorych... przywracaniem do życia umarłych.

Megan uniosła brew. Niewielu Czarodziejów w Sarxos miało aż taką władzę. - Cóż, w każdym razie leczyłem chorych - powiedział Leif z lekkim uśmiechem. - Kiedy po raz pierwszy wszedłem do gry, kupiłem uzdrawiający kamień od starej, mądrej kobiety, która wycofywała się z gry. Całkiem niezły, działa na wszystkie rany do piątego poziomu i choroby do szóstego poziomu.

Megan zamrugała oczami, patrząc na niego z szacunkiem. - Piąty poziom? Potrafisz sprawić, żeby odrosło odrąbane ramię albo noga, więc musisz być bardzo popularny na polu bitwy. Jakim cudem było cię stać na coś takiego?

Leif zaśmiał się cicho. - Cóż, w zasadzie nie było mnie na niego stać, ale ta kobieta okazała się bardzo miła. Spotkałem ją w lesie, gdzie poprosiła mnie o kubek wody i dałem go jej...

- Rozumiem - weszła mu w słowo Megan. - Jedna z tych staruszek. Dostałeś od niej Nagrodę za Dobry Uczynek. - To zdarzało się w Sarxos bardzo często. Rodrigues nie potrafił się powstrzymać od zapożyczeń ze starych bajek, ludowych przypowieści i opowiadań fantasy, zarówno z czasów Luciana i Samosaty, jak i czasów współczesnych, wykorzystując bardziej lub mniej znane wątki. W związku z tym, warto było dobrze traktować obcych, napotykanych w lesie. Mogli to być gracze w przebraniu... albo sam twórca, pragnący się przekonać, czy postępujesz zgodnie z duchem gry.

- Nagrodziła mnie, to fakt, właściwie dała mi upust. Nie dostałem kamienia za darmo - powiedział Leif.

- W każdym razie, wygląda na to, że ubiłeś niezły interes.

- To prawda. To dobra przykrywka na podróż do Minsaru - powiedział Leif. - Pewnie jest tam mnóstwo rannych, którymi nikt się jeszcze nie zajął, w każdym razie nie Czarodziej. A ty jaką masz wymówkę?

- Tę samą, co zawsze - powiedziała Megan. - Jestem niezależną wichrzycielką, wojowniczką, złodziejką albo szpiegiem, jeśli to konieczne i w zależności od tego, kto mi płaci. Kręcę się tu i tam, żeby zobaczyć, co się dzieje i sprzedać informację, temu kto zapłaci najwyższą cenę. Czasem coś ukradnę... ze szlachetnych pobudek, oczywiście. Walczę, jeśli trzeba. Nawet tutaj, gdzie ludzie powinni się już przyzwyczaić, nie zawsze spodziewają się, że dziewczyna lub kobieta, może być równie dobrym wojownikiem, co mężczyzna, a nawet lepszym. - Uśmiechnęła się trochę smutno. - Szczególnie jeśli nie wyglądasz jak Xena, wojownicza księżniczka w mosiężnym staniku i z wielką włócznią. To mi pasuje. Nie mam nic przeciwko wykorzystywaniu stereotypów dla własnych celów... nawet jeśli nie są kryształowe.

Leif pokiwał głową, zatopiony w myślach. - To dobra postać - powiedział. - Szpiegzy mają dobrą wymówkę, żeby być wszędzie... nawet, gdy tak nie jest. I wystarczy, że się pojawiają, a wszyscy dookoła popadają w paranoję i zdradzają tajemnice, których w innym wypadku nigdy by nie wyjawili.

- Racja. - Megan napiła się herbaty i nagle przerwała, żeby zajrzeć do swojego kufła. - Co do...? Coś tu jest.

- Co? Dodatkowe zioła?

- Zioła nie mają tylu odnóży. To tylko jakiś robak - powiedziała Megan i wyciągnęła robaczka z herbaty, przyjrzała mu się krytycznie, po czym rzuciła za siebie. - No dobrze. Więc masz dużo

kilometrów. Jeśli jesteś gotowy, możemy ruszać prosto stąd.

- Dobrze. Potrzebuję trochę czasu, żeby ustalić dokładne współrzędne, zanim udamy się w drogę. Nie chcę, żebyśmy się przez pomyłkę znaleźli we Frajerlandzie.

Megan spojrzała na niego nieco zdezorientowana. - We Frajerlandzie? Nigdy nie słyszałam tej nazwy.

Leif skrzywił się. - Leży tuż obok Mrocznej Zatoki - powiedział. - To mała kraina. Odizolowana od reszty. I nie bez powodu.

- Tak?

- Nie patrz z takim zaciekawieniem. Nie chciałabyś tam pojechać. - Leif lekko wzruszył ramionami. - To miejsce jest, jakby to powiedzieć, nieco głupawe. Pełno tam stęsknionych za domem księżniczek, przebranych za bardów wędrujących w poszukiwaniu Magicznego Kamienia, mądrych telepatycznych jednoroźców o wielkich smutnych oczach oraz maleńkich krasnoludków w spiczastych czapeczkach, które ujeżdżają przyjacielskie leśne zwierzątka. Miniaturowe misie i borsuczki mają mieszkanka w pniach drzew. Są też maleńkie wróżki trzepoczące przezroczystymi skrzydełkami.

Megan też się skrzywiła. - Coś takiego może negatywnie wpłynąć na poziom cukru.

- Albo na zdrowie psychiczne. Problem polega na tym, że nie leży zbyt daleko od Minsaru. Wystarczy, że się pomyłę o jedną dziesiątą punktu w zakłęciu i możemy się tam znaleźć. Albo co gorsza w Arstanie czy Lidios. - Spojrzał znowu na człowieka czyszczącego swojego sklonowanego Glocka po raz trzeci, czy czwarty z rzędu.

- Serdeczne dzięki, ale nie - powiedziała Megan. - Tam, gdzie mieszkam, jest wystarczająco dużo broni.

Leif kiwnął głową i usiadł wygodnie, opierając się na krześle i wyciągając nogi. - Nawet jeśli na razie nie idziemy dobrym tropem, w co wątpię - powiedział - powinniśmy dowiedzieć się w Minsarze czegoś pożytecznego, jeśli tak jak mówisz, zbierają się tam grube ryby. Poza tym, najciekawsze plotki krążą zaraz po bitwie... zwłaszcza, kiedy jeden z jej wojowników zostaje wykopany.

- Właśnie na to liczę - powiedziała Megan. - Jeśli udałoby się nam... Co się dzieje? - spytała zaciekawiona, ponieważ Leif nagle zainteresował się czymś pod sąsiednim stołem.

- Oho - powiedział Leif. - Wygląda na to, że ma dość. Esmiratovelithoth!

Pod stołem rozległo się głośne BUM! Goście podskoczyli do góry, a najbardziej mężczyzna czyszczący Glocka. Wszyscy patrzyli w tę stronę.

Spod stołu wygramolił się trochę ubrudzony i spocony właściciel karczmy. Ręce i twarz miał podrapane; ślady wyglądały na robotę kocich pazurów, tylko że były większe i głębsze niż normalnie. Właściciel wstał mruczając do siebie i, starannie unikając wzroku Leifa, poszedł do kuchni, klnąc na czym świat stoi.

Zakutany w ciemny płaszcz chłopiec w kącie przy piecu śmiał się serdecznie, bardziej z

mężczyzny z Glockiem niż z właściciela. Megan przyjrzała się temu ostatniemu z ciekawością. - To on był myszą?

- Aha.

- Czy to nie łamie któregoś z praw fizyki, czy czegoś w tym rodzaju? To znaczy, co się stało z całą jego masą, kiedy skurczył się do rozmiarów myszy?

- Hej - zaprotestował Leif. - To czary, co oznacza, że takimi przyziemnymi detalami zajmuje się oprogramowanie. Nie pytaj mnie, co to za oprogramowanie. Nie znam się na tym.

Wstali. Megan rzuciła monetę, która z brzękiem uderzyła o blat stołu. Córka właściciela złapała ją i zgodnie ze zwyczajem sprawdziła zębami, po czym wepchnęła do stanika sukienki. - Ja stawiam - powiedziała Megan, kiedy dziewczyna się oddaliła. - W tych okolicznościach, mógłbyś sobie napisać biedy, gdybyś próbował zapłacić.

Ten człowiek mógłby sobie pomyśleć, że rzucasz na niego zaklęcie.

- Przecież nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

- Jemu to powiedz - odrzekła Megan, patrząc przez ramię na obrzucającego ich wściekłym spojrzeniem i wciąż klnącego właściciela karczmy.

Wyszli na zewnątrz.

Megan z przyjemnością opuściła lokal, ponieważ właśnie doszło w nim do konfrontacji pomiędzy mężczyzną uzbrojonym w Glocka a człowiekiem w ciemnym ubraniu, siedzącym przy kominku. - Czego się na mnie gapisz? - spytał kategorycznym tonem gość z Glockiem.

- Nie ma tu nikogo ciekawszego - odpowiedział za-kapturzony człowiek.

- Masz coś do mnie? - nie dawał za wygraną uzbrojony w Glocka mężczyzna.

- Za kilka minut zrobi się tu gorąco - powiedziała, kiedy wraz z Leifem szli w stronę dużego kwadratowego trawnika przed karczmą „Pod bażantem i baryłką”, który reprezentował „wiejskie błonia”.

- Najlepiej będzie od razu się stąd zmywać - powiedział Leif. - Zresztą, i tak ciekawsze rzeczy dzieją się teraz w Minsarze. A tak przy okazji, kiedy się tam znajdziemy, znamy się czy nie?

Megan zastanawiała się nad tym, kiedy szli w wieczornym mroku w stronę pasa trawy przed karczmą. Tu i ówdzie w trawie pasły się owce, zostawiając tam to, co zazwyczaj zostawiają po sobie owce, więc Megan uważała, gdzie stawia stopy. - Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się do siebie nie przyznawać. W Sarxos mnóstwo ludzi spotyka się przypadkiem i nikt nie powinien zacząć niczego podejrzewać. Poza tym, żadne z nas nie jest na tyle ważną osobistością, żeby interesowano się, dlaczego przebywamy w swoim towarzystwie.

- Racja - zgodził się Leif. - Dobrze, stąd możemy się przenieść.

- Nie stąd - powiedziała Megan, pokazując palcem na ziemię. - Chyba że chcesz zabrać ze sobą ten pokazny owczy produkt uboczny.

- Jasne. - Leif przesunął się o kilka kroków. - Dobra.

- Jak duże jest miejsce geometryczne podczas podróży?
- Półtora metra. Gotowa? Zaczynamy.

Megan rozejrzała się wokół, żeby się upewnić, że wszystkie potrzebne przedmioty znajdują się w półtorametrowym miejscu geometrycznym. Przekonała się, że tak. Jej broń ściśle przylegała do jej ciała, a reszta była jej częścią.

Leif wypowiedział szesnastosylabowe słowo.

Świat stał się czarny, potem biały i znów czarny, a Megan zahuczało w uszach. Kilka sekund później, kiedy tarła oczy, żeby się pozbyć wirujących mroczków, znów usłyszała huk. Problem z zakłęciami podróży polegał na tym, że stanowiły wirtualny odpowiednik nagłego pojawiania się i znikania z hiperprzestrzeni, przez co człowiek przez kilka sekund był dezorientowany i prawie nic nie widział, zupełnie jakby ktoś zaświecił mu fleszem prosto w twarz.

Megan zamrugła, czując jak szybko powraca jej zdolność widzenia. Stali w całkowicie nieruchomym ciemnym i gęstym sosnowym lesie, który aż za często pojawia się w bajkach, a noc zbliżała się wielkimi krokami. Nigdzie nie widać było miasta Minsar.

- Chybiłeś - powiedziała Megan, usilnie starając się, żeby nie zabrzmiało to oskarżycielsko.
- Merde - wymamrotał Leif. - Cholerny du tonnere, jak to się stało?
- Nie ma się czym martwić - powiedziała Megan, ledwo powstrzymując się od śmiechu. Wiedziała, że Leif ma zdolności językowe, jednak nie tak wyobrażała sobie wykorzystywanie talentów lingwistycznych. - Ustalmy, gdzie jesteśmy.
- Ciekawe jak... - Leif rozejrzył się dokoła, po czym włożył palce do ust i zagwizdał.

Megan przyglądała mu się z lekką zazdrością. Nawet dorastając wśród czterech braci, nie zdołała się tego nauczyć. Najwyraźniej jej zęby rosły nie tak jak trzeba. Leif znów zagwizdał, tym razem głośniejsze i zaczął na coś czekać.

W sośnie nieopodal coś się poruszyło. Z wyższej gałęzi na niższą zeskoczył jakiś czarny kształt.

Był to ptak wskazujący drogę. Ptaki te poumieszczano w różnych miejscach, żeby udzielały porad dotyczących gry. W Sarxos na pytanie skąd się coś wie, można było uczciwie odpowiedzieć, że „powiedział mi mały ptaszek”. Zresztą, niektóre nie były wcale takie małe. Ten miał wielkość i upierzenie kruka, ale wyglądał o wiele bardziej inteligentnie i złośliwie niż jakikolwiek kruk.

- Hej - powiedział Leif - potrzebujemy rady.
- Właśnie rano dostałem świeżą dostawę - powiedział ptak dość wazeliniarskim tonem, sugerującym, że w poprzednim życiu mógł być sprzedawcą używanych samochodów. - Jeśli tam skręcicie i pójdziecie tą drogą jakieś dwa kilometry - wskazał dziobem w lewą stronę - na wysokim szczycie ujrzyjecie piękną dziewicę leżącą na otoczonej ogniem skale...
- O nie, mowy nie ma - przerwał mu pośpiesznie Leif. - Wiem, jak to się kończy. Już wolałbym wybuch wojny atomowej.
- Po niej na pewno nie usłyszałbyś już śpiewu ptaszków - powiedziała Megan. - Ptaku, jak stąd dostać się do Minsaru?

Ptak obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. - Ile to dla ciebie warte?

- Połowę ciastka?

Ptak przemyślał ofertę i odpowiedział: - Zgoda.

Megan wygrzebała z plecaka obiecane ciastko i zaczęła je drobić na ziemię. Ptak zleciał z drzewa i zaczął dziobać okruchy, ale Megan zrobiła krok do przodu i odegnała go.

- Hej! - krzyknął rozżalony ptak.

- Najpierw wskazówki - powiedziała Megan.

- Idźcie tą samą drogą jeszcze około dwóch kilometrów i znajdziecie się przy brodzie - powiedział ptak. - Stamtąd do miasta jest jeszcze trzy kilometry na północ. Teraz dawaj ciastko.

Megan cofnęła się i ptak podleciał do okruszków. -Mówię wam, to nie to co kiedyś - wymamrotał, napychając sobie dziób okruchami ciastka. - Problem w tym, że nikt nikomu nie ufa.

Leif zachichotał. - Chciałeś powiedzieć, że nikt nikomu nie daje tu nic za darmo - powiedział. - Żegnaj, ptaszku.

Ptak nie odpowiedział, zajęty jedzeniem.

Odeszli od niego. Leif wciąż wyglądał na trochę zirytowanego faktem, że przez niego znaleźli się nie tam, gdzie trzeba. - Mogę nas stąd przerzucić - powiedział. - Współrzędne nie powinny stanowić problemu.

Megan wzruszyła ramionami. - Po co marnować kilometry, kiedy jesteśmy tak blisko? Równie dobrze możemy się tam przejść. Przecież w tym lesie nie straszy, ani nic takiego.

- Nie słyszałem, żeby straszyło - powiedział Leif. -Ale...

- Jeśli chcesz się przenieść, twoja sprawa - powiedziała Megan. - Ale kilka kilometrów marszu w ciemnościach mnie nie przeraża.

- Pewnie masz rację. Chodźmy.

Droga do Minsaru zajęła im nieco ponad godzinę, ale miasto poczuli nosem, zanim jeszcze je zobaczyli. I to nie samo miasto tak śmierdziało, a pole bitwy przy brodzie.

Subiektywny czas w Sarxos płynie wolniej niż w świecie rzeczywistym. Rodrigues od początku chciał, żeby tak było, częściowo by dać swoim graczom możliwość bogatszego przeżywania tego, za co płacą, a częściowo nawiązując do starych legend, w których czas płynął wolniej tym, których elfy czy inne nadprzyrodzone stworzenia zabierały do Tajemniczych Krain. To oznaczało, że w świecie zewnętrznym od bitwy Shela Lookbehinda z Delmondem upłynęło już półtora tygodnia, a tu minęło zaledwie parę dni, i nawet cała armia padlinożerców nie oczyściłaby Brodu Artelskiego w tak krótkim czasie. Dawno już zapadł zmrok, więc padlinożerne ptactwo wyniosło się z pola bitwy. Ale kiedy Leif i Megan szli przez bród, słysząc jak pod nogami chrzęści im żwir, z drugiego brzegu rzeki patrzyło na nich wiele par błyszczących z ciekawości oczu zwierząt, którym przerwano ucztę.

- To tylko wilki - powiedział Leif.

Megan zacisnęła zęby, nie tyle z powodu odoru, co tych zaciekawionych ślepi, taksujących ich

uważnym spojrzeniem, kiedy brnęli przez zimną, bystrą rzekę. -Tylko. Tylko sto wilków.

- Śmierdzi tak, że muszą być bardzo zajęte - powiedział Leif. - Nic nam nie zrobią.

- Nie - powiedziała spokojnie Megan. Leif spojrzał na nią kątem oka i ze zdziwieniem zobaczył długi, ostry nóż, który nagle pojawił się w jej ręku.

- Gdzie go trzymałaś? - spytał.

- W ukryciu - odpowiedziała Megan, kiedy dotarli na sam środek pola bitwy - nie było sensu go okrażać; wszędzie leżały ciała. Cały czas obserwowani przez wilki, minęli je i zwierzęta ponownie skierowały swoją uwagę na makabryczny posiłek. W nocnym powietrzu odgłosy jedzenia mięsa i kruszenia kości wydawały się bardzo głośne.

Megan poczuła ulgę, kiedy wreszcie weszli na drogę i odgłosy ucichły za ich plecami, kiedy pokonali pierwszy zakręt. Zapach pozostawał z nimi nieco dłużej i kiedy wreszcie się rozwiął, poczuli smród systemu kanalizacyjnego Minsaru, który rynsztokami ciągnącymi się przez ulice miasta, odprowadzał nieczystości do sadzawek za murami.

Minsar miał kilkaset lat i dwukrotnie przerósł już swoje mury. Po zewnętrznej stronie starych granitowych murów powstało miasteczko namiotów i chat. Nie zabrakło, oczywiście, przedstawicieli przeróżnych gałęzi przemysłu, które zbyt nieprzyjemnie pachniały albo były zbyt niebezpieczne, żeby dostać pozwolenie na działalność po wewnętrznej stronie murów. Do tej grupy należeli grabarze, papiernicy i piekarze (podobnie jak w innych miastach, również w Minsarze odkryto, że w odpowiednich warunkach mąka może się stać silnym materiałem wybuchowym). Teraz jednak po drugiej stronie „zewnątrznego pierścienia” pojawił się nowy rząd namiotów i prowizorycznych budowli. Były to namioty i wozy wojska, które broniło Minsaru oraz zabudowania mniejszych i większych grup wojowników, przybyłych do miasta pod wodzą swoich panów, żeby ocenić sytuację.

Megan i Leif precyzyjnie przeszli do bram miasta przez hałaśliwy tłum. Pieczone mięso, rozlane wino, świeży chleb (wyglądało na to, że piekarze pracują całą dobę, żeby zaspokoić rosnące potrzeby), konie i końskie łajno, stojąca woda w podmiejskich sadzawkach, sporadyczny powiew perfum od strony przechodzącej w pobliżu markietanki, podróżującej za obozem wojskowym albo powiew mydlanej woni od żołnierza wracającego z łaźni zbudowanych przed murami. Wszystkie te wonie mieszały się ze sobą i snuły się wśród setek głosów, krzyków, śmiechów, przekleństw, żartów i rozmów w wielu językach. Leif i Megan wsłuchiwali się uważnie w te rozmowy, idąc w stronę bram i wchodząc przez nie do miasta. Strażnicy bram nie przykładali się zbyt do swojej pracy. W mieście nadal panował świąteczny nastrój, po tym jak zostało ocalone przed splądrowaniem przez Delmonda. Większość rozmów wokół Leifa i Megan, poruszających się główną ulicą wyłożoną brukiem, toczyła się na temat tego, że komuś ledwo udało się umknąć, że armia pozostała bez dowódcy oraz co się teraz stanie z tą armią.

- Gdzie się podział twój nóż? - spytał cicho Leif.

- Schowałam go - powiedziała Megan.

- To dobrze. Tutaj posiadanie noży jest nielegalne.

- Nie sądzę, by ktoś był w stanie wyegzekwować to prawo dzisiejszej nocy - zauważyła Megan, przyglądając się hordom uzbrojonych mężczyzn i kobiet, tłoczących się wokół nich, próbujących się dostać do wnętrza tawern przy głównym placu lub wychodzących z nich ze szklankami wina.

Zorientowała się, że stara się nie wpatrywać zbyt obcesowo w krzykliwie ubranego, garbatego karła, który przeciął jej drogę, przepychając się przez tłum i wymachując miniaturowym mieczem ku uciesze gawiedzi. - Chciałbyś rozbrajać tych wszystkich ludzi? Jak myślisz, ilu nocnych stróżów jest w Minsarze?

- Dzisiejszej nocy? Mniej niż zazwyczaj - powiedział Leif. - Rozumiem, co masz na myśli.

Minęli tłumek przed wejściem do następnej karczmy. Wewnątrz panował niewiarygodny ścisk. Ludzie upakowani jak sardynki przekrzykiwali się nawzajem i próbowali się przepchać do baru i z powrotem. Krzepka barmanka przeciskała się przez tłum, trzymając w obu rękach po parę kufla z piwem, nie szklanych czy ceramicznych, a skórzanych, smołowanych wewnątrz. Skutecznie używała ich jako broni, dzięki czemu wokół niej

wytworzyła się wolna przestrzeń, ponieważ ludzie ustępowali jej z drogi, pragnąc uniknąć oblania.

Leif wmieszał się w tłum przed drzwiami i wślizgnął się w tunel tuż za barmanką, a Megan poszła za nim. Szum przemieszanych głosów zamknął się nad jej głową jak woda nad pływakiem.

- ...nie wiem, czemu Ergen upiera się, żeby przychodzić tu wieczorem, kiedy jest największy tłum...

- ...wyjść stąd...

- ...na piętrze w wielkiej sali szukając Elblai, nie została tam długo, więc pomyślałem...

- ...zbyt wielu idiotów nastawionych na picie i wszczęcie bójki, wołałbym nie...

- ...pięć razy whisky słodowa i grzane wino... Megan dostrzegła, że jeden z rozmówców wychodzi z tłumy i oddala się z grupką przyjaciół. Szturchnęła Leifa i pokazała mu, żeby szedł za nią.

Pokiwał głową i podążył w jej ślady, cudem unikając zgniecenia.

- Szkoda, że nie mają tu prysznic - mruknął. - Chętnie bym teraz z niego skorzystał.

- Noc jeszcze młoda. Wiesz co, usłyszałam znajome imię.

- Tak?

- Elblai. Widzisz tych gości? Tam, w tej wąskiej uliczce. Chodź.

Rozejrzał się i odnalazł ich wzrokiem: dwóch wysokich mężczyzn i dwóch niższych, z których jeden był wyjątkowo niski, idących wąską uliczką. Megan ruszyła za nimi.

Leif zrobił to samo. - Co powiedzieli?

- Coś, co mnie zaciekało. - Uśmiechnęła się lekko w ciemnościach rozproszonych nikłym światłem pochodni. - Kiedy się szpieguje tak długo jak ja, często człowiek ma nosa do tego, co warto podsłuchiwać. To może być coś.

Megan zagłębiła się w uliczkę, a Leif szedł kilka kroków za nią. Uliczka miała nie więcej niż sto dwadzieścia centymetrów, a po obu stronach otaczały ją drewniane drzwi i pozamykane okiennice. - To nie jest ulica - mruknął Leif. - To przechodnia szafa. - Na końcu uliczki zobaczyli lekko uchylone drzwi. Przez szparę wydostawało się światło z kominka oraz przytłumione głosy, śmiech i krzyki.

Drzwi otwarto szerzej, żeby wpuścić idących przed nimi mężczyzn i zaraz zaczęto je zamykać. Megan przyśpieszyła, żeby wślizgnąć się do środka, zanim drzwi zamkną się całkowicie. Starła się, żeby to wyglądało naturalnie. Wewnątrz, dokładnie naprzeciw drzwi znajdował się kominek, a obok niego okno łączące pomieszczenie z kuchnią. Na szerokim parapecie stało kilka dzbanów z piwem, a kiedy weszli, ktoś wysunął przez otwór półmisek z pieczoną kaczką i wręczył go przechodzącemu kelnerowi. To miejsce wyglądało na dość eleganckie. Podczas, kiedy w innych karczmach światła dostarczały pochodnie wetknięte w żelazne uchwyty, tu wisiały prawdziwe, olejowe lampy ze szklanymi abażurami. Na starych, porysowanych stołach, poustawianych w pomieszczeniu, znajdowały się świeczki z knotami z sitowia, powtykane w małe żelazne podstawki. Przy stołach siedziało pełno ludzi pogrążonych w rozmowie, jedząc, pijąc i paląc.

Leif szturchnął Megan i pokazał wolny stół na uboczu, nie za blisko stołu, zajmowanego przez mężczyzn, których śledzili, ale wystarczająco blisko, żeby słyszeć ich rozmowę. Na szczęście, nie starali się być specjalnie cicho. Zawołali właściciela karczmy, zamówili wino, rozsiedli się wokół stołu i wznowili rozmowę mniej więcej w tym samym miejscu, w którym ją przerwali.

- ...po prostu się zmyć.
- Został wykopany. Każdy to wie.
- Mają pewność, że tak było?
- Och, daj spokój, słyszałeś o kimś, kto by zaaranżował własne wykopanie? Nie sądzę, żeby to było możliwe. Reguły.
- Nie wydaje mi się, żeby w Regułach było coś przeciwko temu - powiedział najmniejszy mężczyzna o jastrzębiej twarzy i małych, mądrych oczach. - To może być nowa, ciekawa taktyka. Znikasz... i pojawiaasz się w najmniej spodziewanym momencie.

Megan musiała przerwać podsłuchiwanie, ponieważ do ich stolika podeszła wysoka, szczupła kobieta i powiedziała: - Co podać?

- Najlepszy miód pitny, dobra kobieto - powiedział Leif. - A dla mojej towarzyszki...
- Gahfeh, poproszę - powiedziała Megan. - Morstofiański palony, z dużą ilością śmietanki i podwójną porcją cukru.

Wysoka, szczupła kobieta odrzuciła na plecy swoje długie, ciemne włosy i powiedziała. - Nie ma śmietanki, a za podwójne słodzenie płaci się dodatkowo.

- Och, w takim razie, bez śmietanki i podwójnego cukru - powiedziała Megan zrezygnowanym tonem. Kobieta oddaliła się robiąc minę, która jasno mówiła, że poddaje w wątpliwość zdrowie psychiczne Megan, skoro ta domaga się usług ekstra.

- ...myślę, że nie skorzystałbym z takiej taktyki - powiedział jeden z mężczyzn. - I nie pasuje mi to do Shela.

- Dobrze go znasz?
- Nie, ale słyszałem te same opowieści co wszyscy. Jeśli on...

Przerwali, kiedy do ich stolika podeszła kobieta obsługująca lokal, i zaczęli długą dyskusję na

temat zimnych i gorących napojów. Megan nie ciekawiła ta kwestia, zainteresowały ją natomiast reakcje innych ludzi, zarówno wojowników, jak kupców, którzy siedzieli wystarczająco blisko, żeby słyszeć, co się dzieje. Niektórzy pochyłali się w stronę stolika z rozmawiającymi mężczyznami, udając, że tego nie robią. Kiedy kelnerka odeszła, mężczyźni, których podsłuchiwała Megan, zniżyli głosy niemal do szeptu. Zrobiła niezadowoloną minę i skupiła się na gahfehie, który jej właśnie podano.

- Ryzykowna teoria - powiedział szeptem Leif.

- Czasem ludzie nie potrafią uwierzyć w to, co się naprawdę stało - powiedziała Megan. -

Zaczynają racjonalizować. Chciałabym, żeby jeszcze raz powtórzyli to imię.

Leif potrząsnął głową w geście oznaczającym „co by to dało”. Jeden z mężczyzn podniósł głos.

- Dlaczego musimy gnieździć się w tej speluncie, kiedy reszta bawi się w wielkiej sali?

Megan zaczęła żałować, że to gra, a nie jakaś prostsza forma rozrywki, którą można pogłodzić, żeby lepiej słyszeć. - W życiu nas tam nie wpuszczą - odpowiedział mu drugi, do którego ten pierwszy się zwrócił.

Znowu przerwali, ponieważ pojawiła się nowa kolejka. Pierwszy mężczyzna pociągnął spory łyk piwa ze skózanego kufła. - Nas może i nie, ale wszystkich ważnych graczy na pewno. Dziś w nocy nie mogą sobie pozwolić na to, żeby kogoś obrazić. Kto wie, co by się mogło stać, gdyby ktoś się nie dostał do środka i odjechał rozgniewany... po czym wrócił tydzień później z pięcioma tysiącami ludzi, których nikt w mieście nie odważyłby się już odesłać z kwitkiem. Jestem pewien, że to miasto płaci dziś rachunek za rozrywkę kierownictwa. We własnym interesie. Kto wie, może jutro skończy się im jedzenie i będą mieli wymówkę, żeby wszystkich wyrzucić. Ale dziś nikt nie wyrzuci stąd tych ważniaków. Szykuje się za dużo interesów do ubicia.

- Co ty wiesz o interesach?

- Wiem i to sporo.

- Jasne, przecież jesteś najlepszym kumplem Argatha. Właśnie dlatego siedzisz tu z nami i popijasz to rozwodnione świństwo.

Rozległ się gromki śmiech i ryk obrazonego, który oznaczał, że sprawy mogą przybrać nieprzyjemny obrót, jeśli pozostali będą mu nadal dokuczać. Leif spojrział na Megan.

- Słyszałaś nazwisko. Czyje? - spytał. Powiedziała mu.

- Cóż - powiedział. - Wydaje mi się, że usłyszałem jeszcze jedno. Wygląda na to, że warto złożyć tam wizytę.

- Jasne, jeśli uda nam się tam wślizgnąć i uniknąć wyrzucenia na bruk.

Leif zamyślił się. Megan siedziała w milczeniu przez kilka sekund - rozmowa przy sąsiednim stoliku znów stała się niesłyszalna, a mężczyźni starali się uspokoić swojego wzburzonego kompana - i powiedziała cicho do Leifa.

- Jesteś dobrym Krzewiastym Czarodziejem?

Leif spojrzał na nią, jakby lekko obraziła jego dumę zawodową. - Całkiem niezłym.

- Chcesz się jeszcze raz przenieść?

- Stąd? Pomyślę współrzędne o jedną dziesiątą i obydwójce skończymy w ścianie, a wtedy żegnajcie nasze wspaniałe postaci. I cała misja. Nie, dzięki!

- No dobrze. Umiesz robić się niewidzialny?

Leif spojrzał na nią, trochę zdziwiony. - Oczywiście.

- A drugą osobę?

Pomyślał chwilę. - Nie na długo.

- To nie musi być na długo. Musimy tylko dostać się do sali, w której te ważne osobistości mają spotkanie. Potem schowamy się za jakiś gobelin, czy coś w tym stylu.

- To mnie będzie kosztowało trochę punktów - powiedział Leif.

- To dla dobra sprawy. Oj, daj spokój, Leif. Oddam ci moje punkty, żeby pokryć różnicę! Mam ich sporo.

- No dobrze - powiedział Leif. - Ale podejźmy tak blisko jak się da. Gdzie jest ta wielka sala?

- Jestem prawie pewna, że w centralnej wieży.

Dopili zamówione napoje, starając się wyglądać naturalnie, zapłacili rachunek i poszli w stronę wąziutkiej alejki, prowadząc lekką w tonie rozmowę, w nadziei, że nie wzbudzą niczyich podejrzeń. To milczący ludzie, przemykający się w ciemnościach, przyciągają uwagę innych w taką noc. - Jeśli oboje tam są - powiedział Leif - trafiliśmy na dobry ślad.

- Jeśli tam są - odparła Megan. Kierowali się w stronę wieży, wysokiej kamiennej budowli o kwadratowej podstawie, która zajmowała przeciwległy kraniec rynku.

Przy jej otwartych drzwiach zebrała się grupa ludzi, którzy wyglądali na strażników. Pili z metalowych kubków, rozmawiając cicho i czujnie rozglądali się wokół. Większość z nich narzuciła na zbroje różnokolorowe płaszcze i prawie wszyscy mieli czyjeś herby wyszyte na piersiach. Obrzucili Megan i Leifa zdawkowymi spojrzeniami. Dwójka Zwiadowców minęła ich i poszła w stronę bocznej ściany budynku, gdzie wąska uliczka prowadziła do centrum miasta. Po drodze Megan udało się zajrzeć przez otwarte drzwi i zobaczyć, co się dzieje wewnątrz. Przed oczami mignęły jej wirujące kolory, przytłumione głosy odbijające się echem od wysokiego sufitu pomieszczenia, ogromne gobeliny na przeciwległej ścianie, delikatnie falujące przy uchylonych oknach, które zasłaniały.

Leif wybrał miejsce tuż za zakrętem wieży, gdzie nie dochodził już blask pochodni i zaczął szukać czegoś w jednej ze swoich kieszeni. - Interakcja w grze - wyszeptał.

Megan poczuła lekkie wibracje w powietrzu, z czego wywnioskowała, że komputer rozmawia z Leifem, tak żeby nikt inny tego nie słyszał. - Transfer punktów - powiedział. - Niewidzialność. Miejsce geometryczne dla dwóch osób. - Zatrzymał się i uniósł brwi. Spojrzał na Megan. - Wiesz, ile to będzie...?

- Nieważne, jeśli to nie więcej niż trzy tysiące - przerwała mu - ponieważ tyle mniej więcej mam punktów.

- O, nie, to tylko dwieście.

- Świetnie. Interakcja w grze - wyszeptała.

- Słucham - wyszeptał cicho komputer prosto do ucha Megan.

- Przenieś dwieście punktów na konto Leifa.

- Zrobione.

- No dobrze - powiedział Leif. - Wiesz, jak to działa?

- Mniej więcej.

- Nie wchodź nikomu na linię wzroku i unikaj mocnego źródła światła - powiedział. - Na szczęście, tam są głównie pochodnie. Trzymaj się blisko ścian, to najlepszy sposób, a jeśli musisz przeciąć źródło światła - pochyl się. Mów naprawdę cicho. Miejsce geometryczne wzmacnia dźwięki. I na litość rodoską, nie wpadnij na nikogo.

- Rozumiem.

- Interwencja w grze - powiedział Leif. Niespodziewanie wokół rozległo się buczenie, i Megan poczuła swędzenie na całym ciele. Rozejrzała się wokół. Otoczenie wyglądało zwyczajnie, ale kiedy podniosła rękę do oczu, nic nie zobaczyła.

Poszukała wzrokiem Leifa, ale go nie znalazła. Tego efektu ubocznego z niewiadomych powodów raczej się nie spodziewała.

- No dobrze - powiedział nieco zbyt donośnie jakiś głos w pobliżu. - Posłuchaj. Wejść do środka frontowymi drzwiami, kiedy strażnicy nie będą zbyt gorliwie pilnować przestrzeni pomiędzy nimi i nikt inny nie będzie wchodził ani wychodził. Ty zrób to samo. Ukryję się w pierwszym dogodnym miejscu po prawej stronie. Zrób, tak jak ja, tylko pójdz w lewo. Pokręć się tam przez chwilę. Potem wybierz największy gobelin w pomieszczeniu i schowaj się za nim. Tam pozbędziemy się na chwilę niewidzialności, żeby jej nie nadwerężyć - niedobrze jest używać jej zbyt długo.

- Dobrze. Ale jeśli ktoś jeszcze ukrywa się za gobelinami?

- Wybierz następny największy. I módl się, żeby nie był zajęty.

Ostrożnie podeszli do wejścia. Megan kilka razy musiała uskakiwać z drogi ludziom, którzy przechodzili tak blisko, że mało brakowało, a by ją potracili. To samo powtórzyło się, kiedy stała przy otwartych drzwiach, czekając na sposobną chwilę. Wreszcie znalazła kilka sekund, kiedy nikt nie wchodził ani nie wychodził, a strażnicy patrzyli w przeciwne strony.

Wślizgnęła się do środka i wpadła na coś niewidzialnego. Leif. Minęło kilka chwil, zanim otrząsnęła się z szoku, potem weszła szybko do środka i natychmiast musiała umknąć z drogi eleganckiemu szlachcicowi, który szedł prosto na nią. Kiedy stała nieruchomo, miała okazję, żeby pobieżnie zbadać pomieszczenie. Było bardzo reprezentacyjne, choć pierwotnie komnata składała się

z gołych ścian i sufitu pełnego otworów na belki stropowe. Teraz zbudowano solidny sufit i zastąpiono nim prowizoryczny z czasów, kiedy wieża służyła do celów czysto obronnych. Przez cały pokój ciągnęły się wysokie, białe, stylowe kolumny. Środek pokoju zajmował duży, czerwono-niebieski dywan. Wzdłuż gołych ścian, na których wisiały wielkie gobeliny, przykrywające kamienne powierzchnie i chroniące przed przeciągami, porozrzucano skóry różnych zwierząt. W centralnej części pomieszczenia stały małe - trzy, czteroosobowe - grupki ludzi, którzy pili i rozmawiali ze sobą. Na końcu pokoju, na tle największego gobelinu, znajdowało się podium - choć to może za dużo powiedziane, ponieważ składało się ono z jednego stopnia. Stało na nim białe krzesło. Było puste.

Krzesło to najdobitniej określało obecną sytuację. Miasto Minsar nie ma teraz prawowitego właściciela: przynajmniej od momentu zniknięcia Shela. W wielkiej sali znajdowało się obecnie wielu potencjalnych właścicieli... ludzi, którzy rozglądali się po nieruchomości, biorąc pod uwagę możliwość, iż jej właściciel nigdy już nie wróci, a jeśli nawet, to może nie być w stanie powstrzymać ich przed jej zajęciem. Wielu z nich agent nieruchomości nie zaliczyłby do grupy ludzi lubiących tracić czas.

Megan rozglądała się wokół siebie uważnie, idąc w kierunku ściany po lewej stronie i kiedy do niej dotarła, przywarła do jej powierzchni plecami i wzięła głęboki oddech, usiłując chociaż częściowo pozbyć się brzęczenia w uszach. Przyszło jej do głowy, że dla Minsaru mogą nadejść złe czasy. Chyba że miasto szybko znajdzie potężnego protektora. W innym przypadku nie minie wiele czasu, a któryś z tych ludzi pojawi się przed bramami miasta wraz z armią i wiadomością o treści: „Uznajcie nas za «protektorów»... albo straciecie wszystko, co macie”. Istniała spora szansa, że ewentualny protektor to któryś z gości; to powód, dla którego wydano przyjęcie, pomyślała Megan. Żadne miasto nie chciałoby narazić się nowemu właścicielowi albo zostać oskarżonym o obrazę lub brak gościnności, kiedy sytuacja się już wyklaruje.

Rozejrzała się po sali, żeby ustalić, który gobelin jest największy. Okazało się, że ten za tronem: nie da się go obejść. Przynajmniej nie ma tam na razie nikogo. Wiele osób patrzyło na tron z odległości, ale nikt nie podchodził bliżej. Może nikt nie chce wyjść na zbyt zachłannego w tak wczesnej fazie ustaleń, pomyślała Megan.

Wolno i ostrożnie poszła wzdłuż ściany po lewej do ściany z podium, wyteżając po drodze słuch. Na wprost niej stały półkolem uginające się od jedzenia stoły, a goście zajadali się tak, jakby od wielu dni nie mieli nic w ustach. Pomiędzy nimi przechadzał się z pozoru swobodnie - a raczej takie pragnął zdaniem Megan sprawiać wrażenie - mężczyzna ubrany w skromny ciemnoszary strój, za to z grubym, złotym łańcuchem, o ogniwach wielkości pięści na piersiach.

To burmistrz, jedyna legalna władza w Minsarze, która ostała się po zniknięciu Shela. Zdaniem Megan mężczyzna miał raczej nieszczęśliwy wyraz twarzy, mimo wysiłków, żeby wyglądać swobodnie; obserwował gości z taką miną, jakby nie był pewien, czy lada chwila nie wybuchnie walka o jego miasto. Na szczęście nic na to nie wskazywało. Megan widziała tylko szlachtę i ważnych wojowników jedzących i pijących i wydawało jej się, że tylko to ich interesuje. Nie widziała natomiast nigdzie skupiska ludzi, które sugerowałoby, że jest tam ktoś ważny. Nauczyła się szukać takich małych grup, do których przynależność określał status społeczny. Poznała je na koktajlach w domu rodziców. Zasada była taka, że najważniejsza osoba na przyjęcia nieuchronnie trafiała w sam środek takich grup, chociaż w miarę rozwoju przyjęcia skład grup mógł się zmienić. Inną zasadą było, że prędzej czy później wszyscy gromadzili się w kuchni... chociaż tutaj to raczej wątpliwe. Kuchnia w średniowieczu była przeznaczona wyłącznie dla służby.

Przeszła tak blisko bufetu jak tylko mogła, wsłuchując się uważnie w rozmowy, ale bała się podejść za blisko, żeby ktoś na nią nie wpadł. Niewidzialność to niebezpieczna rzecz. Niektórzy gracze mogli zareagować za pomocą noża na coś, czego nie byłiby w stanie zobaczyć.

- Łosoś jest bardzo smaczny...

- Skończyło się wino. Gdzie jest ta dziewczyna? Zdecydowanie za mało tu służby...

- ...szkoda mojego czasu. Tu są same płotki i już zaczęły się sprzeczki.

- Tak?

- Oczywiście. Spójrz tylko. Każdy kto się liczy, ubija już gdzieś na boku interes. Tyle że nie z nim, on już wypadł z gry...

Rozmówca - księżę albo baron sądząc po małej koronie - spojrzał na burmistrza, uśmiechnął się i odwrócił wzrok. Potem okrążył stół i podszedł prosto do Megan, a właściwie do pieczonego prosięcia.

Megan cofnęła się gwałtownie, żeby zejść mu z drogi. Księżę czy baron odwrócił się do niej plecami i wziął do ręki nóż do krojenia mięsa.

Megan podeszła stanowczo za blisko. Są ludzie, którzy widzą osoby niewidzialne i lepiej mieć się na baczności, zwłaszcza w sąsiedztwie noży, którymi można rzucać bez ostrzeżenia... o czym sama dobrze wiedziała. Megan, najciszej jak mogła, podeszła do dużego gobelinu za tronem i wsunęła się za niego.

Nieco dalej za gobelinem dostrzegła kształt przypominający Leifa. Doszła do wniosku, że i on wyczuwa jej obecność. Stał w bezpiecznym miejscu, czyli tam gdzie gobelin i podium nachodziły na siebie, dzięki czemu nie istniała obawa, że ktoś zobaczy jego stopy. Podeszła do niego.

- Widzisz go? - spytała.

- Co - uff, to ty. Kogo? - wymamrotał Leif.

- Pytam, czy widzisz burmistrza miasta - powiedziała. - Smaruje masłem dygnitarzy. Dosłownie.

- Aha.

- Posłuchaj, zdejmij to ze mnie. To buczenie jest dokuczliwe. Nic nie słyszę.

- Skutek uboczny zaklęcia - powiedział Leif i natychmiast uwolnił ją od buczenia, cofając zaklęcie. - Nie da się go pozbyć, nie pozbywając się równocześnie zaklęcia. Jeśli ci bardzo zależy...

- Mowy nie ma - powiedziała pośpiesznie Megan. - Jestem wyjątkowo nieodpowiednio ubrana na takie przyjęcie.

A co do ciebie, wyglądasz, jakbyś spał na drzewie. Wiesz, że z twojego czarodziejskiego kapelusza wystaje słoma?

- To dla zachowania atmosfery - powiedział Leif, nieco obrażonym tonem. - Krzewiasty Czarodziej musi wyglądać tak, jakby rzeczywiście dopiero co wyszedł z krzewów.

Megan parsknęła śmiechem, bo Leif faktycznie zadbał o ten szczegół swojej postaci. - Wyjdę jeszcze raz - powiedziała. - Ale to prawdziwa mordęga. Ty możesz znów stać się niewidzialny, ale ja mam ochotę obezwładnić jedną z usługujących kobiet, zabrać jej ubranie i po prostu przechadzać

się tam z dzbanem wina. Wtedy łatwiej byłoby mi podслуchiwać.

Leif uniósł brwi. - Jak uważasz. Masz coś?

- Nic oprócz aluzji, że wszyscy, których z chęcią byśmy posłuchali są prawdopodobnie gdzie indziej.

Leif burknął niezadowolony: - Nie ma się co dziwić. A z drugiej strony... spotkamy się tutaj za kilka minut. Chcesz zakłęcie, czy naprawdę napadniesz tę dziewczynę?

Westchnęła. - Zakłęcie. - Prawie natychmiast usłyszała w uszach znajome brzęczenie, a Leif zniknął bez śladu. - Dzięki. Do zobaczenia za chwilę.

Gobelin się lekko zakołysał i Leif wyszedł. Megan opuściła kryjówkę z drugiej strony i idąc zachowywała wszelkie środki ostrożności. Niewidzialność jest pożyteczna, ale trzeba mieć oczy na plecach, ponieważ nigdy nie wiadomo z której strony ktoś się niespodzianie pojawi. Na dodatek bardzo dziwnie jest chodzić nie widząc własnych nóg.

Znów znalazła się przy bufecie i przez następne piętnaście, czy dwadzieścia minut wprawiała się w sztuce podchodzenia jak najbliżej do jedzenia i rozmawiających gości, nie wpadając na nikogo i nie pozwalając, żeby ktoś wpadł na nią. Zaczęła nawet bardzo ostrożnie podkraść

jedzenie. Łosoś okazał się bardzo smaczny, co było miłe, zważywszy na to, że miała do niego słabość.

- ...prawie skończone tutaj, wydaje mi się - powiedział skromnie ubrany mężczyzna w ciemnoniebieskim stroju pełnym wycięć i haftów.

- Cóż - odpowiedziała mu starsza kobieta, o pięknych srebrnych włosach, ciasno upiętych z tyłu, ubrana w strojną czarnosrebrną suknię - podejrzewam, że los tego miasta, dobry lub zły, rozstrzygnie się w ciągu kilku dni. Szkoda. W pewnym sensie lubiłam tę jego kieszonkową demokrację. Ale ktoś podejmie próbę przejęcia - prawdopodobnie w wyniku akcji zbliżającej się w Marchii.

- Co, Północnej Marchii? Tak blisko? I tak szybko? Byłem przekonany, że taka sprawa będzie się ciągnąć jeszcze przez co najmniej kilka tygodni.

Starsza kobieta rozejrzała się wokół, zanim udzieliła mu odpowiedzi. Nikogo nie było w pobliżu, a przynajmniej tak im się wydawało. Ściszym głosem powiedziała: - Elblai chowa jakiegoś asa w rękawie. Widziałam, jak szła na górę, żeby porozmawiać z Raistem... a bez najważniejszej osoby, to właśnie Raist będzie prowadził negocjacje.

- Nie ma Argatha?

- Wyjechał jakąś godzinę temu - sama widziałam. I to w pośpiechu. Mam wrażenie, że zaczyna się robić gorąco... Z jego armią dzieje się coś takiego, że musi użyć swojej słynnej charyzmy, żeby sobie z nią poradzić.

- Zostawiając Raista Drwiącego, żeby zajął się szczegółami?

- Nie wydaje mi się, żeby Raist miał okazję zająć się czymkolwiek. - Kobieta zachichotała. - Ja stawiam na Elblai...

Rozmawiający odeszli od Megan. Spojrzała na gobelin za pustym krzesłem i zobaczyła jak faluje.

Przełknęła i poszła w tamtym kierunku.

Ukryty za gobelinem Leif drapał się po całym ciele. -To swędzenie może doprowadzić człowieka do szału -mruknął.

- Nie musiałeś mi o tym przypominać - powiedziała Megan, czując się nagle jak chodząca reklama preparatu przeciw pchłom. - Wiesz, przed chwilą usłyszałam coś ciekawego. Argatha tu nie ma.

- Nie ma go? - Leif przerwał na moment, a potem nabrał powietrza w płuca i zaczął coś cicho i żarliwie mruczeć pod nosem w języku, który zdaniem Megan miał nordyckie pochodzenie. I nie brzmiał jak modlitwa.

- Słuchaj, przymknij się na chwilę, dobrze? - powiedziała Megan.

- Tyle kilometrów na darmo...

- Przestań się mazgać, Leif. Nie ma na to czasu. Zgadnij, kto tu jest?

- Kto?

- Elblai.

Zamrugnął oczami, słysząc to imię. - Ta Elblai?

- Właśnie ta. Jest gdzieś na piętrze i rozmawia w cztery oczy z jednym z ludzi Argatha, jeśli się nie mylę.

- Zafferments - powiedział Leif. - Pamiętasz, co mówił ten gość w karczmie?

- Tak i nie będą z tobą o tym rozmawiać, dopóki nie powiesz mi z jakiego języka wzięłeś słowo zafferments. Myślę, że niektóre z nich zmyślasz dla szpanu. Choć i bez tego znasz milion języków obcych.

- To z retoromańskiego - powiedział niedbale Leif, rozglądając się dokoła. - Dialekt sursilwański, jeśli się nie mylę. Słuchaj, wydaje mi się, że jeszcze raz uda mi się wykorzystać „czapkę-niewidkę”.

- Jesteś pewien?

- Chcesz podsłuchać, o czym mówi Elblai, czy nie?

- Czy ja wiem.. - Megan targały sprzeczne uczucia. - No dobrze, chodźmy... trzeba ich znaleźć.

- To nie powinno być trudne. Natomiast pozostanie niewidzialnymi...

- Tylko nie pozwól, żeby zaklęcie przestało działać - powiedziała Megan. - Bez względu na wszystko. Chodź, schody są tam. Będziemy się trzymać ściany i uważać, żeby na siebie nie wpaść, dobrze?

Schodów pilnowali strażnicy, ale to nie stanowiło przeszkody dla Megan i Leifa. Chociaż strażnicy byli czujni, nie wyczuwali niewidzialności i nie potrafili upilnować schodów przed kimś, kogo nie widzą i nie słyszą. Megan i Leif przemknęli się obok nich i weszli na piętro schodami ciągnącymi się wzdłuż lewej ściany. Leif skupił się na utrzymywaniu działania zaklęcia niewidzialności. Zapłacił za nie i to słono, podobnie jak Megan, ale przy odrobinie nieuwagi można było je upuścić, tak jak można upuścić i stłuc cenny przedmiot. A w tej sytuacji utrata zaklęcia mogłaby ich wiele kosztować.

Na piętrze znajdowała się tylko jedna komnata, o ścianach rzeźbionych lub pokrytych materia

zgodnie z północnym zwyczajem, nadającym pomieszczeniu tymczasowy przytulny charakter na użytek kogoś, kto w nim obecnie przebywa. Na ścianach wisiały też grubo tkane gobeliny, chroniące przed powiewami z uchylonych okien. Po jednej stronie, na dużym, zdobionym krześle ustawionym na tle rzeźbionej płyty, siedziała Elblai, a na wprost niej, na mniejszym krześle - jakiś mężczyzna. Był niski, szczupły, krótkowłosy z małą bródką, ubrany w ciemną odzież.

Leif ostrożnie skierował się w ich stronę, trzymając się blisko ściany. Za sobą słyszał delikatne stąpanie Megan. Oświetlenie było przyćmione, ustawione głównie na środku pomieszczenia, a pochodziło z kilku lamp olejowych, wetkniętych w metalowe stojaki zdobione zawitymi wzorami.

Leif postanowił nie podchodzić bliżej niż na trzy metry i przyłgął do gobelinu, uważając, żeby go nie poruszyć.

Poczuł lekkie drganie wełny, kiedy Megan poszła w jego ślady i przez chwilę oboje przyglądali się Elblai. Przyjemnie na nią popatrzeć, pomyślał Leif: miała około pięćdziesiątki i dość krągłą figurę, natomiast krótko obcięte srebrnoblond włosy i twarz zupełnie nie przystawała do ciała kojarzącego się z gospodynią domową. Lekko skośne oczy nadawały jej nieco egzotyczny wygląd, ale były duże, inteligentne i w kolorze tak intensywnie niebieskim, jakiego Leif w życiu nie widział - niemal fiołkowe. Wyglądała jak babcia... babcia siedząca wygodnie z mieczem w ręku, czubkiem opartym o kamienną podłogę. Miała na sobie piękną, połyskliwą kolczugę, nałożoną na pikowaną tunikę koloru samej końcówki płomienia świecy. Nogi w znoszonych wysokich butach oparła na klęczniku stojącym przed jej krzesłem. Siedziała na nim oparta wygodnie, z jedną ręką opartą na rękojeści miecza, którym obracała wolno w prawo i w lewo, rozmawiając.

- Ci trzej od miesiący sprawiają mi kłopoty - mówiła miękkim akcentem ze Środkowego Zachodu do małego, elegancko ubranego mężczyzny, siedzącego naprzeciw niej. - A twój pan ma teraz okazję zrobić mi przysługę.

- Jestem pewien, że uda się go do tego nakłonić - powiedział mężczyzna, gładząc się po krótko przyciętej bródce - pod warunkiem, że pokażałabyś mu, pani, iż taka interwencja będzie dla niego korzystna. - Cały ubrany był w połyskliwą czerń: pikowaną satynę, przeznaczoną do noszenia pod kolczugą, ale kolczuga leżała obok, a on sam miał przy boku tylko długi sztylet.

Elblai roześmiała się na głos. - Raist, nie wmówisz mi, że Lillan, Gugliem i Menel nie zależli mi za skórę tak samo jak mnie. Od wiosny kręcą się po Północnym Kraju szukając bitwy, do której mogliby się wtrącić. Powiedziałam im to i dałam jasno do zrozumienia, że mają się wynosić zanim stracę cierpliwość. No i się wynieśli, ale dokąd poszli? Prosto do orxeńskiej Marchii, gdzie sprzedali swoje kontrakty Argathowi.

- Och, zaraz, zaraz - odezwał się mały, szykowny mężczyzna. - Zdaje się pani, że pomyliłaś nieco fakty. Te kontrakty kupił Enver, Pan Marchii, który, jak wszyscy wiemy...

- Który jak wszyscy wiemy, nie puści bąka, zanim Argath mu nie powie, w jakim ma być kolorze - przerwała mu zniecierpliwiona Elblai. - Nie obrażaj mojej inteligencji i nie próbuj mi wmówić, że Enver to jakiś wolny strzelec. Argath cichaczem kazał mu wykupić te kontrakty i wymierzyć armie tych trzech w moje, które, nawiasem mówiąc, siedzą w letniej kwaterze i spokojnie zajmują się swoimi sprawami. Takiego stanu rzeczy twój pan nie potrafi zrozumieć i jest przekonany, że kryje się za tym jakaś intryga.

Elblai rozkrzyżowała nogi i ponownie założyła je jedna na drugą, tym razem w odwrotnej kolejności. Cały czas kołysała mieczem delikatnie w tę i z powrotem, przez co odbijał się od niego blask z lamp olejowych, a psy myśliwskie, przedstawione na gobelinie wyglądały tak, jakby wpatrywały się w ruchomy promień światła. - No cóż, chce intrygi, to będzie ją miał. Niech ci się nie wydaje, że nie zauważyłam ruchu oddziałów w ciągu ostatnich kilku dni. Potrafię poznać manewr okrążania. Próby okrążania. Niech twój pan, Argath, lepiej spojrzysz na wschód, ponieważ moje posiłki idą stamtąd, i to w dużej liczbie. I jest ich trzykrotnie więcej, niż Argath może w tej chwili zgromadzić. Znam liczbę jego wojsk i jego zamiary, a on moich nie. Ale po to właśnie zatrudniam najlepszych Czarodziejów.

Mały, elegancko ubrany mężczyzna siedział zupełnie nieruchomo. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

- Twój pan ma kilka możliwości działania - powiedziała rozsądnie Elblai. - Może kontynuować to, co zaczął. W takim wypadku jutro wieczorem i rano następnego dnia, Lillan, Gugliem i Menel staną się nawozem razem ze swoimi armiami. A kiedy już zmienię ich w tę pożyteczną substancję, skieruję moją uwagę na Argatha i z nim zrobię to samo. Być może zajmie mi to nieco więcej czasu, ale moi ludzie są zwarci i gotowi, a jego rozrzuceni po całym terytorium, gdzie pewnie zastraszają różne królestwa, żeby te nie podjęły żadnych działań. Z tym to jeszcze zobaczymy. Podejrzewam, że z chwilą kiedy zaatakuje Argatha ktoś na tyle potężny, żeby zmienić układ sił, wszyscy sąsiedzi, znoszący do tej pory jego grabieże, też się przyłączą. Wydaje ci się, że ucieszy go atak z pięciu stron? Bo o tym właśnie mówimy. Kto wie, czy nie więcej niż o pięciu. Moje konie zrobią z Argatha, króla Orxeńczyków, czerwoną plamę.

Elblai przerwała. W komnacie zapanowała absolutna cisza, nie licząc cichutkiego skrobienia czubka jej miecza o kamienną posadzkę. Leif wstrzymał oddech, pewien, że w tej ciszy ktoś na pewno usłyszy jego oddech. Podejrzewał, że Megan robi to samo.

- To jednak - podjęła wreszcie Elblai - tylko jedna z możliwości. Inna jest taka, że Argath odwoła swoich trzech koleżków i każe im zabrać ich armie gdzie indziej. W takim przypadku, wszyscy niebawem dowiedzą się, co się stało. Żaden z nich nie potrafi trzymać gęby na kłódkę, szczególnie kiedy ich zdaniem wykorzystano ich do celów, których sami nie przewidzieli. W tym przypadku na pewno tak pomyślą, a twój pan straci twarz i napyta sobie biedy, jeśli nie w tym roku to w następnym.

- Jesteś tego pewna, pani, prawda? - spytał Raist.

- Jak najbardziej - odpowiedziała Elblai. - Tak samo jak tego, że twój władca nie zgodzi się na moją drugą propozycję. Za duże ryzyko, że wyjdzie z tego z nadszarpniętą reputacją. Więc istnieje jeszcze trzecia możliwość... w myśl której on sam zmierzy się z Lillanem, Gugliemem i Menelem, zmiecie ich armie z powierzchni ziemi, a tym samym da swojej armii jakieś zajęcie i oszczędzi jej rzezi z ręki moich ludzi. Poza tym zdobędzie reputację tego, który „utrzymał porządek w Marchii”. Dla odmiany będzie to dobra opinia na jego temat. Ciekawostka, dzięki której pozbędziemy się tych trzech i ich armii. A Argath nie straci twarzy. Raist otworzył usta.

- Ale, moim zdaniem, w normalnych warunkach nie przyjąłby trzeciej możliwości - powiedziała

Elblai - ponieważ to nie on pierwszy na nią wpadł.

Raist zamknął usta.

- Musiałby też prawdopodobnie zabić Lorda Envera - dodała Elblai. - Ale chciał to zrobić już od jakiegoś czasu.

Znów przez chwilę panowała cisza. - A więc - odezwała się Elblai - wracaj do swojego pana - wyszedł stąd godzinę temu i udał się na południe do obozu swoich wojsk -i przedstaw mu te trzy rozwiązania. Bądź miły. Ja osobiście wolałabym to trzecie. Ale jeśli zaczniesz upierać się przy swoim, jestem gotowa zmieść go wraz z jego armiami z powierzchni Sarxos i nawet Rod nie uroni nad nim łzy. Postaw mu sprawę jasno, bo ja lubię przed jesienią stoczyć solidną walkę... a jeśli będzie się upierać, stoczę ją z nim. To jego ostatnia szansa na zmianę stanowiska i podarowania wszystkim spokojnej jesieni... oraz zapewnienie samemu sobie na tyle długiego życia, żeby do niej dotrwał.

Raist wstał. - Wasza Miłość pozwoli, że się oddalę.

- Za chwilę. Wiem też, że po tej kampanii szykował się do ataku na Lorda Fetticka i Księżnę Morn. Do tej pory ich kraje znajdowały się w niebezpiecznej sytuacji. Ale rozmawiałam z nimi... oni przygotowują się do zawarcia strategicznego przymierza z pewną potęgą - nie ze mną, niech twój pan i władca sam spróbuje zgadnąć z kim - która chętnie się z nimi zbrata. Kiedy przymierze dojdzie do skutku - a to według mnie kwestia dni - będą w stanie wystawić do walki ogromne siły. Najprawdopodobniej od razu rozpoczną wojnę, żeby na dobre pozbyć się Argatha. Podobnie jak Księcia Mengora. Doskonale zdają sobie sprawę, jak Argath wykorzystywał tę sprzedaną marionetkę. Więc daj mi jasno do zrozumienia, że jego kłopoty dopiero się zaczynają.

Raist stał w miejscu, drżący i milczący. Po chwili Elblai kiwnęła w jego stronę głową. - Idź już. Uważaj po drodze. Pełno tu teraz wilków...

Raist uklonił się pośpiesznie i oddalił się, a jego kroki na schodach długo odbijały się echem.

Elblai siedziała w milczeniu w pustej komnacie. Po chwili na schodach znów rozległy się kroki i do komnaty weszła młoda blondynka w skromnej, błękitnej sukni.

- Ciociu El?! - zawołała.

- Tu jestem, kochanie.

Ciociu? - powtórzył w myślach Leif.

- I co? - spytała młoda kobieta.

Elblai westchnęła i oparła miecz o krzesło. - Zaatakuję - odpowiedziała. - Jestem tego niemal pewna.

- Więc co zrobisz?

Elblai wstała i przeciągnęła się. - Wdepczę go razem z jego armią w ziemię - powiedziała. - Nie

mam wyboru, jeśli chcę utrzymać swoją pozycję. Jeśli chodzi o niego, wolałabym uniknąć zabijania, ale jest głębszy niż jadalne ostrygi pomysłu Roda i za wszelką cenę będzie chciał się popisać. Tym razem jego numer nie przejdzie.

Młoda kobieta westchnęła prawie tak samo, jak jej ciotka. - No dobrze - powiedziała. - Porozmawiam z resztą dowódców i przekażę im nowiny, a potem wyślemy posłańców z wiadomościami dla posiłków.

- Zrób tak. Powiedz im, że moim zdaniem Argath będzie próbował zgromadzić dodatkowe oddziały z lennych królestw. Nie podejrzewam, żeby zdobył więcej niż kilka tysięcy, nie w tak krótkim czasie. Wciąż będziemy go przewyższali trzykrotnie - co mi bardzo odpowiada. Nigdy nie lubiłam tych potyczek na śmierć i życie dwóch dorównujących sobie sił. - Prychnęła pogardliwie - taki dźwięk wydawała z siebie czasem babcia Leifa, więc się uśmiechnął.

- Dopilnujmy tego... a potem chodźmy na dół na kolację, bo nam wszystko zjedzą.

Wyszły z komnaty.

Leif jeszcze raz uwolnił ich od zaklęcia i, ku ich uldze, buczenie w uszach ucichło.

Spojrzał kątem oka na Megan.

- Mamy poważny problem - wyszeptała dziewczyna.

- Tak? Jaki?

- Ciszej. Nie słuchałeś, czy co? Ona zamierza pobić Argatha - powiedziała Megan. - A to czyni ją pierwszorzędnym celem do wykopania.

Leif spojrzał na nią trochę zły. - Zaraz, zaraz. To ty się upierałaś, żeby nie teoretyzować bez sprawdzonych informacji. Nie mamy ich więcej niż przedtem... oprócz nowin o zbliżającym się ataku.

- Jasne... ale sam słyszałeś, Leif! Jej siły trzykrotnie przewyższają siły Argatha. Zgniecie go na miazgę. A to właśnie ludzie, którzy go pokonali w przeszłości zostali wykopani.

- Posłuchaj, mam nadzieję, że ona go zgniecie na miazgę - wyszeptał Leif. - Nie można go nazwać wzorem sarxoskich zasad moralnych, nie sądzisz? Poza tym, jeśli jego charakter zostanie zabity, a ludzie nadal będą wykopywani, to przynajmniej zdobędziemy dowody na to, że to nie on.

Megan patrzyła na niego dłuższą chwilę. - To by były dowody poszlakowe, niczym nie różniące się od tych, którymi dysponujemy obecnie - powiedziała. - Leif, jeśli dysponujemy podejrzeniami, że Elblai zostanie napadnięta, to musimy zaryzykować i ostrzec ją! Stworzyła sobie wspaniałą postać - byłoby nie fair pozwolić, żeby została wykopana, tylko po to, żeby „wykopywacz” dzięki temu się ujawnił. Elblai musi podjąć jakieś środki ostrożności.

- Jeśli ją ostrzeżemy - powiedział Leif - to być może jednocześnie ostrzeżemy Argatha, czy tego, kto stoi za „wykopaniami”. I stracimy szansę na jego albo jej odnalezienie.

Megan złapała się za głowę. - Nie wierzę, że się o to kłócimy. Nie możesz tak po prostu użyć

innego gracza jako przynęty!

- Megan, pomyśl chwilę logicznie! Jak ją mamy ostrzec? Nie wiemy, kim jest w prawdziwym życiu i nie dowiemy się tego. Co z zasadami poufności? Jeśli ona z własnej woli utrzymuje swoją tożsamość w sekrecie, nie ma sposobu, żeby ją ustalić.

- Możemy dotrzeć do nadrzędnego komputera gry - powiedziała Megan. - Przez Zwiadowcy.

- Jasne. Poprosić, żeby złamali zasadę poufności na podstawie podejrzenia? W życiu tego nie robią. A nawet, gdyby udało się nam ich do tego namówić, będzie już za późno.

- Więc musimy ją ostrzec teraz - powiedziała Megan. Leif patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Potem z wyraźną niechęcią powiedział: - Zgoda. Ale widziałas jej zabawkę - tego bazyliuszka? Na dole też jest parę osób, które mają je przy sobie. Zejdźmy tam i przedstawmy się... odkryjmy karty.

- Dobrze.

Leif odwołał zaklęcie niewidzialności, zadowolony, że nie musi go już pilnować i zeszedł po schodach. Rozejrzeli się po dużej komnacie, ale Elblai gdzieś zniknęła.

- Po obu stronach komnaty są prywatne pokoje - powiedział Leif. - Może być w jednym z nich.

- Nie - przerwała mu Megan. - Byłyby pod strażą. Ale spójrz tam.

Pokazała mu młodą kobietę, którą wcześniej widzieli w towarzystwie Elblai. Na swoją błękitną tunikę narzuciła ciemniejszą z wizerunkiem bazyliuszka - godłem ludzi Elblai. Rozglądała się uważnie po pokoju po twarzach szlachciców i wojowników, którzy jedli, pili i rozmawiali.

Megan i Leif podeszli do niej, wzbudzając wśród szlachetnie urodzonych gości umiarkowane zainteresowanie i rozbawienie swoimi nieco nietypowymi strojami.

- Pani wybaczy - powiedział Leif do młodej blondynki i lekko się skłonił. - Jeśli się nie mylę, towarzyszy pani Lady Elblai.

- Jeśli szuka pan widowni - powiedziała młoda kobieta, przyglądając mu się z zaciekawieniem - to obawiam się, że dziś jej tu pan nie znajdzie.

- Nie widowni - powiedziała spokojnie Megan. - Przychodzimy z ostrzeżeniem.

Kobieta ściągnęła brwi. - Przed kim?

- Argathem - powiedział Leif. Kobieta stała się o wiele czujniejsza.

- Jeśli, jak mówią, twoja pani zamierza zaatakować siły Argatha - powiedział Leif - musimy ją ostrzec, że coś ...nie dobrego ...może się jej potem przytrafić. Ludzie, którzy pokonali Argatha ostatnio źle kończą... czego dowodem jest dzisiejsze zgromadzenie.

Siostrzenica Elblai zaczęła przybierać wyraźnie wrogi wyraz twarzy. - Ciekawe ostrzeżenie - powiedziała. - Kto was przysłał?

Leif otworzył usta, ale zaraz je zamknął bez słowa.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że takie ostrzeżenie działa na korzyść Argatha - powiedziała młoda

kobieta - gdyby wspomniany atak rzeczywiście był planowany.

- Nikt nas nie przysłał - powiedziała Megan. - Pracujemy na własną rękę... i życzymy pani ciotce, Lady Elblai jak najlepiej.

Kobieta jeszcze szerzej otworzyła oczy i znów się nachmurzyła. - O tym pokrewieństwie wie niewiele osób - powiedziała. - Kim jesteście?

- Prowadzimy śledztwo w sprawie „wykopań” - powiedział Leif, a Megan poczuła ulgę, słysząc, że nie dodał „dla Zwiadowcy”. To byłoby zbyt wiele. - Obawiamy się, że pani ciotce grozi wykopanie, jeśli będzie kontynuowała swoje działania.

- Czyżby? A o jakie działania konkretnie chodzi? Jak to ująć najbardziej dyplomatycznie? Zastanawiał się Leif, próbując sobie wyobrazić, jakich słów użyłby jego ojciec. Prawdopodobnie bardzo dwuznacznych. - Jeśli Lillan, Gugliem i Menel... - zaczął Leif.

Kobieta zmrużyła oczy. - Nikt zazwyczaj nie rozmawia o sprawach zewnętrznych - powiedziała - z ludźmi, których nie zna. - Teraz patrzyła na nich mrozącym wzrokiem. - Obawiam się, że muszę was prosić o opuszczenie przyjęcia.

- Proszę - musi nam pani pozwolić zamienić słowo z Lady Elblai.

- To wykluczone. Wyjechała w interesach: i całe szczęście.

- Proszę posłuchać, to jest naprawdę ważne - powiedziała Megan.

- Być może dla was - odparła chłodno młoda kobieta. - Przyjęłabym wasze ostrzeżenie chętniej, gdyby nie było jasne, że albo wy albo ktoś z wami powiązany ostatnio nas śledził. Rady szpiegów mają dwie strony, jak mówią, a moim obowiązkiem jest ochraniać ciotkę przed tymi, którzy chcą jej zaszkodzić.

- Ale my właśnie próbujemy...

- Dobrej nocy - powiedziała stanowczo kobieta. - Natychmiast stąd wyjdźcie... albo was wyrzucę.

Patrzyli na nią przez chwilę, po czym skierowali się do drzwi wyjściowych.

Leif spojrzał jeszcze przez ramię na kobietę. Siostrzenica Elblai wezwała do siebie wysokiego, łysiejącego mężczyznę z godłem jej ciotki i teraz szeptała do niego gorączkowo. Popatrzył na wychodzących Megan i Leifa, a potem w pośpiechu opuścił komnatę jednym z bocznych wyjść. Megan i Leif stali jeszcze w tłumie na głównym placu, kiedy obok nich przemknął jeździec na koniu - a następnie zniknął jak gdyby nigdy nic przy dźwięku wsysanego powietrza.

- Świetnie - mruknął Leif. - Teraz nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, dokąd pojechała.

- Zaczynam mieć coraz gorsze przeczucia w tej sprawie - powiedziała Megan. - Problem Argatha nagle się strasznie zaognił. Inaczej by stąd nie zniknął.

Leif pokręcił głową. - Cóż - powiedział - przynajmniej próbowaliśmy.

- Próbowanie nie rozwiązuje problemów - powiedziała ponuro Megan. - Problem znika dopiero,

gdy się go rozwiąże.

Leif spojrzął na nią drwiąco, kiedy szli przez plac. - Ach, znów klasyka - powiedział. - Emerson? Ellison?

- Moja mama - odpowiedziała Megan. - Chodź... wynośmy się stąd. Trzeba się zastanowić co dalej i choć tego nie cierpię, to muszę przyznać, że lepiej mi się myśli w trybie autonomicznym.

Wylogowali się z gry i przenieśli się do miejsca pracy Leifa. Coś takiego Megan widywała tylko na obrazkach: drewniany dom w starym, islandzkim stylu, ze stromym dachem pokrytym popękkanymi dachówkami i pieczołowicie wyrzeźbionymi głowami smoków. Wnętrze było bardzo schludne i skromnie umeblowane, wykonane w supernowoczesnym skandynawskim stylu, z wysokimi polaryzowanymi oknami, odsłaniającymi krajobraz zielonych pól i bładoniebieskiego, wysokiego nieba.

Megan nie była w nastroju do rozkoszowania się urokiem otaczających ją krajobrazów. Przez jakąś godzinę kłócili się z Leifem na temat tego, co zrobili, i jak mogli to zrobić lepiej. Wreszcie wywiązało się z tego coś na kształt dyskusji, chociaż nie takie miała na początku intencje.

- Szczerze mówiąc nie wiem, co mogliśmy zrobić lepiej - powiedział Leif. - Mieliliśmy za zadanie gromadzić fakty. Świetnie. Zebraliśmy je. I to nieźle.

- Tak... ale, Leif, nie uda nam się dowiedzieć niczego na tyle szybko, żeby mieć z tego jakiś pożytek! Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że powinniśmy się byli zabrać do tego bardziej metodycznie.

- Tak? Od kiedy masz to wrażenie? Nie wydaje mi się, że miałaś je, zanim się tam wybraliśmy.

- Wszystko jedno. Teraz je mam. I martwię się tymi dwoma, o których wspomniała Elblai - Fettickiem i Mornem. - Megan chodziła w tę i z powrotem potrząsając głową. - Załóżmy, że Argathowi uda się wymknąć po szykującej się bitwie - a to całkiem możliwe - i postanowi napaść na nich? Nie raz już uciekał od własnych problemów, nawet kiedy zmasakrowano mu całą armię. Z tego, co mówiła Elblai, ci też będą w stanie go pokonać... co uczyni ich potencjalnymi ofiarami wykopania.

- Tak będzie - zgodził się Leif - jeśli się nie okaże, że nasza linia rozumowania prowadzi nas w ślepią uliczkę.

- Jeśli masz coś lepszego - powiedziała Megan - chętnie posłucham.

Leif usiadł na surowej kanapie i przejechał dłońmi po rudych włosach, dając jasno do zrozumienia, że nie ma nic lepszego. - Posłuchaj - powiedział - zrobmy sobie przerwę, co? - Marnujemy tylko siły.

Megan westchnęła i kiwnęła głową. - Dobrze - powiedziała. - Kiedy się znów spotkamy?

- Może jutro wieczorem? - zaproponował Leif.

- Nie mogę - odpowiedziała Megan. - Jutro mam wieczór rodzinny w domu. Wtedy nie gram. Siedzę i patrzę jak moi bracia wyjadają wszystko, co mamy. Pojutrze wieczorem?

- Jesteśmy umówieni.

Zanim Megan poleciała implantowi, żeby zabrał ją z cyberprzestrzeni, powiedziała: - Słuchaj, przykro mi, że na ciebie nawrzeszczałam.

- Wcale ci nie przykro - powiedział Leif i uśmiechnął się trochę krzywo.
- Fakt, ale i tak masz rację. Zrobiliśmy na początek, co było w naszej mocy.

Leif włożył palec do ucha, jakby chciał je wyczyścić. - Musiałem za długo być niewidzialny - powiedział. - Przysięgłbym, że przyznałaś mi rację.

- Zobaczymy się pojutrze - powiedziała Megan. Leif pomachał jej i znikła.

Zamrugła i znalazła się w swoim fotelu w gabinecie. Większość świateł w pomieszczeniu była wygaszona. Spojrzała na zegarek. Było bardzo późno, zważywszy, że następnego dnia musi iść do szkoły. Na szczęście pracę domową odrobiła, zanim wślizgnęła się do Sarxos na spotkanie z Leifem. Tego mi jeszcze trzeba, żeby mama siedziała mi na karku...

Z trudem podniosła się z krzesła. Muszę się rozmówić z moim programem „rusz-mięśnie”. Mam wrażenie, że siedziałam w jednej pozycji przez całe godziny. Cicho poruszając się po pokoju, wyłączyła części komputera, które dezaktywowano na noc i zatrzymała się przy biurku, na którym tym razem ktoś troskliwie usunął stos książek z linii działania implantu optycznego. „Obiad z Szekspirem”. „Zrozumieć Chaos Przyszłości”. „Wojna w 2080”. „Rycerz, Śmierć i Diabeł”.

Jakich on szuka informacji? - pomyślała Megan, ziewnęła i poszła spać.

Zeszła na parter wcześniej rano i w kuchni natknęła się na ojca, który siedział przy stole i z przejęciem oglądał coś w oknie stereo-wideo, wiszącym na ścianie. - Czy to przypadkiem nie ma związku z twoimi zajęciami pozaszkolnymi? - spytał, wskazując ręką okno.

Megan w tym czasie zmagala się ze swetrem, wreszcie przecisnęła go przez głowę i wbiła wzrok w okno. Widniało w nim logo Sarxos, a za nim pokazywano materiał filmowy, na którym z helikoptera-karetki mężczyźni w typowych pomarańczowych kombinezonach z niebieskimi znakami LifeStar na plecach wyjmowali nosze i nieśli je do wejścia na izbę przyjęć.

- ...atak, jak twierdzi siostrzenica kobiety, może mieć związek z walką klanów albo zemstą ze strony innego gracza. Ellen Richardson, która uczestniczy w popularnej grze wirtualnej Sarxos, jako Elblai, była w drodze do pracy na poczcie w Bloomington w Illinois, kiedy jakiś samochód zepchnął ją z drogi prosto na słup drogowy. Zabrano ją do szpitala Mercy Downtown, gdzie rozpoznano u niej stan śpiączki. Jej stan jest określany jako „krytyczny, ale stabilny”.

Obraz się zmienił i pojawiła się kobieta w fartuchu laboratoryjnym z przygotowanym oświadczeniem. - Pacjentka obecnie nie reaguje na bodźce zewnętrzne, ale już ustalono datę operacji, która odbędzie się najszybciej jak to będzie możliwe. Lekarze dają jej pomiędzy siedemdziesiąt a trzydzieści procent szans na...

- O Mój Boże - wyszeptała Megan.

- Nie znałaś jej, prawda? - spytał ją ojciec. Pokręciła głową, nie odrywając wzroku od okna stereo, pokazującego teraz młodą blondynkę, z którą Megan rozmawiała niecałe dziewięć godzin wcześniej. Płakała z żalu i wściekłości. - Otrzymałismo ostrzeżenie - mówiła - że jeśli moja ciotka będzie kontynuować pewną linię działania w grze, coś niejasnego, ale groźnego może się jej przytrafić. Moja ciotka zlekceważyła to ostrzeżenie. W czasie gry słyszy się wiele takich rzeczy.

Ludzie blefują, żeby zniechęcić innych do kroczenia obroną ścieżką. Nikt nie podejrzewał nawet, że ktoś...

Gardło ścisnęło się jej z płaczu i machając ręką, odwróciła się od kamery.

Megan stała w miejscu, czując na przemian zimno i gorąco z przerażenia.

Spóźnił się. Spóźnił się.

A jeśli - o nie, jeśli ktoś pomyśli, że to my...

Pobiegła do komputera, żeby zadzwonić do Jamesa Wintersa.

Kiedy połączyła się z jego gabinetem, zastała go wpatzonego w ekran audio-wideo wbudowany w blat biurka, przy zamkniętych żaluzjach. - Dzień dobry - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Przypuszczałem, że się lada chwila odezwiesz. Ile wiesz na temat tego zdarzenia?

- Słyszałam o tej kobiecie z Bloomington - powiedziała Megan. - Panie Winters, czuję się okropnie - my wczoraj widzieliśmy ją...

- Leif mi mówił - powiedział Winters. - Ona jednak nie wiedziała o waszej obecności.

- Nie.

- Powiedz mi - zaczął Winters, ale nagle uniósł rękę. - Nie, chwileczkę. Zanim do tego przejdziemy... - Znów spojrzał na ekran. - Mam tu informację ze szpitala w Bloomington. Właśnie zaczęto ją operować. Większość z odniesionych ran nie jest groźna. Istnieje natomiast typowy problem z urazem mózgu. Nie można ustalić faktycznego stanu, dopóki mózg sam nie „zarejestruje” obrażeń i nie podejmie odpowiednich działań. Najwyraźniej powstał krwiak, kiedy mózg uderzył w wewnętrzną stronę czaszki. Jeśli uda im się szybko zlikwidować opuchliznę... wszystko z nią będzie w porządku. Przynajmniej jej życiu nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo.

- O Boże - powiedziała Megan. - Powinniśmy byli bardziej się postarać. Znaleźć jakiś sposób, żeby ją ostrzec, powinniśmy byli...

- Tak - przerwał jej Winters nieco oschłym tonem. - Z dystansu zawsze widzi się wyraźniej. Ale w tym przypadku radziłbym spojrzeć z perspektywy na fakty i sprawdzić, czy przypadkiem nie sugerujesz się tym, co się stało. Przyznaję, że to może być szokujące.

Westchnął i odsunął przenośny komputer. - W każdym razie macie się wycofać z tej sprawy. Teraz my się nią zajmiemy. Kiedy w grę wchodzi sprzęt, włamanie, zniszczenie mienia, to jedna sprawa. Ale kiedy dochodzi do tego napaść, jak w tym przypadku, atak samochodem i posiadanie niebezpiecznych narzędzi - to przestaje być już problem wyłącznie Zwiadowców. Jednak bardzo mi się przyda wszystko co możesz powiedzieć na temat własnych podejrzeń.

- Mamy tylko podejrzenia - powiedziała Megan. - Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wystarczyłyby, żeby ją uratować.

- Być może - powiedział Winters. - Leif spędził trochę czasu opowiadając mi o postaci niejakiego Argatha.

Megan pokiwała głową. - Prawie każdy, kto pokonał go w walce podczas ostatnich trzech lat według kalendarza gry, został wykopany.

- Ale nie jesteś pewna, że to jego sprawka.

- Sama już nie wiem. Wczoraj byłam bardzo podejrzliwa, ale... mamy za mało dowodów.

Winters uśmiechnął się smutno. - I może więcej nie będzie. W tej sprawie musimy pracować jak Sherlock. Oczywiście, kiedy do akcji wkroczą Zwiadowcy, będziemy w stanie nakłonić Saraxończyków do współpracy i podania ich właściwych nazwisk, kodów dostępu do gry i innych informacji. To rzecz jasna musi się potoczyć legalnym trybem. Nigdy nie ułatwiają dostępu do zastrzeżonych danych firmowych.

- Gdyby jakiś gracz skontaktował się z Chrisem Rodriguesem... - powiedziała Megan.

- Nie mamy teraz czasu na teoretyzowanie - odpowiedział jej Winters. - Będziemy działać zgodnie z przepisami. A skoro już o tym mowa, czy wasze dotychczasowe śledztwo rzuca poważne podejrzenia na kogoś jeszcze?

- Nie zauważyliśmy nikogo takiego. Problem polega na tym, że jest zbyt wielu graczy. Gdybyśmy nawet dotarli do bazy danych, nie przebrnęlibyśmy przez nią. Cały czas mam wrażenie, że istnieje jakiś sposób sprawdzenia wszystkich graczy, ale nie wiem jaki. Wielu z nich ma prawdopodobnie motyw do ataku, ale odpowiedzialność ponosi tylko jeden. Nie można oskarżać przypadkowych ludzi, licząc, że któryś z nich okaże się winny.

- Przemawia przez ciebie przyszła agentka - powiedział Winters, a w jego głosie Megan wyczuła ponurą nutę aprobaty. - Cóż, Megan, wciąż jesteś w szoku. To zrozumiałe. Leif cierpi na to samo. Nie mam do ciebie więcej pytań, ale spodziewam się twojego raportu nie później niż za osiemnaście, dwadzieścia godzin: czegoś, co przyda się na odprawie naszych agentów przed wysłaniem ich do akcji. Podaj jak najwięcej szczegółów. Właściwie, byłoby najlepiej, gdybyś porozmawiała z ludźmi z Sarxos i podała mi swoje zapisy gry z ostatniej nocy.

Megan poczuła falę gorąca. - Panie Winters - powiedziała bardzo cicho - obawiam się, że niektóre nasze wczorajsze wypowiedzi mogły zostać zinterpretowane jako pogróżki...

- Słyszałem oświadczenie „siostrzenicy” pani Richardson - powiedział Winters. - Rozumiem, że martwi was wasz prawny status w tej sytuacji. Cieszyć się moim pełnym zaufaniem. W przypadku problemów otrzymacie moje poparcie. Ale tak dla pewności - czy ktoś w domu potwierdzi twoje alibi na wczorajszą noc?

Megan pokręciła głową. - Tylko Sieć - powiedziała. - Nie można sfałszować swojej tożsamości, kiedy się człowiek loguje do gry. Przecież chodzi o mózg, ciało i implant. A co do reszty... - wzruszyła ramionami i dodała z ledwo dostrzegalnym uśmiechem: - Nie wyobrażam sobie jak zdążyłabym dojechać stąd do Bloomington w Illinois, żeby zepchnąć Elblai - panią Richardson - z drogi.

- Rzeczywiście - powiedział Winters z krzywym uśmieszkiem. - Mniejsza z tym. Na razie jesteś bezpieczna. Idź do szkoły i przygotuj dla mnie ten raport na wieczór. Nasi agenci wkroczą do akcji tak szybko, jak to będzie możliwe. Na razie możesz uznać, że zrobiłaś, co do ciebie należało. Ale chcę ci podziękować za dotychczasową pomoc. Dzięki wam mamy przynajmniej od czego zacząć

śledztwo i dysponujemy kilkoma teoriami, które być może dadzą się wykorzystać. Otrzymaliśmy też od was o wiele lepszą strategiczną ocenę sytuacji, niż sami bylibyśmy w stanie sporządzić w tak krótkim czasie. To się bardzo przyda. Poświęciliście swój czas i wykorzystaliście umiejętności w działaniu... a być może, biorąc pod uwagę charakter poszukiwanej przez nas osoby, naraziliście własne bezpieczeństwo, jeśli ten ktoś w najmniejszym stopniu domyśla się, kim jesteście i co zamierzaliście zrobić.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy się do niego zbliżyli - powiedziała Megan. - Ale dziękuję.

Po przerwaniu połączenia zastanawiała się przez chwilę, potem poleciła implantowi, żeby połączył ją z Leifem.

Siedział w miejscu pracy w swojej chacie z nietypowym dla niego wyrazem przygnębienia na twarzy. Spojrzał na Megan, która pojawiła się w jego przestrzeni.

- Rozmawiałaś z nim? - spytał.

- Tak.

- Zakończyliśmy zadanie.

- Tak.

Leif spojrzał na Megan kątem oka. - Zakończyliśmy je czy nie?

- Co masz na myśli? Oczywiście, że je zakończyliśmy. To jego polecenie.

- I zamierzasz to tak zostawić? Tak po prostu?

- Hm. - Megan spojrzała na niego pytająco.

Leif wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem. - Posłuchaj - zaczął - nie chcę zgrywać bohatera, czy coś takiego. Nie wiem jak ty, ale ja czuję się trochę odpowiedzialny.

- Za co? To nie my zepchnęliśmy tę kobietę z drogi!

- Próbowaliśmy ją ostrzec. Nie udało nam się. Ona nie potraktowała tego ostrzeżenia poważnie. Nie czujesz się za to odpowiedzialna?

Megan usiadła na kanapie i podparła brodę rękami. - Tak. I to bardzo - powiedziała. - Tylko, kiedy to się już stało, nie bardzo wiem, co można zrobić.

- Nie poddawać się - powiedział Leif.

- Ale, Leif, słyszałeś Wintersa. Odsunął nas od sprawy. Jeśli nas złapią...

- Niby jak? Przecież jesteśmy graczami w Sarxos. Mamy prawo tam przebywać, kiedy nam się zechce. Tak czy nie?

- No tak, ale... Leif, jeśli to zrobimy, zaraz się dowiedzą, co szukujemy!

- Jesteś pewna? Ależ my jesteśmy małymi kochanymi Zwiadowcami Zwiadowcy, prawda? - Leif uśmiechnął się i nagle nabrał niewiarygodnie chytrego wyglądu. - Kto by podejrzewał akurat nas „o nieczne zamiary, chociaż przez chwilę? O niesłuchanie rozkazów? Świadome. - Leif uniósł głowę i przez chwilę wyglądał nieprawdopodobnie szlachetnie, niewinnie i poważnie.

Megan nie wytrzymała i roześmiała się.

- Przecież i tak nie mogą nam wydawać rozkazów - powiedział Leif. - Co najwyżej sugestie...

- Jesteś niesamowity - powiedziała.

- Dziękuję. I skromny.

- Oj - wyrwało się Megan.

- Posłuchaj - powiedział Leif. - Zastanów się. Już sam fakt, że zostaliśmy Zwiadowcami, świadczy o tym, że zauważyli w nas nietypowe wzorce zachowań. Może nieco silniejszą tendencję do zagłębiania się w nieznanne. Jeśli teraz zrezygnujemy tylko dlatego, że nam kazali...

- Gdybyśmy byli w Zwiadowcy, musielibyśmy słuchać rozkazów, Leif! Dyscyplina...

- Chrząnąć dyscyplinę - powiedział Leif. - No, nie to dokładnie miałem na myśli. Ale nie do końca jesteśmy w Zwiadowcy. To nam daje pewną...

- Swobodę - weszła mu w słowo, krzywiąc się.

- Mówię ci, Megan, tym razem mam rację. Wiesz, że tak jest. Dlatego robisz te dziwne miny. Szkoda, że się nie widzisz.

Patrzyła na niego, skonsternowana. Zlekceważenie „sugestii” Wintersa kłóciło się z jej zasadami. Rozumiała jego troskę. Wiedziała aż za dobrze, jak zareagowałiby jej rodzice, gdyby im o tym wszystkim opowiedziała. Ale czy zamierza podzielić się z nimi tą wiedzą akurat teraz, to już inna historia. Może później. Ale teraz - musi dokonać wyboru.

- No więc... - zaczęła.

- Poza tym - przerwał jej Leif - nadal pozostaje kilka problemów do rozwiązania. Argath, czy ktokolwiek to jest, wciąż istnieje i założę się, że on, ona, oni, czy ono...

- Moim zdaniem on - powiedziała Megan.

- Mniejsza z tym, oni wciąż planują ataki na ludzi. A co z tymi dwoma lordami, o których wspomniała Elblai? Co z Fettickiem i Mornem? Z jej słów łatwo wywnioskować, że mogą się stać następnymi celami. No, tylko pomyśl, Megan! Ktokolwiek za tym stoi, nie czeka już, żeby zaatakować tego, kto pokonał Argatha. Jeśli to sam Argath albo ktoś posługujący się nietypową przykrywką...

- Nadal nie rozumiem, po co ktoś to robi.

- Z zazdrości - powiedział Leif. - Albo ma nie po kolei w głowie. Pomijając motyw i winowajcę, jasne jest, że on stracił cierpliwość. Ktoś uderza w ludzi, zanim ci zdążą zmierzyć się z Argathem w walce, jeśli istnieje ewentualność, że Argath przegra.

- Tak. No dobrze, rozumiem, o co ci chodzi. Więc - co robimy? Spróbujemy ich ostrzec?

O które królestwa chodziło?

- O Errint i Aedleię - odpowiedział. - Znam je trochę: to północni sąsiedzi Orxenu. Wystarczy mi tranzytu, żeby nas tam przenieść. Możemy się tam znaleźć jeszcze dziś wieczorem. Nie planowali swoich bitew natychmiast. Być może uda nam się...

- Co? Przekonać ich, żeby zrezygnowali z kampanii, którą planowali i na której im tak zależy? Będziemy musieli użyć jakiegoś triku.

- Musimy spróbować. Wczoraj w nocy nie postaraliśmy się dostatecznie... i spójrz, co się stało. Chcesz, żeby nowe ofiary zostały zepchnięte z drogi... albo skończyły jeszcze gorzej? A co z innymi,

którzy niebawem mogą się znaleźć w podobnej sytuacji? Na pewno istnieją inni gracze, którzy czekali na okazję, żeby się zmierzyć z Argathem. Oni w następnej kolejności mogą stanowić dla wykopywacza zagrożenie. Gdybyśmy się zdołali dowiedzieć, którzy gracze chcą z nim walczyć, może udałoby się nam natrafić na nowe powiązania ze sprawą, nowe informacje, które doprowadziłyby nas do sprawców. A ja chcę ich dopaść - powiedział cicho Leif. - Chcę ich dopaść.

Megan wolno pokiwała głową. Rzadko odczuwała pragnienie użycia siły. Nawet jeśli sama czasem prowokowała sytuacje dające jej wymówkę do porzucania braćmi po ścianach, robiła to dla zabawy i radosnej satysfakcji na widok ich zdziwionych twarzy, kiedy po raz kolejny przypominała im, że życie jest pełne niespodzianek. Teraz... teraz natomiast czuła wbrew sobie, że pragnie wyrządzić komuś fizyczną krzywdę. Szczególnie temu, kto posłał Elblai do szpitala - bladą i z maską tlenową na miłej, matczynej twarzy.

- Posłuchaj - powiedział Leif. - Zrób ten raport dla Wintersa. Skończ go jak najszybciej i zostaw z poleceniem czasowego wysłania w swoim komputerze, tak, żeby go dostał dziś wieczorem... kiedy my będziemy już w Sarxos. Albo kiedy już stamtąd wyjdziemy.

- Leif, dziś wieczorem nie mogę - powiedziała Megan.

- Mówiłam ci, to sprawa rodzinna...

- A to sytuacja kryzysowa - odpowiedział jej Leif. - Tak czy nie? Nie możesz się wykręcić ten jeden raz?

Pomyślała nad tym chwilę, o zmartwionym wyrazie twarzy taty. - Prawdopodobnie tak - powiedziała. - Chociaż zazwyczaj tego nie robię.

- Daj spokój, Megan. To ważne. I nie chodzi tylko o tych ludzi. - Wpatrywał się w nią skupionym wzrokiem.

- Co naprawdę chcesz robić po skończeniu szkoły?

- Cóż, myślałam oczywiście o operacjach strategicznych, ale...

- Ale gdzie? Dla sztabu ekspertów? W jakimś nudnym miejscu, z którego nigdy się nie wyrwiesz, żeby się przekonać czy to, co zaplanowałaś, w ogóle wprowadzono w życie? Wołałabyś to robić w Zwiadowcy, prawda?

- Tak - odpowiedziała Megan. - Oczywiście, że tak. To... moim zdaniem jedna z najważniejszych obecnie agencji, chociaż nie wątpię, że wiele osób uznałoby to za lekką przesadę. - Poprawiła się na krześle, czując się trochę nieswojo. - Jest najbardziej na czasie.

- Więc chcesz w niej zostać, tak? Jeśli się teraz wycofasz tylko dlatego, że Winters kazał ci się trzymać z dala od kłopotów i niebezpieczeństwa... Jeśli uda się nam kiedyś dostać do Zwiadowcy to zetkniemy się z problemami i niebezpieczeństwem. Tu się tylko wprawiamy. Poza tym - oni nas obserwują. Wiesz, że nas obserwują. Jeśli zajmiemy się tym idąc z nimi ręką w rękę - a może nawet ich wyprzedzając - i rozwiążemy tę sprawę, wykorzystując własną wiedzę i spryt, to myślisz, że będą na nas źli? Nie sądzę. Zaimponujemy im. A jeśli teraz im zaimponujemy...

Megan kiwnęła głową. - Nie wierzę - powiedziała - że nie jesteśmy przynajmniej tak dobrzy jak każdy z ich agentów, którego tam pošlą. Poza tym my znamy Sarxos lepiej niż ktokolwiek inny.

Dlatego właśnie poprosili nas, żebyśmy się tam rozejrzeli. Bo jesteśmy najlepsi...

Spojrzała na Leifa, uśmiechnęła się szeroko i wstała.

- Jestem z tobą - powiedziała. - Posłuchaj, nie wiem dokładnie o której dziś wieczorem wejdę do gry. Rezygnacja z rodzinnego wieczoru wymaga pewnych wyjaśnień.

- W porządku... w takim razie wejdę tam wcześniej i poczekam na ciebie - zostawię na twoim koncie trochę tranzytu. Spotkamy się w Errincie i zobaczymy, czy uda się nam dopaść Fetticka, żeby go ostrzec. To takie małe państwo-miasto, trochę w typie Minsaru. Kiedy tam dotrzesz, odszukaj małą garkuchnię tuż za trzecią ścianą - nazywa się „U Atylli”.

Megan uniosła brwi.

- Tak - powiedział Leif - robią w niej niezłe chili. Posiedzę tam i miło spędzę czas, czekając na ciebie. Potem spróbujemy zaaranżować pogawędkę z Fettickiem... i tym razem postaramy się, żeby ostrzeżenie do niego dotarło.

- Dobrze - odpowiedziała Megan. - Musimy spróbować. Ciekawie będzie odradzać komuś udział w kampanii.

- Myślę, że mamy szansę go przekonać. Potem możemy zacząć szukać kolejnych wskazówek, dzięki którym dowiemy się, co naprawdę się tam dzieje. Jestem pewien, że uda się nam to rozgryźć, jeśli się przyłożymy...

- Racja. W takim razie zobaczymy się wieczorem. I znikła.

Leif przybył do Errintu późnym popołudniem, zalany złotymi promieniami słońca, które pojawiło się na niebie po rozejściu się chmur. Miasto leżało w małej polodowcowej dolinie, będącej częścią najdalej wysuniętego na wschód masywu wielkiego północnego łańcucha Wysokiego Wierzchołka. W dawnych czasach, na tych terenach o łatwo czytelnej genealogii, kiedy kontynent Sarxos podobno był pokryty lodem, przeszedł przez nie bardzo szeroki lodowy jezioro. Rozpoczął swoją miazdzącą wędrówkę na szerokim ośnieżonym cyrku góry Holdfast, wznoszącej się nad doliną, i przeorał ją, nadając jej kształt długiej, łagodnej litery U o długości prawie piętnastu kilometrów. Teraz lodowiec cofnął się aż do podnóży Holdfastu, a po nim pozostał jedynie charakterystyczny strumyk wypływający z ostatniej moreny bocznej skracającej na lewo w kierunku skupiska białych, owalnych kamieni i osobliwie mlecznozielonej wody, zdradzającej polodowcowe pochodzenie koryta rzeki.

Errint powstał na małym kamienistym wzgórzu, które jakimś cudem oparło się miazdzącej sile lodowca.

W swych pierwszych inkarnacjach było drewniane, ale wciąż trawił je ogień, więc wreszcie odbudowano je w kamieniu, a jego herbem stał się feniks. Nie miało zbyt dużej populacji, ale jego mieszkańcy zasłynęli jako nieugięci, niezależni ludzie gór, niebezpieczni w walce, zaznajomieni zarówno z halabardą, jak i łukiem. Zazwyczaj pilnowali własnych interesów i nie angażowali się w zewnętrzne wojny... chyba że można było na nich dobrze zarobić. Miasto posiadało stałe źródło wysokich dochodów z kopalni soli oraz rud żelaza w górach. Mieszkańcy zazdrośnie strzegli ich tajemnicy i nikomu nie zdradzali planów labiryntu, przez który można się tam było dostać i wyjść z

powrotem na zewnątrz. Na niewielką skalę starali się też uprawiać w swojej długiej, kamienistej i przyjemnej dolinie owies i jęczmień i, ogólnie rzecz biorąc, pilnowali własnego nosa.

Ostatnio, niestety, stało się to nieco trudniejsze. Dominacja Argatha w Północnym Kraju oznaczała, iż państwa sąsiadujące z jego królestwem zaczęły szukać sojuszników, stref buforowych zdolnych ochronić je przed nieprzyjaznym sąsiadem, oddzielonym od nich zaledwie górkimi przełęczami. Dla krajów na północy - czyli dla Argatha - oraz na południu - czyli dla ziem księcia Morgona i innych - Errint stanowił łakomy kąsek: niezbyt duża populacja, która prawdopodobnie nie stawia silnego oporu; ziemia warta coś jedynie jako strefa buforowa, więc walki na tym obszarze nie obniżają jej wartości; i kopalnie, źródło jedyne w swoim rodzaju holdfastowego żelaza, najlepszego w Sarxos do produkcji broni.

Jednak Errint nie miał najmniejszego zamiaru stać się czyjąś strefą buforową. Kiedy Argath po raz pierwszy przeszedł góry, żeby zająć ten obszar, jego mieszkańcy pokonali go i zmusili do odwrotu. W zeszłym roku znów zrobili to samo. Ale Argath dwukrotnie popełnił błąd atakując Errint w czasie złej pogody, którą jej mieszkańcy znali lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet latem te imponujące dolomitowe szczyty gór potrafiły schronić się za zasłoną chmur i zmienić się w bestie. W całej dolinie zaczynał szaleć zabójczy, gorący wiatr, owiewający północne szczyty górskie i zmieniający małe polodowcowe strumyczki w dzikie rzeki oraz wzniesając burze, które podejrzanie często uderzały piorunami w atakujące oddziały nieprzyjaciela.

Niepozorny Errint to był twardy orzech do zgryzienia. Co nie znaczyło, że nie da się go rozgryźć i jego przywódcy też nie mieli co do tego żadnych złudzeń. Zdawali sobie sprawę, że na północy znajdują się potężne siły Argatha. Nigdy nie było ich stać na to, żeby zaatakować go w pojedynkę. Ale sprawy mogą się teraz potoczyć zupełnie inaczej...

Tak więc Leif stał u otwartych wrót miasta i rozglądał się wokół. Strażnicy bramy, oparci na prostych, ostrych halabardach patrzyli na niego bez specjalnego zainteresowania. Wyglądali jak typowi mieszkańcy Errintu: byli dobrze zbudowani, ciemnowłosi, o raczej topornych rysach twarzy. W ubiorze preferowali skóry. Leif kiwnął im głową, domyślając się, że zdążyli mu się już przyjrzeć i ocenić jako nieszkodliwego i przyjacielsko nastawionego przybysza - w innym wypadku leżałby na ziemi przyszpilony halabardą przypominającą ogromny otwieracz do puszek. Strażnicy raczej przyjacielsko kiwnęli w jego stronę, więc Leif wszedł do miasta.

Struktura Errintu wyglądała jak zmniejszona wersja Minsaru. Tutaj również za piątym, najbardziej zewnętrznym murem, osiedlanie się było wzbronione. Piekarze i grabarze zostali wciśnięci w najdalszy kąt pomiędzy czwartym a piątym murem, ale nikt tam nie stawiał namiotów ani nawet tymczasowych zabudowań, z prostej przyczyny: prędzej czy później któraś z gwałtownych letnich burz czy ulew najzwyczajniej w świecie zmyłaby je prosto z Errint Hill do rzeki. Dlatego plac targowy wewnątrz trzeciego muru był wyjątkowo ciasno zastawiony namiotami, płóciennymi zadaszeniami, stołami, paletami oraz belami materiału. W Errincie każdy dzień był targowy. Ożywiony handel przetaczał się jedyną drogą w dolinie w kierunku nizin, gdzie zatrzymywali się ludzie, którzy przyjechali po metal, skóry i zostali na dłużej, żeby kupić coś jeszcze, na przykład baryłkę górskiego masła albo słynnego lodowcowego wina.

Pora była już na tyle późna, że na targu panował względny spokój. Chociaż nadal rozlegały się nawoływania w stylu: „Kupujcie moje piwo!” albo „Skóry, mam dobre skóry, żadnych dziur!” - ale brzmiały one dość zdawkowo, jakby wszyscy myśleli już tylko o tym, żeby coś zjeść i wypić. Jedynym uporczywym dźwiękiem było dzwonienie młotka o kowadło, które Leif dobrze znał i

dlatego uśmiechał się lekko, kiedy szedł pomiędzy straganami w kierunku jego źródła.

Tu w krainie kopalni rud żelaza, mnóstwo ludzi wiedziało co nieco na temat kucia, znało podstawy, ale trudno było o dobrego kowala. Mieli oni w zwyczaju podróżować tam, gdzie biznes najbardziej im się opłacał. Tylko najlepsi osiadali gdzieś na stałe i mogli liczyć na to, że klienci sami wydepczą ścieżkę do ich drzwi, ciągnąc ze sobą konie. W każdym razie, ten kowal należał do bardzo dobrych.

Leif przebrnął przez część placu przeznaczoną dla rzeźników, minął ostatnie półcie wołowiny wiszące w zachodzącym słońcu i otoczone rojem much i dotarł do miejsca, gdzie w załamaniu ściany ktoś postawił wóz. Stąd właśnie wydobywało się rytmiczne ting-klank. Nieopodal, przywiązany lejcamy do żelaznego pierścienia po drugiej stronie wozu, stał cierpliwie roboczy siwek. Przed nim na kowadle ustawionym na kamieniu pracował mały, jasnowłosy mężczyzna ubrany w jasnobrązową, cienką, znoszoną płócienną koszulę i wytarte skórzane spodnie oraz gruby skórzany fartuch. Kuł podkowę, którą przed chwilą wyjął z przenośnego pieca kuźniczego, wyjętego z wozu i ustawionego obok kowadła na ziemi. Na furmance wisiał też miech w każdej chwili gotowy do użytku. Kowal przerwał na chwilę, wziął podkowę szczypcami i włożył ją pomiędzy węgle, żeby się znów zagrzała. Kiedy nabrała wiśniowego koloru, wyjął ją szczypcami i zaczął kuć na kowadle.

- Cześć, Wayland - powiedział Leif.

Twarz, która na niego spojrzała była cała pomarszczona od ciągłego uśmiechania się. Oczy tego człowieka miały niezgłębiony wyraz mieszkańca gór, lecz nie tych, w których się obecnie znajdowali.

- Proszę, oto i młody Leif - powiedział Wayland. - Doskonałe wyczucie czasu? Co cię tu sprowadza o tej porze roku?

- Włóczę się - odpowiedział Leif. - Jak zwykle.

Wayland posłał mu spojrzenie i szeroki uśmiech sugerujący, że nie do końca mu wierzy. - Ach, zapewne, zapewne.

- Mógłbym cię spytać o to samo - powiedział Leif. - Zazwyczaj nie pojawiaasz się tutaj kiedy jesień za pasem. Myślałem, że dość już masz takiej pogody. Mówiłeś, zdaje się, że jesienią wolisz tereny nizinne.

- Ale nadal mamy lato, nieprawdaż? - powiedział Wayland, po czym ściszone głosem dodał: - A jeśli chodzi o ciebie i ten twój uzdrawiający kamień, to nie wierzę, że wałęsasz się tu zupełnie bez celu. Założę się, że przybyłeś w konkretnym celu.

- Szkoda byłoby, żebyś przegrał swój zakład - powiedział Leif, siadając z boku na stopniu wozu. Przez kilka minut obserwował jak Wayland kończy kuć podkowę, po czym wrzuca ją do stojącego w pobliżu wiadra z wodą; woda zagotowała się z sykiem i z wiadra buchnęła para. Koń zastrzygł uszami bez większego zainteresowania. - Człowiek musi zarobić na życie - powiedział mimochodem Wayland - trzeba jechać za chlebem.

- Myślisz, że tutaj da się zarobić?

- O, tak - powiedział Wayland, wyciągając szczypcami podkowę z wiadra. - Podejrzewam, że niedługo da się tutaj bardzo dobrze zarobić. - Skierował wzrok w stronę wrót miasta i dalej na

wschód nad murami w głąb długiej doliny. - Nim się obejrzymy, rozpocznie się tutaj walka.

- Podniósł prawe przednie kopyto konia i ścisnął je między swoimi kolanami. Na chwilę stanął do Leifa plecami.

- Kto twoim zdaniem? - spytał Leif.

Wayland milczał przez chwilę. Obejrzał się niespokojnie za siebie - tak to przynajmniej wyglądało - i wrócił do pracy. Leif powędrował za jego spojrzeniem i w oddali za sylwetkami ludzi, wciąż przechadzających się po targowisku, za wiszącymi sztukami wołowego mięsa, zauważył dziwną postać - osobliwego małego człowieczka, liczącego nie więcej niż metr dwadzieścia wzrostu. Właściwie nie był to niski człowiek tylko karzeł. Jego ubranie było tak krzykliwie zielono-pomarańczowe, że aż bolały oczy, a na ramieniu miał zmniejszoną wersję lutni zawieszoną na zdobionej szarfie.

Malec zniknął chwilowo z pola widzenia. - Książę Mengor przyjechał tu w odwiedzinach - powiedział Wayland ni z tego, ni z owego.

- W odwiedzinach do Lorda Fetticka?

- Właśnie. - Wayland wcisnął pierwszy gwóźdź do dziury w podkowie. Wepchnął go do połowy długości i zaczął wbijać, kierując go w górę i na zewnątrz, zaciskając go wokół obrzeża podkowy. - Już od paru dni tu bawi i rozmawia o tym, o czym zazwyczaj rozmawiają możni panowie. W Wysokim Domu wydano wczoraj uroczystą kolację. - Spojrzał w kierunku skromnie wyglądającego zameczku stojącego wewnątrz pierścienia murów. - Niektórzy mówią, że córka Fetticka jest już panną na wydaniu.

- A jest?

Wayland skrzywił się i splunął. - Cóż, ma czternaście lat. Może na południu to dobry wiek do zamążpójścia, ale... - Uniósł brwi. - Ale ci z zagranicy mają inne zwyczaje.

- Myślisz, że to małżeństwo może dojść do skutku?

- Nie, jeśli najpierw wydarzy się coś innego - powiedział bardzo cicho Wayland. - Ktoś próbuje ratować swoją skórę.

Leif również zniżył głos: - Czy to przypadkiem ma jakiś związek z Argathem?

Wayland spojrzał na Leifa kątem oka i splunął w ogień: stary góralski zwyczaj, sugerujący że lepiej takich słów nie wymawiać wcale, a już na pewno nie tak głośno. Po kilku sekundach odezwał się znowu: - Słyszałem, jak ktoś mówił, że zbiera swoje wojska. Niestety nie wiem, gdzie obecnie stacjonują.

Leif pokiwał głową. - Słyszałem również - dodał Wayland szeptem - że ktoś, kto miał zmierzyć się z nim w walce i pokonać go... poniósł klęskę.

- Elblai - powiedział równie cicho Leif.

- Chodzą plotki - powiedział Wayland - że została wykopana. - I znów splunął w ogień.

Leif myślał przez chwilę w milczeniu, patrząc, jak Wayland wraca do podkuwania konia. Założył

ostatnią podkowę i szerokim pilnikiem zaczął wygładzać wystające końcówki gwoździ. - Wayland - powiedział Leif - czy później znajdziesz trochę czasu, żeby porozmawiać?

- Jasne - odpowiedział po chwili Wayland. - Czemu nie?
- W jakimś spokojnym miejscu.
- Znasz „Wąski Zaułek” na końcu Winnej? Znajduje się między drugim a trzecim pierścieniem murów, idąc od głównej bramy w stronę słońca.
- Ten z ułem na zewnątrz? Znam.
- Spotkamy się tam po zmroku?
- Dobrze. Może być dwie godziny po zachodzie słońca?
- Dobrze. - Wayland skończył pracę i wyprostował się. - A więc, młodzieńcze...

Leif machnął mu ręką na pożegnanie i oddalił się, obrzucając po drodze niedbałym spojrzeniem ostatnie towary na straganach: bele materiału i kilka marnie wyglądających serów.

Cieszył się, że spotkał Waylanda. To był bystry człowiek i cenna znajomość. Leif znał go już dość długo, od pierwszej bitwy w Sarxos, w której uczestniczył po tym jak dostał swój uzdrawiający kamień. Spotkali się właściwie w szpitalu polowym, ponieważ kowale, obeznani z obróbką metali i wypalaniem, byli bardzo pożądani na polach bitew, na których brakowało ludzi uprawiających czary. Wayland traktował swoich pacjentów z niespotykaną delikatnością, biorąc pod uwagę, iż samo leczenie było w założeniu dość brutalne. Niewiele umykało jego uwadze, a do tego miał fotograficzną pamięć. W zaistniałej sytuacji Leifa cieszyła perspektywa omówienia kwestii sarxoskich z kimś jeszcze oprócz Megan. Nigdy nie zaszkodzi poznać kilka różnych opinii.

Powolnym krokiem zbliżał się do garkuchni. Nagle serce podskoczyło mu do gardła, ponieważ poczuł, jak ktoś z tyłu klepie go po ramieniu. Odskoczył jak najdalej od intruza, tak jak uczyła go matka i odwrócił się twarzą do niego z ręką na nożu.

To była Megan.

Obrzuciła go drwiącym spojrzeniem. - Myślałam, że mamy się spotkać w garkuchni.

- Och... przepraszam. Spotkałem znajomego i wyleciało mi to z głowy.
- Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie raczyłeś się chili?

Leif nagle poczuł, że burczy mu w brzuchu. - Chili - powiedział.

Megan uśmiechnęła się. - Chodź - powiedziała i wtedy urwała na dźwięk czyjegoś dziwnego śpiewu dochodzącego ze straganów na przeciwległym krańcu placu.

- A to co, do cholery? - spytała Megan. Śpiewak akompaniował sobie na ukulele.

Zaśpiewam wam teraz o nieszczęsnej dziewczycy, Gdyż nieszczęsną była dziewczica ta, Której kochanka odebrało dziecię wodnicy W falach wielkiego słonego morza.

Właściciel głosu, jeśli można go było tak określić, wyłonił się spomiędzy zadaszeń i stoisk, przy akompaniamencie gromkiego śmiechu i niewybrednych okrzyków, które dało się słyszeć, kiedy tekst piosenki stał się bardziej sprośny. Jej wykonawcą okazał się krzykliwie ubrany karzeł. Zatrzymał się przy straganie, na którym pakowano owoce przed zamknięciem rynku i jedną ręką fałszując na lutni, drugą próbował podkraść kilka owoców. Właścicielka straganu - duża, rumiana kobieta z bielmem na oku - wreszcie straciła cierpliwość i zdzieliła karła pustym koszem po głowie. Mały człowiek

przewrócił się, ale zaraz wstał i czmychnął stamtąd wydając z siebie falsetem szatański śmieszek. Megan wbiła w niego zdumione spojrzenie. - Co to było? - pytał Leif sprzedawczynię owoców.

- Gobbo - odpowiedziała.

- Przepraszam, co? - odezwała się Megan.

- Gobbo. Mały paskudny karzeł Księcia Mengora. Jest kimś w rodzaju minstrela.

- Żaden z niego minstrel, nie z takim głosem - odezwał się jeden z ludzi rzeźnika, niosący na plecach płat mięsa.

- Jest również księżęcym błaznem - dodała handlarka owoców. - I niezłym dziwakiem. Wszędzie go pełno, tu coś zwędzi, tam ukradnie i zawsze szuka kłopotów. Wchodzi kobietom pod spódnicę...

- Mówi tak pani przez zazdrość, że nie chciał wejść pod pani spódnicę - odezwał się inny straganiarz, pakujący swoje towary.

Handlarka odwróciła się do niego i puściła mu taką wiązkę, że nieszczęśnik czym prędzej ukrył się za sąsiednim straganem.

Leif zachichotał i odwrócił się w kierunku „U Atylli”. Megan stała przez moment nieruchomo, patrząc w kierunku, gdzie zniknął karzeł.

- Nie wiem dlaczego - powiedziała do Leifa - ale ten karzeł wydaje mi się znajomy...

- Tak... - Leif powędrował wzrokiem w tę samą stronę co Megan i dodał: - Powiem ci dlaczego. Widziałaś go w Minsarze.

- Naprawdę? Być może. - Wtedy przypomniała sobie dziwną małą postać z mieczem, przebiegającą przez oświetlony pochodniami rynek i ten osobliwy chichot. Z niewiadomej przyczyny poczuła ciarki na plecach. - Skoro był tak daleko stąd - powiedziała cicho - jakim cudem znalazł się tutaj tak szybko?

Leif wziął ją za ramię i pociągnął w kierunku „U Atylli”. - Posłuchaj - powiedział - my też tam byliśmy, a teraz jesteśmy tutaj. Nie ma w tym nic dziwnego.

- Jesteś pewien? - powiedziała Megan. Obserwowała, jak na twarzy Leifa pojawia się znajomy wyraz zastanowienia... i powoli przeradza się w podejrzliwość.

- Zastanawiam się - powiedział.

- Nikt ci nie broni - powiedziała Megan i tym razem to ona pociągnęła go za rękaw. - Tylko ciężko zastanawiać się z pustym żołądkiem.

- No dobrze - zgodził się Leif. - A potem... jak już zjemy... mamy spotkanie.

- Tak?

- Chodź, zaraz wszystko ci opowiem. Zakładając, że dam radę jednocześnie mówić i jeść. To chili jest wyjątkowo ostre...

- Jak bardzo?

- Używają go do tresury smoków.

- Więc na co czekamy - jestem gotowa!

Mniej więcej godzinę później siedzieli we dwójkę przy stoliku w kącie „U Atylli”, usiłując dojść

do siebie po posiłku. - Nie mogę uwierzyć, że to zjadłam - powiedziała Megan. - Nie mogę uwierzyć, że zjadłam też dokładkę. - Patrzyła na resztki drugiej porcji.

Leif zaśmiał się i wypił łyk herbaty. Na chili Atilli nie było lekarstwa oprócz zimnej słodkiej herbaty z mlekiem, więc oboje popijali ją z wysokich porcelanowych kubków.

- Współczuję smokom, o których wspominałeś - powiedziała Megan.

Leif wyjrzał przez okno. - Zbliża się zachód słońca - powiedział. - Powinniśmy się zbierać.

- Dobrze. Ale skończ mówić mi to, co zacząłeś - powiedziała Megan. - O Waylandzie.

- To wszystko, co mam o nim do powiedzenia.

- Wspominałeś coś na temat jego imienia.

- Ach, to... to ogólnie przyjęta nazwa dla wędrownych kowali". Taki żarcik. Ale on jest dobry.

Dotrze we właściwe miejsca. Wiele słyszy. Ale jest coś jeszcze, o czym chcę ci powiedzieć, zanim do niego pójdziemy.

Leif rozejrzał się wokół. Właścicielka „U Atylli” wyszła na zewnątrz, żeby zaczerpnąć chłodnego wieczornego powietrza i oparła się o futrynę drzwi wychodzących na plac targowy, gawędząc z jakimś przechodniem.

Leif odezwał się cichym głosem: - Zanim dziś wszedłem do Sarxos, zająłem się pewną sprawą, która przyszła mi do głowy.

- Tak?

- Powiedziałaś, że musi istnieć jakiś lepszy system szukania „wykopywacza”. Doszedłem do wniosku, że masz rację. Pomyślałem sobie, że poza oczywistym pytaniem: „kto pokonał Argatha w bitwach i potyczkach”, które samo się nam nasuwa, pozostaje pytanie, który gracz albo postać również został pokonany w bitwach i potyczkach przez tych samych ludzi? Wszystkich ludzi, którzy pokonali Argatha?

Megan zmierzyła go uważnym spojrzeniem. - Widzisz - ciągnął Leif - ten problem trzeba rozważyć jako całościową teorię, taką którą mogłabyś rozrysować na kształt diagramu Venn. Można by ją porównać do sarxoskiej wersji logo MasterCard. Trzeba potraktować kilkuletnią historię wojen w Sarxos jako całość, żeby się przekonać, gdzie się o siebie zająbiają i chodzi mi tu o konkretne osoby. I te zająbienia muszą być dokładne, jeśli chcemy otrzymać wiarygodny obraz całości. Nadążasz za mną?

Megan zamrugła oczami i kiwnęła głową twierdząco. Wiedziała, że analizowanie danych to jedna z mocnych stron Leifa; po prostu trochę ją zaskoczył, wyciągając tak niespodziewanie królika z kapelusza. - No dobrze - powiedziała. - Czego się w takim razie dowiedziałeś?

- Po pierwsze, kwestia bitew w Sarxos w ogóle nie jest uporządkowana. Nie ma przecież żadnego harmonogramu czy czegoś w tym stylu. Jednak istnieje pewna prawidłowość jeśli chodzi o graczy z jednej grupy walczących z inną grupą, a jej podstawą jest terytorium. Częściowo wynika to z logistyki gry. Biorąc pod uwagę tygodnie kalendarza gry, przenoszenie dużych grup ludzi i armii z

jednego końca Sarxos na drugi jest kosztowne, a z logistycznego punktu widzenia niemożliwe. Kiedy ostatnio słyszałaś o bitwie Północnego Kontynentu z Południowym?

Megan pokręciła głową. - Chyba nigdy.

- Jedna miała miejsce - powiedział Leif - ale to było dwanaście lat sarxoskich temu i zrujnowało obie strony. Co gorsza, nikt właściwie nie wygrał - wytworzyła się sytuacja patowa, ponieważ kilka krajów na granicy obu zwaśnionych Kontynentów wykorzystało okazję do zaatakowania walczących ze sobą krajów. Sytuacja nieco podobna do tej z czasów wojny o niepodległość, tylko że o wiele gorsza. To tak jakby Francja, Niderlandy i inne kraje wykorzystywały sposobność dyplomatycznie lub na polu walki, żeby napaść na Wielką Brytanię, podczas gdy ta usiłowałaby prowadzić wojnę ze Stanami Zjednoczonymi. W każdym razie wojny międzykontynentalne już się tutaj nie zdarzają; nie ma w tym zysku. - Leif usiadł wygodnie na krześle. - Dlatego masz tu kraje dysponujące wystarczającą liczbą ludzi lub armii - czyli prawie wszystkie; każdy uwielbia walczyć, a połowa ludności Sarxos jest tu, żeby się „bić”. I oni w trakcie sezonu kampanii wiosna-lato-wczesna jesień walczą praktycznie z każdym, z kim się da. Kończy się na tym, że prowadzą wojny praktycznie z każdym z tej „ligi” lub „grupy” tylko dlatego, że dzieli ich od siebie niewielka odległość. „Ligi” są dość równomiernie rozłożone na całym terenie gry.

- Czy to nie jest trochę dziwne?

Może w prawdziwym świecie. Ale tutaj... Posiedziałem trochę nad mapą Sarxos i zauważyłem pewien interesujący aspekt, który Rodrigues wprowadził do gry. Dołożył wszelkich starań, żeby żadna z zamieszkanymi krain nie była kompletnie pozbawiona wartości strategicznych. Bez względu na miejsce, w którym żyjesz, na kraj który odziedziczyłeś albo zdobyłeś, zawsze znajdziesz w nim coś użytecznego. Co ciekawsze, za każdym razem tuż za horyzontem lub za wzgórzem znajduje się kraina bardziej interesująca lub dla ciebie pożyteczna. Jedna bogata kraina jest więc zawsze otoczona dwoma czy trzema mniejszymi, biedniejszymi krajami. Jeden wielki, potężny kraj otoczony zostanie kilkoma innymi, których z jakiegoś powodu nie będzie w stanie zaatakować. Popatrz na przykład na Errint. Argath ma go w zasięgu ręki i powinien go bez wysiłku podbić za pomocą swoich potężnych armii, ale nie może z powodu łańcucha górskiego oddzielającego go od Errintu. Przełęcz tego łańcucha zostały bez wątpienia tak usytuowane, żeby utrudnić inwazję.

- Wbudowana frustracja - powiedziała Megan.

- Myślę, że coś więcej - powiedział Leif. - Rod w swej nieskończonej mądrości - Leif posłał w stronę sufitu rozbawione spojrzenie - zasiał w tym miejscu ziarna konfliktu. Ale również ziarna stabilizacji, żeby zachować równowagę. I zrobił to z wielkim wyczuciem.

- Sam to wszystko wykombinowałaś? - spytała Megan w równym stopniu rozbawiona, co pełna podziwu.

- W większości tak - powiedział Leif. - Na temat Sarxos napisano parę książek, ale zasadniczo ich autorzy nie mieli pojęcia, o czym piszą albo zaplątywali się w sieci zewnętrznych szczegółów, interfejsu komputerowego i systemu punktacji i nigdy nie dochodzili do głębszych wniosków.

- Brzmi to wszystko rozsądnie - powiedziała Megan. - Gdybyś był twórcą gier, chciałbyś mieć pewność, że jej uczestnicy się nią nie znudzą. Chociaż w przypadku Sarxos to nam chyba nie grozi.

- To prawda. Ale Rod załatwił ten problem bardzo sprytnie. Wyłączając z równania Lidios i Arstan - one są wyjątkami z powodu „zasady prochowej” i z reguły walczą ze sobą, a nie z innymi krajami, to moim zdaniem w grze istnieją dwie grupy nacisku. Jedna pochodzi od samych graczy. Chcą, żeby nic nie ulegało zmianom, chyba że te zmiany są dla nich korzystne. Druga grupa nacisku pochodzi od Roda: presja polega na tym, żeby sytuacje statyczne nie pozostały takie na zawsze, i żeby zmiany nie były zbyt gwałtowne albo zbyt radykalne. Jeśli przyjrzeć się danym gry z ostatnich dziesięciu sarxoskich lat, odnosi się wrażenie, że od czasu do czasu Sarxos zostaje... pchnięte w pewnym kierunku. Jakiś trend rozpocznie się w danym kraju - pamiętasz niewolnictwo w Dorlien? - i wtedy dzieje się coś, co przywraca krajowi normalny bieg zdarzeń. A na przykład w innym kraju, gdzie sytuacja nie zmieniała się od bardzo dawna, nagle dzieje się coś, co najwyraźniej w odpowiednim momencie spycha go z obranego kursu i każe mu przyjąć zupełnie nowy kierunek rozwoju.

Megan nie odzywała się przez chwilę. - To wygląda na świetny sposób kierowania Sarxos. Ale chyba nie sugerujesz - powiedziała nagle zmieniona na twarzy - że te wykopania - że one same to jakiś rodzaj „pchnięcia”? Myślisz, że Rodrigues, że sam Rod...

Leif patrzył na nią wolno kiwając głową. - Zastanawiałem się - powiedział - czy i ty dojdiesz do takiego samego wniosku.

Megan siedziała w milczeniu i myślała. - Wiesz - powiedziała - paranoja to paskudna rzecz. Wszędzie potrafi się wcisnąć.

-Aha - zgodził się Leif. - Jednak pozostaje pytanie: Czy to tylko paranoja? Jeśli wątek Argatha to przykrywka dla czyjejs zemsty za skrywaną urazę lub coś bardziej tajemniczego, to według mnie ten ktoś musiał najpierw usiąść i bardzo dokładnie przeanalizować grę - jej strukturę i sposoby działania - szukając sposobu najskuteczniejszej interwencji i to takiej, którą potem można by było obarczyć innego gracza. Jeśli twierdzisz, że jedną z osób dysponujących odpowiednimi środkami do takiego posunięcia jest sam twórca gry, ten do którego to miejsce należy...

Megan pokręciła głową. - Wiele innych osób dysponuje porównywalnymi środkami.

- Tak, wiem. Ale i tę możliwość musimy wziąć pod uwagę.

Megan zaczęła obracać w palcach swój kubek z herbatą. - Twórca gry może nią sterować zgodnie ze swoim życzeniem... ale po co miałby zacząć wykopywać klientów, którzy mu płacą? Bez motywu ta teoria nie trzyma się kupy.

- To nie jest teoria, tylko jedna z możliwości.

- Moim zdaniem Sherlock Holmes nie zaszczyliłby jej nawet taką nazwą. - Potem jednak Megan wzruszyła ramionami. Nie było sensu zagłębiać się teraz w te sprawy. - Zostawmy na moment szczegóły. Wygląda na to, że jesteś przekonany o tym, że ktoś jeszcze oprócz Argatha jest odpowiedzialny za wykopania. Twoim zdaniem jest to ktoś, kogo pokonały wszystkie te osoby, które także pokonały Argatha. W porządku. Ile ich jest konkretnie?

- Sześcioro - powiedział Leif. - To generałowie albo dowódcy Hunsal, Orieta, Walse, Rutin,

Lateran i Balk Śruba.

- Ciekawe imię - zauważyła Megan.

- Tak. No więc, analizując dane w ten sposób można się dowiedzieć, że wszyscy ci gracze są „umiejscowieni” w północno-wschodniej części Północnego Kontynentu. Mają tam albo miasta, królestwa i armie, albo bitwy, w których brali udział odbyły się w obrębie tej „ligi”.

- Więc, jeśli wyłączymy Argatha, to taka analiza zwiększa prawdopodobieństwo, iż wykopywacz jest jednym z tej szóstki.

- Zgadza się. Tak to się według mnie przedstawia. Masz jakiś inny pomysł?

Megan potrząsnęła głową. - Nie na zawołanie. Zamierzam przyjrzeć się bliżej faktom... ale pewnie nic nowego nie wymyślę. To twoja specjalność i jeśli doszedłeś do takich wniosków, jestem skłonna przyjąć je za pewnik.

- Świetnie. W takim razie to będzie nasz kolejny trop w śledztwie - powiedział Leif. - Aha, przygotowałaś swój raport dla Wintersa, mam nadzieję?

- Tak. Powinien go właśnie otrzymać. Poczekaj chwilkę. Interwencja w grze - powiedziała Megan w powietrze.

- Czekam.

- Sprawdź czas domowy.

- Dwudziesta pierwsza czterdzieści trzy.

- Zrobione. Dostał go piętnaście minut temu - poinformowała Megan Leifa. - A ty?

- Mój też ma ustawiony czas wysłania - Winters dostanie go za jakąś godzinę.

- A nasz najnowszy trop w dochodzeniu - powiedziała Megan, patrząc na Leifa kątem oka. - Podzieliłeś się z nim swoimi odkryciami?

- Hm, cóż...

- Nie informujemy go o niczym, zanim sami tego nie sprawdzimy, tak? - powiedziała Megan.

- To chyba wynika z naszej wcześniejszej dyskusji... prawda?

Megan poczuła lekki niepokój. Z drugiej strony czuła jednak, że mogli natrafić na coś ciekawego. - Posłuchaj, poczekajmy z tym jeszcze dzień lub dwa - powiedział Leif. - Jesteśmy tak blisko, wiem, że tak jest. A skoro nie zbliżają się na razie żadne bitwy...

- Zgadzam się z tobą, że powinniśmy pójść nowym tropem przez dzień czy dwa - przerwała mu Megan - ale nie opierając się na mylnym założeniu, że nie zbliżają się żadne bitwy. Nie możemy zakładać, że będą one miały coś wspólnego z faktem, że nasz „wykopywacz” zaatakuje lub nie. Myślę, że wykopie każdego, na kogo przyjdzie mu ochota i to w każdej chwili. Dlatego chcę dziś wieczorem zrobić tyle ile się da. Po rozmowie z Waylandem od razu powinniśmy się skontaktować z Fettickiem, a potem, przy kolejnym wejściu do gry, z Księżną Morn. Musimy się upewnić, że zostali ostrzeżeni i że nam wierzą.

- Zgodza się z tobą, że powinniśmy pójść nowym tropem przez dzień czy dwa - przerwała mu Megan - ale nie opierając się na mylnym założeniu, że nie zbliżają się żadne bitwy. Nie możemy zakładać, że będą one miały coś wspólnego z faktem, że nasz „wykopywacz” zaatakuje lub nie. Myślę, że wykopie każdego, na kogo przyjdzie mu ochota i to w każdej chwili. Dlatego chcę dziś wieczorem zrobić tyle ile się da. Po rozmowie z Waylandem od razu powinniśmy się skontaktować z Fettickiem, a potem, przy kolejnym wejściu do gry, z Księżną Morn. Musimy się upewnić, że zostali ostrzeżeni i że nam wierzą.

- Możemy się podzielić kosztami - zaproponowała Megan. - Mam trochę tranzytu - nie tyle co ty, ale zawsze coś. Musimy brać się do roboty. Prawdopodobnie zbieranie informacji na ich temat i

ustalenie, który z nich najbardziej pasuje do wizerunku naszego wykopywacza, zajmie nam sporo czasu.

- A wtedy co zrobimy? To znaczy, kiedy będziemy pewni, że namierzyliśmy właściwą osobę?

- Zawiadomimy Zwiadowcy - powiedziała Megan. -Przekażemy im wszystko co mamy i powiemy, żeby zajęli się wykopywaczem.

- Będę się upierał przy tym, żeby uczestniczyć w akcji zdejmowania tego gościa - powiedział Leif.

- Upierał? Myślisz, że Winters się zgodzi? - Megan spojrzała na niego sceptycznie. - Podać ci w procentach prawdopodobieństwo, że ci na to pozwoli?

- Tak czy inaczej bym się upierał. Dla samej satysfakcji.

- Rzeczywiście miło byłoby się tam znaleźć podczas akcji - przyznała Megan. - Ale osobiście bym na to nie liczyła. Przypuszczam, że „dorośli” będą woleli żebyśmy znaleźli się wtedy w bezpiecznej odległości. A satysfakcja? Nie zabraknie ci tego uczucia, kiedy wykopywacz znajdzie się za kratkami. - Megan cały czas pamiętała Elblai zabieraną do szpitala, jej zamknięte fiołkowe oczy i posiniaczoną twarz. - Zresztą chwała nas nie ominie. W Zwiadowcy będą wiedzieli kto rozwiązał zagadkę.

- Niech będzie. Chodźmy - powiedział Leif, wstając i przeciągając się. - Pora na spotkanie z Waylandem.

Powoli i ostrożnie dotarli do ulicy Winnej. Ulice tonęły w ciemnościach, a księżyc nie wzeszedł jeszcze na tyle wysoko, żeby oświetlić mury domów. Leif i Megan szli po brukowanych uliczkach, nasłuchując własnych kroków. Nie chodziło o to, że Errint należał do niebezpiecznych miast, jak na sarxoskie warunki. Ale w każdym mieście można się było natknąć na rozbójnika, czającego się w ciemnym zaułku, który pragnął pozbawić człowieka sakiewki czy innych wartościowych rzeczy. Prawdę mówiąc, w Sarxos działał potężny cech złodziei, skupiający ludzi, którzy w prawdziwym świecie byli szanowanymi obywatelami, natomiast wolny czas spędzali w łachmanach, czając się w uliczkach i rozprawiając w złodziejskim slangu oraz zajmując się rzeczami, które w świecie rzeczywistym uchodziłyby za dość ekscentryczne, tu zaś były zwykłą zabawą, a nawet uważano je za część lokalnego kolorytu, jak psie kupy na chodnikach Nowego Jorku.

Megan podniosła głowę, słysząc szatański chichot na końcu uliczki. Leif zatrzymał się i wpatrywał się w ciemność. Megan powiedziała szeptem: - Bardzo interesujące.

Leif nic nie widział, ale głos wydał mu się znajomy. - Kto to był? - spytał.

- Nasz mały przyjaciel - odparła Megan. - Śpiewający karzeł Gobbo.

- Proszę, proszę - powiedział Leif.

- Można by pomyśleć, że powinien teraz siedzieć w zamku swego pana i zajmować się tym, czym się zwykle zajmują błazny - powiedziała Megan.

- Może robić obchód. Myślę, że to należy do jego obowiązków.

Może - powiedziała Megan powątpiewająco. - Lepiej już chodźmy.

Poszli dalej i, mijając bramę pomiędzy dwoma murami, skręcili w kolejną ciemną uliczkę. Leif stanął w miejscu. Megan szła dalej.

- O rany - powiedział. - To tutaj.

Megan też się zatrzymała i spojrzała w dół uliczki. - Co tutaj?

- To.

Leif przypomniał sobie, jak Megan określiła karczmę „Pod bażantem i barylką” jako spelunkę. Teraz stali przed frontem „Wąskiego Zaułka”, a księżyc powoli wyłaniał się znad zewnętrznego pierścienia murów. Megan nie mogła oderwać wzroku od wychodzącej częściowo na uliczkę budowli o popękanych okiennicach i pociętych siekierą, obitych metalem drzwiach.

- To wygląda jak szopa! - powiedziała.

- Może kiedyś była to szopa - powiedział Leif. - Wejźmy do środka.

Zastukał w drzwi. Otworzyło się metalowe okienko na wysokości oczu i ciemną uliczkę oświetliło słabe światelko zasłonięte częściowo czyjąś głową. Para zmrużonych oczu wbiła spojrzenie w Leifa.

- Wayland - powiedział Leif.

Małe okienko zostało zasunięte i wewnątrz rozległ się dźwięk podnoszenia drewnianego rygla.

- Zaawansowana technologia - szepnęła Megan. Leif zachichotał. Drzwi rozchyliły się nieco i najpierw Leif a za nim Megan wślizgnęli się do środka.

Leif patrzył, jak Megan rozgląda się po wnętrzu i niemal słyszał jej myśl: To jest szopa! Pewnie kiedyś była to szopa i to dość spora, dobudowana do jednej ze stajni znajdujących się w tej okolicy. Podłoga, podobnie jak na ulicy, wyłożona była kamieniem, a wiekowe ściany - szerniałe, popękane deski - zbito byle jak i tu i ówdzie bezskutecznie próbowano zalepić jakąś spajającą substancją. Znajdowało się tu cztery czy pięć małych stołów zbitych z drewnianych desek, wyposażonych w świeczniki oraz zasłonięte przejście prowadzące zapewne do części kuchennej, wydzielonej z głównego pomieszczenia: tam prawdopodobnie trzymano beczki z piwem.

Mężczyzna, który otworzył im drzwi, okazał się wyjątkowo wysokim i przystojnym młodym człowiekiem w niechlujnej koszuli i bryczesach, nieco osobliwie łysiejącym na czubku głowy, z włosami związanymi w koński ogon. Zamknął i zaryglował za nimi drzwi, po czym obrzucił ich uważnym spojrzeniem i zniknął za zasłoną. Przy stole na samym końcu pomieszczenia, niedaleko zasłony, siedział Wayland. Stał przed nim kubek, a także dwa inne.

Usiedli przy stole Waylanda. Leif kiwnął mu głową na przywitanie i spojrzał na dwa kubki.

- Widziałem was „U Atylli” - powiedział Wayland i spojrzał na Megan. - I coś mi się wydaje, żeśmy się już kiedyś spotkali.

- Chyba tak - powiedziała Megan dotykając jego ręki w tradycyjnym geście powitania. - Czy to nie było podczas letniego festiwalu w Lidios? Na rynku?

- Zgadza się, Rudowłosa Meg. Przy moim straganie. Dwa lata temu?

- Tak.

- Byłaś w Lidios? - spytał Leif Megan nieco zdziwionym głosem. - Co tam robiłaś?

- Włóczyłam się - odpowiedziała z lekkim uśmiechem. - Chciałam zobaczyć jak tam jest. Raz wystarczyło.

- Miło mi cię znów widzieć - powiedział Wayland. Podnieśli kubki i napili się cienkiego errinckiego piwa, które właściwie tylko przypominało prawdziwe.

- Właśnie wracam z tamtych stron - powiedział Wayland. - Wrze tam jak w ulu.

- Dlaczego?

- Z powodu nowin na temat tego, co się dzieje tutaj - powiedział Wayland i znów napił się ze swojego kubka, jakby chciał się pozbyć z ust złego smaku. - Chodzi o tę sprawę z Księciem, który wyskoczył jak Filip z konopi i stara się nakłonić biednego Fetticka do przymierza z Argathem. - Wayland pokręcił głową. - Wiele tutejszych państweczek, może sześć lub siedem, nagle znalazło się pod presją zawierania sojuszy. Komuś najwyraźniej bardzo się śpieszy.

- Dlaczego? - spytała Megan. - Kogo się twoim zdaniem boi?

- Nie wiem, czy się boi - odpowiedział Wayland. - Raczej jest zły.

Odchylił się na ławie i, oparłszy się o splekaną ścianę, utkwił wzrok w swoim kubku z piwem. - Jak mówiłem, znajdowałem się niedaleko Arstan i Lidios, i zatrzymałem się po drodze, żeby wykonać robotę dla poczty...

- Dla poczty? - zdziwiła się Megan.

- A, tak - powiedział Wayland. - System Szybkiej Poczty ma też wschodnią trasę prowadzącą od Lidians do Orxen i dalej wokół Półwyspu Daimish. Ich centralny dział wysyłkowy znajduje się w Gallevie - ile to będzie stąd? Jakies sto mil na południe. Czasem między własnymi zajęciami albo kiedy potrzebuję trochę srebra ekstra, zatrzymuję się tam i podkuwam pocztowe konie. To stała praca. Zawsze przyjeżdżają tam konni pocztowcy, specjaliści kurierzy i tak dalej.

Znów napił się piwa. - Tym razem jednak byłem tam w pełni lata. Oni lubią wykorzystywać długie dni o tej porze roku, bo mogą wysłać dodatkowych kurierów. Jednego co kilka godzin. Pewnego dnia przybyło od Argatha czterech kurierów jeden po drugim, wszyscy z jego dewizami i wszyscy w ukropie. Dwóch wcale się nie zatrzymało, a dwóch pozostałych zmieniło tam konie i pojechało dalej. Oczywiście, zdradzili to i owo na temat swoich misji - wiecie, jak to jest, taka praca musi być bardzo nużąca, więc lubią popisywać się przed innymi, jacy to są ważni. Idioci. A dwaj pocztowcy - jeden z dwóch, którzy się zatrzymali, i jeden z tych, którzy pojechali dalej - przybywali prosto od Argatha z Czarnego Pałacu i jechali do miasta Gerna w Torivie.

- Jak to, do Króla Stena? - spytał Leif.

- Nie, nie. Do dowódcy jego wojsk, Laterana.

Leif nagle zainteresował się swoim piwem. Megan uniosła brwi. - Nie znam człowieka.

Wayland wzruszył ramionami. - Jeszcze jeden ambitny młody generał w drodze na szczyt. Ma na swoim koncie kilka genialnych zwycięstw sprzed paru lat. Również nad Argathem. I to dość

żenujących dla Argatha. Ludzie zaczęli wtedy mówić „Może skończyła się jego dobra passa”. Niektórzy sądzą, że od tego zaczęła się cała sprawa z Elblai na północy. - Wayland pokręcił głową. - No więc nagle pojawili się ci wszyscy konni posłańcy jadący w obie strony. A jeden, który się tam zatrzymał powiedział, że inny, ten co pojechał dalej, wioził Czarną Strzałę.

Nagle i Megan wbiła wzrok w swój kubek z piwem. Leif przeciągnął się tak naturalnie jak tylko potrafił. Czarna Strzała była w tradycji północnokontynentalnej deklaracją braterstwa krwi aż do śmierci.

- Może Argathowi znudziło się dostawać cięgi - powiedział Leif.

- Nie jestem pewien, czy tylko o to chodziło - odpowiedział Wayland. Dopił piwo i odstawił kubek. - I chyba o to... o to właśnie mnie pytacie na swój sposób. Tak?

Leif pokiwał głową. - Mówiłeś, że Elblai... że została wykopana.

- Tak słyszałem - powiedział Wayland. - Nowiny szybko się rozchodzą.

Leif znów pokiwał głową. W średniowieczu nowiny wędrowały z miejsca na miejsce całymi dniami, a nawet tygodniami, ale teraz mieli średniowiecze z e-mailem. Konni listonosze wciąż byli potrzebni, ale do przewożenia rzeczy, a nie nowin.

- Ta bitwa nie nastąpi od razu - powiedział Wayland. - Ale nagle wszyscy zdają się mówić o tym, że Argath skierował swoją uwagę na południe, w stronę Torivy i Laterana.

- Skąd taka zmiana? - spytała ściszym głosem Megan. Leif spojrzał na Waylanda, który odezwał się równie cicho: - Leif, nigdy nie należałeś do ludzi, którzy mieszają się w takie sprawy, młodzieńcze. Czemu cię to interesuje? Zamierzasz opowiedzieć się po jednej ze stron przeciwko drugiej? To raczej nie jest dobry pomysł.

Leif siedział w milczeniu przez moment, patrząc kątem oka na Megan. Dziewczyna ledwo dostrzegalnie skinęła mu głową.

- Nie po jednej ze stron, czy przeciwko drugiej - powiedział Leif. - Chcemy się dowiedzieć, kto stoi za tymi wykopaniem.

Wayland kiwnął głową. - Podobnie jak wiele innych osób. To ostatnie wykopanie... - Potrząsnął głową. - Kiepska sprawa. Nie po to Rod stworzył Grę. Zresztą żadne z tych wykopań nie było dobrą rzeczą. Ktoś przez rok, dwa, pięć lat buduje swój charakter, staje się kimś, i nagle... - Strzelił z palców. - Znika. Tak po prostu. Traci całą pracę, wszystkie przyjaźnie. To nie fair. - Mówił cicho, ale zawziętym tonem.

- Masz rację - powiedział Leif. - A teraz posłuchaj.

W skrócie opowiedział Waylandowi, o czym dyskutowali z Megan - że Argath może być jedynie przykrywką dla człowieka pragnącego zemsty na graczach, którzy pokonali go w bitwie. Wymienił też nazwiska generałów i dowódców, którzy przegrali kampanie z tymi samymi ludźmi, z którymi

przegrał je Argath: Hunsala, Rutina, Orietę, Walsa, Balka Śrubę... i Laterana.

Wayland uśmiechnął się lekko. - A to ciekawe - powiedział. - I to bardzo. Zastanawiam się, czy ktoś inny też na to wpadł. Czy ktoś zagłębił się w tę sprawę tak jak powinien?

- My próbujemy to zrobić - powiedziała Megan. - Zanim Gra stanie się dla wszystkich bezużyteczna. To przecież wciąż tylko gra... nie powinna się kończyć w szpitalu.

Wayland pokiwał głową. Po chwili westchnął i powiedział: - Pomogę wam w miarę moich możliwości. Jutro stąd wyruszam. Miałem znów jechać na wschód, ale mogę się wybrać na zachód i południe. O tej porze roku człowiek cieszący się letnią pogodą ma prawo zmienić zdanie...

- Bardzo byś nam pomógł w ten sposób. A jeśli się czegoś dowiesz...

- Wyślę wam e-mail.

- Pozostaje nam wciąż jedno do zrobienia, zanim stąd odejdziemy - powiedziała Megan. - Musimy porozmawiać z Lordem Fettickiem... i spróbować go ostrzec, że jest potencjalnym celem. Szkoda, że nie znamy nikogo, kto mógłby za nas poręczyć. Ostatnim razem, kiedy chcieliśmy kogoś ostrzec, nie poszło nam najlepiej.

Wayland uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ależ znacie kogoś takiego. Zajmuję się końmi Fetticka. Dziś rano właśnie skończyłem. Jeśli chcecie, to jutro, zanim wyjadę, zaprowadzę was i przedstawię majordomusowi w Wysokim Domu. Dzisiaj wieczorem nie mogę tego niestety zrobić... znów będą biesiadować z Księciem. Ta cała sprawa z jego młodą córką... - Wayland potrząsnął głową.

- Nie sądzisz chyba, że ją za niego wydadzą? - spytała powątpiewającym tonem Megan.

- Jasne, że nie. Fettick świata poza nią nie widzi. Prędzej by ją zabił, niż pozwolił jej opuścić dom w tak młodym wieku. Chodzą plotki, że nieskory byłby to uczynić bez względu na jej wiek... w każdym razie minie jeszcze parę lat, zanim pojawi się ten problem. Chociaż mówią, że mała panna Senel ma swój rozum. Tymczasem Fettick musi przemówić Księciu do rozumu i powstrzymać go przed jakimś pochopnym lub nieprzemyślanym krokiem... przynajmniej na razie. Moim zdaniem Fettick spodziewa się, że sytuacja w jego części Sarxos ulegnie zmianie tak szybko, że Książę przestanie stanowić dla niego problem.

- Jeśli dowiemy się tego, co nam potrzeba - powiedział Leif - tak się może stać.

Wayland przeciągnął się. - No dobrze. Jutro rano spotkamy się więc na rynku. Nie wyprowadzę wozu z miasta do ostatniej chwili przed wyjazdem.

- Świetnie. Dziękuję, Wayland.

Kowal pomachał im na pożegnanie i skierował się do wyjścia. Zza zasłonki wyszedł znajomy młodzieniec, wyprowadził go na tonącą w ciemnościach uliczkę i zamknął za nim drzwi.

Leif i Megan zostali jeszcze trochę, żeby dopić piwo, po czym też wyszli na zewnątrz i wolnym krokiem poszli w stronę rynku. - Szkoda, że nie mogliśmy załatwić tego jeszcze dzisiaj - powiedziała

Megan.

Leif wzruszył ramionami. - Mniejsza z tym. Uda ci się zalogować jutro rano? Wtedy musimy się tym zająć.

- To nie powinien być problem. W moim domu poranki są raczej spokojne. Za to wieczory...

Nagle umilkła.

Co jest? - powiedział Leif.

- Nic - powiedziała ściszym głosem. - Po prostu idź dalej.

- Jak to nic? Co jest grane?

- Za to wieczory są szalone - ciągnęła na głos Megan, zerkając kątem oka w uliczkę, którą mijali.

- Mój ojciec potrafi być bardzo uparty, jeśli chodzi o wieczory rodzinne. To znów on - szepnęła.

- No tak, ojcowie - powiedział Leif, nie zwalnając kroku. Megan zauważyła, że on też się dyskretnie rozgląda po tej samej uliczce co ona. Ale nadal wyglądał na zdezorientowanego. - Potrafią nieźle dokuczyć, ale nie możemy bez nich żyć, a zastrzelić ich nie można... On, to znaczy kto?

- Gobbo - wyszeptała. - Raz to mógł być zbieg okoliczności... dwa razy przypadek... ale trzy razy to już akcja nieprzyjaciela.

- Słucham?

- Śledzi nas.

- Jesteś pewna?

- Nie widzę innego wyjścia. I wiesz co? Śledzi nas już od Minsaru.

- To może być paranoja, Megan.

- Nie. - Gwałtownie skręciła w boczną uliczkę, ciągnąc Leifa za sobą. Na chwilę przywarli w kompletnej ciszy do wilgotnej kamiennej ściany.

Nie do końca kompletnej. Odgłos kroków i znów cisza. Znów odgłos kroków, tym razem bliżej.

- To tam - wyszeptał Leif.

- Ja nie zamierzam czekać. Nie lubię, jak ktoś mnie śledzi... zaraz mam ochotę potrenować rzuty karłami.

- Co takiego?

- Rzuty karłami. Stary i bardzo niestosowny sport. Moja mama byłaby w szoku, słysząc, że o nim wspominam. - Megan uśmiechnęła się szeroko i rozejrzała dokoła. - Gdzie jesteśmy?

- Pomiędzy trzecim a czwartym pierścieniem murów.

- Nie, chodzi mi o to, gdzie jest wschód?

Na wprost przed nimi, nieco na lewo od kamiennej ściany widniała smuga księżycowej poświaty. Leif wskazał na prawo.

Megan przez chwilę myślała nad czymś. Jako nieuleczalny przypadek miłośnika map, Megan dobrze się przyjrzała planowi Errintu, zanim weszła tego dnia do gry. Teraz porównała miejsce, w którym się obecnie znajdowali z jej mapą w pamięci i chwilę coś analizowała.

- W porządku - wyszeptała wreszcie. - Na lewo od ciebie, jakieś sześćdziesiąt metrów dalej znajduje się brama. Prowadzi do następnego pierścienia. Zostawię cię tutaj. Policz do trzydziestu i idź za mną. Trzymaj się środka ulicy. Nie zatrzymuj się przy bramie, tylko idź dalej.

- Co zamierzasz zrobić? Uśmiechnęła się. I znikła.

Leif patrzył przed siebie zdumiony. Nie skorzystała z magii dostępnej w grze - wtedy w powietrzu pojawiała się charakterystyczna aura, związana z użyciem czarów w bliskiej odległości, a to na pewno by wyczuł. A Megan po prostu w mgnieniu oka znikła z miejsca, w którym powinna się była znajdować. To go trochę zdenerwowało.

Raz, dwa, trzy, liczył w myślach, zastanawiając się jak zwykle, czy jego odliczanie zgadza się z rzeczywistym upływem sekund. Leif wsłuchiwał się w uspione miasto, wsłuchiwał się z całych sił. Gdzieś, wysoko nad jego głową, nietoperz wydał swój tradycyjny dźwięk przypominający pikanie radaru, namierzając prawdopodobnie jakiegoś owada, zwabionego światłami wciąż widocznymi w oknach wież Wysokiego Domu. Wszystko inne pozostawało całkowicie nieruchome.

Pośpieszne kroki... i cisza.

Piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, liczył w myślach Leif, dziewiętnaście, dwadzieścia...

Nagle, gdzieś na otwartej przestrzeni, rozległ się krótki, odległy, zdumiewający wybuch ptasiego trelu. Słowik. Wyśpiewał swoją pieśń do końca, niemal wybijając Leifa z rytmu liczenia. Pośpieszne dreptanie ucichło na moment. I znów je usłyszał.

- ...dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści...

Leif wyszedł na ulicę i spokojnie ruszył w kierunku bramy. Sam jednak nie był zbyt spokojny. W Errincie dozwolone było noszenie broni w wewnętrznych pierścieniach, więc miał ze sobą nóż. Umiał się nim posługiwać na tyle dobrze, żeby poważnie zagrozić potencjalnemu przeciwnikowi. Przeszedł też wystarczający kurs samoobrony, żeby czuć się bezpiecznie w każdym dużym mieście rzeczywistego świata. Ale teraz nie znajdował się w jednym z takich miast, tylko w Sarxos. A tutaj człowiek nigdy nie wiedział, co może na niego wyskoczyć z ciemnego zaułka z bazyliszkiem w rękę, przeciwko któremu wschodnie sztuki walki na niewiele by się zdały.

Leif szedł dalej, walcząc z pokusą, żeby zagwizdać. To by mogło mu poprawić humor, lecz jednocześnie zdradzić jego położenie osobie, która może mieć wzrok tak samo nie przystosowany do ciemności jak on. Szedł więc spacerkiem, tak swobodnie, jak tylko potrafił. Minął cienki promień księżycowej poświaty przy lewej ścianie, ledwie widoczny pomiędzy dwoma wyższymi budynkami ustawionymi przy wschodnim murze. Od bramy, o której wspominała Megan dzieli go mniej więcej dwadzieścia metrów. Bardzo, bardzo dyskretnie Leif sięgnął do dołu i zaczął poluzowywać nóż w uchwycie za paskiem.

Za nim znów rozległo się bardzo delikatne stąpanie.

Nie zatrzymał się, żeby spojrzeć za siebie, chociaż miał na to wielką ochotę. Szedł dalej. W głowie słyszał głos swojej mamy: „Żaden oprych nigdy się za człowiekiem nie skrada. Ktoś taki zawsze ostatnie kroki pokonuje biegiem. Jeśli śledzi cię zawodowiec, to po tobie. Prawdopodobnie już nie żyjesz. Ale jeśli to zwykły opryszek, a ty nie słyszysz tych ostatnich kroków, wciąż dzieli cię od niego lub od niej co najmniej metr. Kiedy usłyszysz te kroki, to znaczy, że oprych jest tuż tuż.

Wtedy działaj i to natychmiast”.

Leif szedł dalej spacerkiem.

Odgłos skradających się kroków. Szybki bieg, krótki postój, znów bieg, przerwa...

Szedł dalej.

Leif zobaczył bramę - majaczący w ciemności łukowaty kształt na ścianie po jego lewej. Przeszedł obok, jak gdyby nigdy nic, nie odwracając nawet głowy, żeby przez nią spojrzeć. Kątem oka widział, że nikogo tam nie ma.

Znów pośpieszne dreptanie.

Kroki. Uderzanie miękkich podeszew o bruk. Dużo bliżej. Leif przełknął ślinę.

Pośpieszne kroki...

...i ktoś rzucający się biegiem...

Leif odwrócił się, gwałtownie wyciągając nóż, i zrobił krok do przodu, gotowy do skoku lub ucieczki.

Jednak nie miał okazji zrobić ani jednego, ani drugiego. Z bramy wystrzelił jakiś ciemny kształt i połączył się z małą ciemną plamą, która go goniła. Leif nie do końca wiedział, co nastąpiło potem, oprócz faktu, iż oba kształty zlepiły się ze sobą... a następnie jeden z nich gwałtownie odleciał od drugiego i z niesamowitą siłą uderzył o ścianę naprzeciwko bramy. Rozległ się wrzask, urwany gwałtownie, kiedy mały kształt uderzył o bruk.

Leif pobiegł w tamtą stronę. Został tam Megan, nawet nie bardzo zdyszana. Stała nad tym mniejszym kształtem z rękami na biodrach i patrzyła w dół z wyrazem twarzy trudnym do rozszyfrowania w ciemnościach. Najbardziej przypominał skupienie.

- Waży prawie tyle co mój brat numer trzy - powiedziała miłym głosem. - Interesujące. No dobrze, Gobbo, podnieś swój tyłek, nie udawaj, że było aż tak źle.

Karzeł nadal leżał na ziemi, jęcząc i zwijając się z bólu. - Nie rób mi krzywdy, nie rób tego!

Megan schyliła się i, chwyciwszy go za przednią część garderoby, podniosła z ziemi i przez chwilę trzymała go w wyciągniętej ręce na wysokości oczu. Oboje z Leifem przyjrzeni się twarzy intruza!. Był to mężczyzna w średnim wieku, o skondensowanych z powodu skarlenia rysach: miał wredną twarz, świadczącą o złych skłonnościach.

- Jestem bardzo ważną osobą, mogę narobić wam kłopotów! - skrzeczał karzeł. - Wypuście mnie!

- Jasne - powiedział Leif - obydwójce trzęsiemy się ze strachu. Czy to było rzucanie karłami? - spytał Megan.

- Bardzo niestosowne zajęcie - powiedziała dość beztruskim tonem. - Ale można się do tego przyzwyczaić.

Twarcz karła wykrzywił grymas przerażenia. - Nie!

- Czemu nas śledzisz? - spytał Leif.

- I to od Minsaru? - dodała Megan. - Odpowiadaj i to szybko - albo przetrzucę cię przez tę ścianę i zobaczymy, za jak ważną osobistość uważa cię prawo ciążenia, kiedy spadniesz na ziemię.

- Dlaczego uważacie, że...? Megan podniosła go trochę wyżej.

- Ręka cię jeszcze nie boli? - spytał Leif. - Mogę cię zastąpić. Ostatnio wyciskam prawie sto pięćdziesiąt kilogramów.

- Nie - odpowiedziała Megan - nie ma potrzeby. Nie będę czekać dużo dłużej. To twoja ostatnia szansa, Gobbo. Widziałam dzisiaj, jak skrzywdzono pewną kobietę i wprawilo mnie to w bardzo zły nastrój oraz pozbawiło cierpliwości do ludzi, którzy nie odpowiadają na uzasadnione pytania. - Zaczęła go podnosić jeszcze wyżej.

Karzeł przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. - Postaw mnie na ziemi - powiedział. - A powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Megan obrzuciła go uważnym spojrzeniem, po czym opuściła na ziemię.

- No dobra - powiedziała. - Mów.

Karzeł zaczął grzebać w swoich kieszeniach. Megan patrzyła na niego jak sokół na swoją ofiarę. Leif zastanawiał się, co też mogą kryć te kieszenie...

- Proszę - powiedział karzeł i podał coś Megan. Zaciekawiona Megan wyciągnęła rękę po przedmiot.

Przysunęła go do oczu i zaczęła obracać w palcach. Wyglądał jak moneta, tylko o gładkich, a nie karbowanych krawędziach. Poza tym nie była wykonana z metalu, tylko z ciemnego minerału z wyrzeźbionym wzorem. Megan podniosła przedmiot do góry w stronę pasma księżycowej poświaty na najbliższej ścianie i spojrzała na niego, a raczej przez niego. Leif też. Zobaczył czerwony połysk, widoczny nawet w srebrzystym świetle. Przedmiot miał kolor krwi, z głęboko wyrzeźbioną literą S.

Megan spojrzała na Leifa z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Interwencja w grze - powiedziała.

- Słucham.

- Zidentyfikuj ten obiekt.

- Obiekt zidentyfikowany jako Pieczęć Twórcy - powiedział komputerowy głos. - Herb Sarxos - pozytywna identyfikacja twórcy gry i właściciela praw autorskich.

Obydwoje spojrzeli zdumieni na karła.

- Tak - powiedział Gobbo zupełnie innym głosem. - Jestem Chris Rodrigues.

Skończyło się na tym, że wrócili do „Wąskiego Zaułka”. Kiedy tam dotarli, lokal już był zamknięty i pusty, nie licząc młodego człowieka, który otwierał i zamykał drzwi. Znów odsunął okienko w drzwiach. - Pokaż mu to, co ci dałem - powiedział karzeł.

Megan podniosła do góry rubinowy krążek, żeby młody chłopak mógł go zobaczyć. Jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Zamknął okienko i otworzył im drzwi.

Kiedy weszli do środka, młody chłopak zaskoczony patrzył na Megan. - Ty?

- Nie, on - powiedziała, wskazując palcem na karła, który tymczasem przestał już być karłem.

Nagle pojawił się przed nimi wysoki mężczyzna w dżinsach, podkoszulku i dość zniszczonych sportowych butach: był dobrze zbudowany, w średnim wieku o rudych niesfornych kręconych włosach i brodzie oraz najsympatyczniejszych brązowych oczach, jakie Megan w życiu widziała. - Posłuchaj - powiedział Rodrigues do młodego człowieka - wiem, że bardzo byś chciał ze mną porozmawiać, ale teraz mam do załatwienia pilną sprawę z tymi ludźmi. Może wrócę w przyszłym tygodniu i wtedy się zobaczymy, dobrze?

- Tak, pewnie, jasne - zgodził się młody chłopak. - Zamknijcie za sobą drzwi wychodząc.

- Nie ma sprawy.

Młodzieniec wyszedł frontowymi drzwiami i zamknął je za sobą.

Chris poczekał chwilę, po czym zaryglował drzwi. Potem poszedł na drugi koniec pomieszczenia i usiadł przy najdalszym stoliku, przy którym Megan i Leif spotkali się z Waylandem.

Leif wciąż wpatrywał się w Rodriguesa, nie wierząc własnym oczom. - To naprawdę ty, co?

- Oczywiście, że tak. Tego nie można podrobić. - Chris lekko popchnął pieczęć leżącą na stole. - Od początku zakładałem, że mogą się zdarzyć sytuacje, w których będę zmuszony udowodnić swoją tożsamość, więc upewniłem się, że istnieje sposób rozpoznawania mnie przez graczy, i że nie można go sfalszować.

Megan pokiwała głową. - Dlaczego nas śledziłeś? - spytała.

- Bo macie coś wspólnego z tymi wykopaniami, prawda? Ona i Leif spojrzeli na Rodriguesa w kompletnym szoku.

- Nie, nie chodzi mi o to, że jesteście w nie zamieszani! - wyjaśnił Rodrigues - Tylko, że kręciliście się ostatnio wokół osób, które są z nimi powiązane... mam rację? A jedna z nich - Ellen. Elblai...

- Tak. Jeszcze wczoraj się z nią widzieliśmy.

- Wiem, widziałem zapisy gry. A wasze rysopisy, które dostałem od siostrzenicy Elblai, okazały się bardzo dokładne. - Rodrigues oparł się plecami o ścianę. - Więc pomyślałem sobie, że się wam przyjrzę - podkreślam, że to było jeszcze, zanim Elblai miała wypadek - i dotarłem za wami aż tutaj. Mam w systemie zainstalowany alarm, który powiadamia mnie, kiedy wchodzicie do gry.

- Muszę ci powiedzieć - odezwał się Leif - że nie robimy tego dla zabawy. Należymy do Zwiadowców... współpracujemy z Zwiadowcy.

- Zwiadowcy, a tak - powiedział Rodrigues i pochylił się nad stołem, mierzwiąc ręką włosy. - Kilku facetów od nich było dziś w grze. Oczywiście, pojawili się tutaj w związku ze sprawą Elblai i cieszą się, że tak się stało. Ale nie bardzo wiem, jak mogą pomóc. Ani któreś z nas.

Sprawiał wrażenie przygnębionego.

- Ktokolwiek to robi... - powiedziała Megan - musi zostawiać za sobą jakieś ślady... naszym zdaniem. To tylko kwestia czasu, kiedy my albo starsi agenci z Zwiadowcy rozwiążą...

Rodrigues podniósł wzrok. - Czas - powiedział. - Ile czasu zostało, zanim ten ktoś wykopie następnego gracza? I to używając przemocy? Pierwsze ataki ograniczały się do niszczenia sprzętu, a i tak były wystarczająco okropne. Ale usiłowanie morderstwa? Nie tego chciałem dla mojej gry.

- Wiemy - powiedział Leif. - My też tego nie chcemy. Dlatego włączyliśmy się do sprawy i zaczęliśmy się tu rozglądać, żeby się przekonać, czy uda się nam wpaść na jakiś ślad.

- Podobnie jak ja - powiedział Rodrigues. - Ale nie spodziewałem się, że wyląduję na ścianie.

- Przepraszam - powiedziała Megan, czerwieniąc się. - Myślałam, że jesteś...

- Małym, paskudnym karłem - powiedział ze szczerym uśmiechem Rodrigues. - Tak. To mój ulubieniec, Gobbo.

- Więc to jest twój charakter? - spytał Leif.

- Jeden z około dwudziestu - odparł Rodrigues. - Niektóre są dość niepozorne... a inne bardzo wyraziste. Dzięki nim mogę pojawiać się w różnych miejscach i kontaktować się z ludźmi na wiele sposobów... żeby się upewnić, że przestrzegają zasad gry. - Uśmiechnął się lekko. - Jedną z zalet bawienia się w Boga. Czy Roda. - Uśmiechnął się nieco ironicznie. - Ale przez ostatnie kilka miesięcy przyjmowałem różne postaci głównie po to, żeby się czegoś dowiedzieć o wykopaniach. Nie chodzi tylko o to, że nie podoba mi się wykorzystywanie mojej gry do takich celów... co zresztą jest prawdą. Ale Sarxos zawsze miało reputację bezpiecznego miejsca, miejsca, gdzie się gra uczciwie... a nie jak w tych jednonocnych operacjach, w których twórca gry zmienia zasady bez ostrzeżenia. Poza tym, to nie jest tylko gra. To operacja prowadzona przez klienta. A swoich klientów należy dobrze traktować. Jeśli się rozniesie, że dzieją się tutaj takie rzeczy. Jeśli zdarzy się jeszcze jeden taki atak, jakiego ofiarą padła Elblai - to gra poniesie olbrzymie straty. Mogą ją nawet zamknąć. Pozostawiam waszej wyobraźni jaki rodzaj prawnych problemów to za sobą pociągnie.

I przede wszystkim, chłopcy w firmie macierzystej nie będą ze mnie zadowoleni.

Leif patrzył dyplomatycznie w stół. - Posłuchajcie - zaczął nieco ostrzejszym tonem Rodrigues. - Ja już jestem milionerem, a nawet multimilionerem, tak bogatym, że nie bawi mnie liczenie pieniędzy, kiedy nie mogę zasnąć. Otrzymałem wielki przywilej: zarabiam na życie, robiąc to, co kocham. Nie wyobrażam sobie nic lepszego. Ale w życiu są rzeczy ważniejsze od przyjemności, a już na pewno od pieniędzy. Jeśli nie będzie innego sposobu, żeby to powstrzymać, sam, do diabła, zlikwiduję grę. Wielu rozczarowanych ludzi to lepsze niż kilku zabitych. A na tym się, moim zdaniem, może skończyć. Chciałbym się mylić, ale z zasady jestem pesymistą - i dlatego tak dobrym twórcą gier.

Westchnął. - W każdym razie, powiedziałem ludziom z Zwiadowcy, że będę współpracował na całej linii. Firma nie zezwoli mi na podanie im bezpośrednio zapisów gry - nudzą coś o prawnie zastrzeżonych danych - ale mogę je odczytywać i przekazywać ich wybrane części. A tak przy okazji, pytali też o wasze.

Megan skinęła głową. - Wiemy. Wysłałam już e-mail, do tej pory powinni go dostać - w którym

sama je podaje.

- W porządku. Ty też? - Spojrzał na Leifa.

- Tak.

- To dobrze.

- A co z twoimi zapisami gry? - spytał nagle Leif. Rodrigues spojrzął na niego. Megan przez chwilę miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Nie rozumiem.

- Ludzie ze Zwiadowcy mogą zasugerować - powiedział Leif bardzo spokojnym, niemal delikatnym tonem - że istnieje możliwość, że ty byłeś zamieszany w te wykopania.

- Dlaczego miałbym zrobić coś takiego? - powiedział Rodrigues patrząc na Leifa zdziwionym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia - odparł Leif. - I osobiście w to nie wierzę. Ale... - Wzruszył ramionami.

- Cóż - powiedział Rodrigues - jeśli o to chodzi, serwer śledzi mnie tak samo jak pozostałych. Chociaż nigdy nie wiadomo, mogłem zwariować i spróbować sabotowania kodu. - Zrobił ironiczną minę. - Serwery podadzą wam, kiedy tu byłem... czyli właściwie przez cały czas, kiedy nie śpię. Jeśli nie usuwam defektów w programie, które wbrew rozpowszechnionej opinii pojawiają się prawie bez przerwy, to sam wędruję po Sarxos, żeby się przekonać, kto jest grzeczny, a kto nie. Na szczęście tej informacji nie można zniekształcić.

Megan i Leif wymienili między sobą spojrzenia. Oboje zastanawiali się, ile szczerości jest w jego słowach. Następnie wrócili do najbardziej palącego problemu. - Wiesz - zaczęła Megan - rozmawialiśmy o tym, jak by można usprawnić nasze poszukiwania. - Przez kilka minut wyjaśniała Chrisowi ich nieco skomplikowany sposób rozumowania. - I tu pojawia się dla nas szansa - powiedziała. - Zapisy.

Leif spojrzął na nią. - Zapisy z serwera - dodała Megan. - Serwer posiada dane na temat każdego kto gra, każdego kto pojawia się w Sarxos. Co ważniejsze, metodą eliminacji dowiemy się, kiedy ktoś nie uczestniczy w grze. A wykopania - ataki przy użyciu siły fizycznej, mające na celu zniszczenie sprzętu oraz jak ten na Elblai, czyli skierowany przeciwko człowiekowi - miały miejsce wtedy, kiedy napastnik nie mógł być w grze. Gdyby się udało przeszukać komputery...

Rodrigues spojrzął na nią zgaszonym wzrokiem. - Zdajesz sobie sprawę - powiedział - ile setek tysięcy, a nawet milionów ludzi może w danym momencie nie uczestniczyć w grze? Będziecie musieli wymyślić jakieś inne kryterium przeszukiwania, żeby zmniejszyć tę liczbę.

- Mamy kilka zestawów takich kryteriów - powiedział Leif. - Szczerze mówiąc, dysponujemy listą sześciu osób, których logi z serwera bardzo by nas interesowały.

- Kim oni są?

- To Orieta, Hunsal, Balk Śruba...

Rodrigues pokręcił głową. - Skąd niektórzy biorą te imiona...

- Rutin, Walse i Lateran.

- Ciekawe - zauważył Rodrigues. - Wszyscy to generałowie albo dowódcy wojenni, prawda?

Dlaczego zainteresowali was właśnie oni?

Leif wyjaśnił mu ich sposób myślenia.

- Cóż - powiedział Rodrigues - nie wydaje mi się, żebyśmy mieli problemy ze sprawdzeniem tej szóstki.

- Znasz dokładne czasy ataków? - spytała Megan.

- O tak, o to się nie martw. - Rodrigues oparł brodę na złączonych rękach. - Interwencja w grze.

- Słucham.

- Tu szef.

- Potwierdzam.

- Wejdź do danych na temat czasu rzeczywistego ataków na wykopanych graczy.

- Plik otwarty. Czekam.

- Wejdź do serwera rejestrującego udział w grze następujących graczy: Hunsal, Rutin, Orieta, Walse, Balk Śruba i Lateran.

- Plik otwarty. Czekam.

- Porównaj.

- Porównuję. Kryterium?

- Znajdź graczy, którzy w czasie ataków znajdowali się poza grą.

Leif i Megan czekali w napięciu.

- Walse poza grą podczas pierwszego ataku. Orieta poza grą podczas piątego ataku. Balk Śruba poza grą podczas siódmego ataku. Pozostali gracze w czasie wszystkich ataków znajdowali się w grze.

Megan i Leif wymienili spojrzenia. Leif się skrzywił. - To nam nic nie dało - liczyłem na coś konkretniejszego. Wszyscy inni grali.

- Tak przynajmniej twierdzi komputer.

- Jakie są szanse, że się myli? - spytał Leif. - Albo, że ktoś manipulował przy oprogramowaniu lub rejestrze?

Rodrigues roześmiał się subtelnie. - Dobrze główkujesz - powiedział - ale chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak ścisłej kontroli podlega nasz system, i jak bezwzględnie pilnujemy do niego dostępu. Komputer sam opracowuje kod. Już nie uczestniczą przy tym żadni ludzie. Komputer jest wystarczająco heurystyczny, żeby sobie z tym poradzić, a poza tym mówimy tu o iluś tam miliardach linii kodowania. Żadna ilość ludzi, małą czy innych naczelną przykuta do klawiatury nie dałaby rady pracować na tyle szybko, żeby spełnić wymagania systemu. Ja po prostu informuję maszynę o tym, czego mi trzeba i ona to robi. Oprócz kilku ludzi z macierzystej spółki, nikt inny nie ma dostępu do kodu, ani do zapisów z serwera. A żaden z nich na pewno nie jest w to zamieszany... rejestr potrzebny jest im tylko do archiwum. Wszystko jest i tak zaszyfrowane, podobnie jak klawisze dostosowane do osobistych potrzeb gracza, i tym podobne.

- Więc to niemożliwe, żeby ktoś przy nich majstrował?

- Nie. Uwierzcie mi - powiedział Rodrigues - Wiele osób, które używają Sarxos, jego kodowania i podstawowej struktury jako łoża testowego dla różnego rodzaju symulacji, niekoniecznie publicznych, jest bardzo zainteresowanych grą. Właśnie z ich powodu mamy tak pilnie strzeżony system bezpieczeństwa.

- Ale jeśli chodzi o tych ludzi, którzy w czasie ataków byli poza grą - powiedziała Megan - to nie można sprawdzić, gdzie wtedy byli.

- Otóż można, do pewnego stopnia-wszedł jej w słowo Rodrigues - ponieważ da się ustalić dzięki rejestrom, jak szybko wrócili do gry. Interwencja w grze.

- Słucham.

- Przyjrzyj się wyodrębnionym rejestrom. Sprawdź, czy któryś z tych graczy był nieobecny w grze dłużej niż... godzinę.

- Walse. Nieobecny przez cztery godziny i trzydzieści minut.

- I wrócił do gry?

- Tak.

- Istnieje tylko jeden problem - powiedział Rodrigues, skupiając wzrok na innej odległości, co pozwalało się domyśleć Megan, że patrzy na jakieś zestawienie, które jest widoczne tylko dla niego. - Pierwszy atak miał miejsce w Austin w Teksasie, a Walse mieszka w Ułan Bator. Nawet lot w bliskiej przestrzeni kosmicznej nie przeniósłby go z Mongolii do Teksasu w cztery godziny. Przede wszystkim nie ma na tej trasie bezpośrednich połączeń lotniczych. Pomyślcie tylko, ile razy musiałby się przesiadać. - Pokręcił głową.. - Nie, odpada.

Oparł się na krzesło i skrzyżował ramiona. - Być może - powiedział - wasz sposób rozumowania jest błędny.

- Mamy tylko to - powiedziała Megan.

- Posłuchajcie, nie próbuję was zniechęcić - powiedział Rodrigues. - Sam nie mam nic lepszego. Usiłowałem analizować te dane na wszystkie sposoby i utknąłem w martwym punkcie. Mam szczerą nadzieję, że wy z Zwiadowcy coś wymyślicie, bo mnie pomysły się już skończyły. Ale powiem wam jedno - kiedy złapiemy winnego, kimkolwiek jest...

- Kiedy - podchwyciła Megan, uśmiechając się lekko. Podobał się jej ten ton całkowitej pewności ...ale czuła też przygnębienie. Wciąż myślała o Elblai.

- Miałeś jakieś nowiny o Elblai - Ellen? - spytała.

- Jest już po operacji - powiedział Rodrigues - ale wciąż nie odzyskała przytomności. Nie przestaję o niej myśleć. - Westchnął. - Ale posłuchajcie. Chcę wam podziękować za to, że próbowaliście pomóc, odszukać winnego. Czy mogę coś dla was zrobić?

Megan potrząsnęła głową. - W tej chwili nie.

Leif powiedział nagle: - Przydałby się nam dodatkowy tranzyt. Ja zużyłem już cały swój zapas.

Rodrigues zachichotał. - Zamierzacie nadal nad tym pracować?

Obydwoje pokiwali głowami.

- Macie otwarte konto, aż do zakończenia sprawy. Interwencja w grze.

- Słucham.

- Tu szef. Dopilnuj, żeby charaktery Rudowłosa Meg i Leif Krzewiasty Czarodziej mieli otwarte konta od teraz, aż do moich dalszych poleceń.

- Potwierdzam.

- Przynajmniej o to nie będziecie się musieli więcej martwić. - Westchnął ze wzrokiem wbitym w oparte o stół rękę i znów podniósł wzrok. - Kocham to miejsce - powiedział. - Szkoda, że go nie widzieliście, kiedy zaczynałem. Mały, szcątkowy, rysunkowy wszechświat wideo. Można było go upchnąć w jednym PC. - Roześmiał się. - A potem wymknął mi się spod kontroli. Światy takie podobno są: wydostają się spod kontroli swoich twórców. Obecnie mam tu jakieś cztery miliony użytkowników... mieszkańców tego świata. Oni naprawdę uważają go za coś wyjątkowego. - Znów subtelny śmiech. - Kilka miesięcy temu dostałem od kogoś e-mail. Pisał w nim, że powinniśmy wystosować petycję do rządu, żeby pozwolili nam zasiedlić Marsa i założyć tam Sarxos. Dostaję wiele korespondencji od ludzi, którzy chcieliby się tu wprowadzić. To znaczy, że to... - stuknął lekko w blat stołu - jest całkiem niezłe. Można tu jeść, pić, spać, walczyć... i robić wiele innych rzeczy. Ale nie można tu zostać. A ludzie zaczęli mówić, że chcą tu zostać... mieszkać tutaj na stałe.

Pokręcił głową. - Nie przewidziałem tylko jednego... że ludzie zaczną przenosić zachowania stąd do świata rzeczywistego. Sarxos nigdy nie był pokojowym miejscem. Nie po to zresztą został stworzony. To gra wojenna! Chociaż od czasu do czasu panuje pokój... i wciąż dziwi mnie fakt, że oni chcą tutaj mieszkać, a nie tylko prowadzić kampanie na wszystkich dostępnych terytoriach i walczyć do upadłego. A teraz... zupełnie jakby do rajy wkradł się wąż. Nie cierpię go. Mam ochotę go rozdeptać.

- My też - powiedziała Megan.

- Wiem i dlatego ta cała rozmowa mogła się odbyć.

- Zamierzamy - zaczął Leif - dalej prowadzić nasze śledztwo... dopóki nie znajdziemy... i nie rozdepczemy węża.

Zróbcie to - powiedział Rodrigues. - Jeśli takiego naduzycia nie wypleni się w zarodku... to zniszczy ono ten świat. A ja nie chcę, żeby tak to się skończyło. - Omiótł spojrzeniem spękane ściany, postrzępiony słomiany dach i zaśmieconą kamienną podłogę. - To wszystko nie może po prostu zniknąć. Ani to, ani łańcuchy górskie z gniazdami bazyliiszków, oceany z podwodnymi potworami, księżycowa poświata... gwiazdy... ludzie, którzy przychodzą grać do mojego świata... nie chcę, żeby zniknął i został schowany do pudełka. Chcę, żeby mnie przeżył. To byłaby prawdziwa nieśmiertelność, taki świat, który istnieje nadal, kiedy jego stwórcy już nie ma albo się ukrywa... - Uśmiechnął się lekko. - Podobnie jak w świecie rzeczywistym.

Rodrigues przyjrzał się bacznie obojgu i powiedział: - Zróbcie wszystko, co tylko możliwe... ale bądźcie ostrożni. Nie odpowiadam za to, co się wam stanie, jeśli się tego podejmiecie... kiedy tu weszliscie, podpisaliście dokument zrzekający się roszczeń.

- Jesteśmy raczej odpowiedzialni - zapewniła go Megan. - Damy sobie radę.

- Dobrze. Więc weźcie to. - Sięgnął do kieszeni i wyjął drugą pieczęć ozdobioną literą S. Tym

razem nie była rubinowa, ale wykonana ze złota, a przynajmniej tak wyglądała. - Skoro zamierzacie działać razem, dostaniecie jedną pieczęć. Jeśli będziecie potrzebować czegoś od systemu - informacji na temat innych graczy, w granicach rozsądku, czy jakichś dodatkowych ułatwień - jesteście Czarodziejem, więc wiesz, o czym mówię - zwracajcie się z tym do systemu, on wam to wszystko zapewni. Dzięki temu macie też połączenie ze mną albo z moim kontem. Możecie mi wysyłać e-maile albo rozmawiać ze mną, jeśli znajduję się w grze.

- Dzięki. To naprawdę...

- Nie dziękujcie mi, to ja powinienem być wam wdzięczny za to, co robicie. Oprócz was, jeszcze kilka osób prowadzi dyskretne śledztwa. Uważam, że im więcej ludzi szuka, tym lepiej. Mimo wszystko, uważajcie na siebie.

- Będziemy ostrożni - zapewnił go Leif. Rodrigues wstał. - No dobrze... w domu, w którym się teraz znajduję, robi się już późno. Muszę się zbierać. Jeszcze raz dziękuję.

Kiwnęli mu głowami. Rodrigues machnął im ręką... i zniknął jak kamfora.

Leif i Megan wymienili spojrzenia. - To nie Lateran - powiedział Leif. - Merde.

- Wracamy do punktu wyjścia... - powiedziała Megan. Wstali i wyszli z „Wąskiego Zaułka” starannie zamykając za sobą drzwi.

Następnego ranka Wayland czekał na nich na placu targowym, spakowany i gotowy do drogi. Na głowie miał coś, co Leif rozpoznał jako tak zwany „kapelusz podróżny” - duże, oklapnięte nakrycie głowy ozdobione oskubanym piórkiem, które upodabniało go do skrzyżowania muszkietera z bezrobotnym średniowiecznym germańskim bożkiem. - Jeszcze nie byłem dzisiaj w Wysokim Domu - oznajmił, wyprowadzając ich z jednego pierścienia do następnego - ale ze znalezieniem Talda - starego majordomusa - nie powinno być większych kłopotów. A on zaprowadzi was prosto do Lorda. Fettick nie jest takim sztywniakiem, jak niektórzy z możliwych panów. W tych stronach nie panują aż tak ceremonialne stosunki. Miejscowej ludności by się to nie spodobało.

- Myślałem, że tu właśnie lubią wszelkie ceremonie - powiedział Leif. - W końcu mają tu Winterfest, kiedy pali się słomianą kukłę i Wiosenne Szaleństwo, kiedy wszyscy muszą pić trzy dni z rzędu.

- Stary Tald pewnie nie bierze w tym udziału - powiedział Wayland, przechodząc przez bramę do następnego pierścienia, po drodze machając na powitanie znajomemu. - Ale jest w porządku, nie będzie robił trudności.

Megan spojrzała na Waylanda, nie bardzo rozumiejąc jego ostatnią uwagę. On jednak skręcał już w kolejną bramę w towarzystwie idącego za nim Leifa. Wzruszyła ramionami i poszła za nimi.

Środkową ścianę stanowiły mury samego starego zamku, wykonane z głazów polodowcowych, pociętych w tak idealnie równe bloki, jakby były wykonane z sera. - Wciąż nie mogę pojąć, jak Antyczni Ludzie to robili - powiedział Wayland, patrząc na mury. - Dziś nie dysponujemy nawet odpowiednimi czarami, żeby czegoś takiego dokonać.

- Mogli użyć laserów - powiedziała Megan, przyglądając się gładkim krawędziom i połyskliwym

powierzchniom, których nikt przecież nie polerował. W duchu myślała z podziwem o kreatywności człowieka, który w całym swoim świecie zatroszczył się o takie szczegóły: nie chodzi tylko o staranne wykonanie, ale o wielowarstwowe tajemnice i łamigłówki - w takim miejscu można było spędzać długie, przyjemne godziny, próbując rozstrzygnąć, czy Rod umieścił tu dany szczegół dla zabawy, czy też pragnął, żeby gracz pogłównkował nad nim i znalazł ukryte znaczenie. Zawsze też istniała możliwość, że ukryte znaczenie nie istnieje. Megan podejrzewała, że Stwórca należy do istot obdarzonych takim poczuciem humoru.

- Nie da się ukryć, że to ładny widok - powiedział Wayland i poprowadził ich do otwartych wrót zamku. Na dziedzińcu przed budynkiem ludzie rozwieszali pranie, korzystając z ciepła promieni słonecznych. Między nimi przechadzał się rumiany, kolorowo odziany mężczyzna i, wymachując energicznie rękami, najwyraźniej wydawał polecenia. Kiedy trójka wędrowców weszła na dziedziniec, mężczyzna natychmiast podbiegł do Waylanda i zagrmiał: - Nie ma pracy, mój dobry kowalu, tu nie znajdziesz już zajęcia!

- Panie Tald - powiedział Wayland - nie ma powodu tak krzyczeć. Ci ludzie przybyli tu w pewnej sprawie!

- W jakiej sprawie?

- Proszę ich samemu spytać - powiedział Wayland.

Leif uklonił się uprzejmie majordomusowi i powiedział: - Sir, pragnęlibyśmy - o ile to możliwe - zobaczyć się z twoim panem, Lordem Fettickiem, w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

- No nie wiem, młody człowieku, on jest dziś bardzo zajęty.

- Myślisz, że wykorzystali magię do budowy? - spytała nagle Megan Waylanda, wskazując na najbliższą ścianę. Wayland odwrócił się, podążając wzrokiem za jej ręką, a wtedy Leif wyjął z kieszeni pieczęć i szybko pokazał ją Taldowi.

Tald wytrzeszczył oczy. - Cóż - powiedział - jeszcze jest wcześnie i do pierwszych umówionych spotkań zostało mu trochę czasu. Pójdźcie za mną - młodzieńcze i młoda damo.

- Trudno powiedzieć - zaczął Wayland, kiedy Leif chował pieczęć - w tamtych czasach...

- Pewnie tak - weszła mu w słowo Megan. - Posłuchaj Wayland, to może trochę potrwać.

- W takim razie poczekam na was na targu - zdecydował - albo i nie. - Machnął im ręką i zniknął za bramą.

Leif posłał Megan pytające spojrzenie, kiedy podążali za majordomusem przez główne wejście do zamku, a następnie krętymi schodami wznoszącymi się wewnątrz centralnej okrągłej wieży. Megan pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

Na piętrze znajdowała się przestronna komnata, podobna do tej w wieży minsarskiej, z tą różnicą, że ze ścian zdjęto na lato wszystkie gobeliny. Przy raczej ciepłej i przyjemnej pogodzie o tej porze roku było to dość rozsądne. Majordomus poprowadził ich na środek komnaty, gdzie stał stół i krzesło, a na nim siedział mężczyzna.

- Lordzie Fettick - powiedział Tald - tych dwoje wędrowców przybyło tu w pilnej sprawie,

niosąc ze sobą pieczęć Roda.

Mężczyzna podniósł wzrok, nieco zdziwiony i wstał, żeby ich powitać ze staroświecką kurtuazją, na którą Leif i Megan odpowiedzieli ukłonami.

- Doprawdy? W takim razie przynieś im wygodne krzesła i zostaw nas.

Tald pośpiesznie przyniósł dwa lekkie plecione krzeselka, które postawił przy drugim końcu stołu i wyszedł. Mężczyzna gestem poprosił ich, żeby usiedli. Leif i Megan zajęli wskazane miejsca.

Megan przyszło do głowy, że nigdy przedtem nie spotkała nikogo, kto z własnej woli nosiłby różowe okulary, biorąc pod uwagę współczesny poziom chirurgii laserowej. Natomiast Fettick rzeczywiście miał je na nosie. Był wysoki, szczupły, o nieco rozkojarzonym wyglądzie, ubrany w gabardynowy strój, przywodzący na myśl czternasty wiek, który zdaniem Megan wyglądał jak połączenie mnisiego habitu ze szlafrokiem. W każdym razie chyba jest wygodny, pomyślała.

Jeśli znajdowali się w sali tronowej Wysokiego Zamku, to nie była ona przesadnie udekorowana. Prawdę mówiąc, tron wyglądał bardziej jak wygodne i miękkie krzesło przysunięte do stołu, z którego prawdopodobnie korzystano przy uroczystych obiadach, teraz natomiast niewątpliwie spełniało rolę miejsca pracy. Piękny, lakierowany hebanowy blat niemal w całości założony był wszelkiego rodzaju dokumentami, zwojami pergaminu i księgami w takim samym kształcie, gęsimi piórami, stalówkami, rylcami i tabliczkami. Zupełnie jakby ktoś wysadził w powietrze starą bibliotekę o eklektycznej zawartości.

- Sir - zaczął Leif - dziękujemy, że znalazł pan czas, żeby nas przyjąć.

- Miło mi was widzieć... byle nie za długo. Mam nadzieję, że mi wybaczą, ale mam bardzo zajęty ranek i raczej mało czasu. - Pokazał ręką swój stół.

- Doskonale to rozumiemy - powiedział Leif. - Sir, czy rozpoznaje pan tę pieczęć? - Pokazał mu złotą monetę, którą dał im Rodrigues.

Fettick utkwiał w herbie dość sceptyczne spojrzenie. - Interwencja w grze - powiedział cicho i wyszeptał coś do komputera. Komputer odpowiedział mu również szeptem. Słyszając wyjaśnienie, uniósł brwi ze zdziwieniem. Znów coś wyszeptał, po czym na głos powiedział: - Czy Wszechmocny Rod rzeczywiście tu był?

- Tak, sir. Widzieliśmy się z nim wczoraj wieczorem. Przesyła pozdrowienia - powiedział Leif i choć nie było to do końca prawdą, pomyślał, że Rod pewnie powiedziałaby coś takiego.

- Czego sobie życzył?

- Chciał porozmawiać z nami w pewnej sprawie, którą się zajmujemy... i w związku z którą przybyliśmy się z tobą zobaczyć, Lordzie - wyjaśnił Leif.

- Sir - powiedziała Megan - twoje siły niedawno zmierzyły się z siłami Króla Argatha z Orxen.

- Tak. - Fettick usiadł na swoim krześle, a na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Niespodziewanie przestał sprawiać wrażenie rozkojarzonego. - Tak. Wygraliśmy, nieprawdaż?

- Zgadza się. Problem polega na tym, sir, że każdemu, kto zmierzył się w walce z Argathem i wygrał, zdaje się grozić - proszę wybaczyć niewybredne określenie - „wykopanie”.

Na chwilę na twarzy Fetticka pojawił się wyraz zaskoczenia. - Określenie rzeczywiście niewybredne - powiedział. I spojrzął na kieszeń, do której Leif schował pieczęć. - Z drugiej strony, macie to... więc chyba możemy poruszyć tu kwestie Świata Zewnętrznego. Chcecie powiedzieć, że kobieta, którą ostatnio wykopano miała... ..miała niebawem walczyć z Argathem. Wygrałaby. Wykopano ją niedługo przed prawdopodobnym początkiem bitwy. Wykopywano też innych - zazwyczaj po bitwie. Teraz jednak wygląda na to, że zdarza się to przed faktem.

- Czy to Argath jest za to odpowiedzialny, czy jeden z jego ludzi albo...

- Nikt tego nie wie. My dostrzegliśmy tylko związek. Dlatego ostrzegamy ludzi, którzy ostatnio walczyli i wygrali z Argathem, żeby wzmocnili swoją ochronę. Tu i wszędzie indziej.

- Niby w jaki sposób? - spytał Fettick.

Megan i Leif spojrzeli po sobie. - Hm - zaczęła Megan.

- Proszę zwracać większą uwagę na wychodzenie z domu i powroty. - Leif wiedział o tym co nieco z powodu związków ojca ze światkiem dyplomatycznym. - Jeśli ma pan ustalone zwyczaje podróży lub poza pracą, niech pan je nieco zmieni. Jeśli ma pan zaplanowane podróże, które nie są absolutnie niezbędne, niech pan je odwoła. Niech pan sprawdzi, czy w miejscu pracy nie pojawiły się jakieś nowe przedmioty, których pan tam nie umieścił lub których pan nie rozpoznaje.

- Mam nie wychodzić z domu? - spytał Fettick. - Po-zasłaniać okna? Zabarykadować drzwi?

Leif spojrzął na niego i doszedł do wniosku, że roztropniej będzie przez chwilę się nie odzywać.

Fettick siedział na swoim fotelu gładząc materię ubrania. - Młody człowieku - powiedział. - Czy wiesz, jak zarabiam... tam na życie?

Leif potrząsnął głową przecząco. Nie zbadał tak dokładnie życiorysu Fetticka.

- Jestem śmieciarzem - powiedział mu Lord Fettick - w Duluth w Minnesocie. I moja praca wymaga ode mnie ścisłego przestrzegania planu dnia, dwa razy w tygodniu na trzech różnych trasach. „Zmiana” trasy zbierania śmieci spotkałaby się z dużym niezadowoleniem ze strony moich przełożonych. - Westchnął. - Tak, wiem, że wykopano tę kobietę. To prawdziwa tragedia. Macie o niej jakieś nowiny?

- Wciąż jest w szpitalu - powiedział Leif - i nadal nie wiadomo, kiedy odzyska przytomność.

- Tak. Cóż - powiedział Fettick - podobno jechała do sklepu, kiedy ktoś zepchnął ją swoim wozem z drogi. Ja codziennie poruszam się w średnio lub bardzo nasilonym ruchu ulicznym, więc jeśli ktoś zechce mnie zabić lub okaleczyć, wierzę, że robi to bez trudu. Tak naprawdę martwi mnie tylko to, że ja mogę ocaleć, a zginie któryś z moich kolegów z pracy. Jeśli dobrze rozumiem, obecnie nic się nie da zrobić, żeby całkowicie rozwiązać ten problem i że ci z nas, którzy są celami, już popełnili czyn, stawiający ich na linii strzału, w związku z czym nie ma sposobu, żeby temu zapobiec.

- Na to wygląda - powiedział Leif.

- Skoro tak - ciągnął Fettick - to mogę albo czekać na atak tej osoby w strachu, próbując ustrzec się przed nie wiadomo czym i nie wiadomo skąd, albo mogę żyć dalej i nie pozwolić się

terroryzować. Tak się zazwyczaj postępuje z terrorystami, prawda?

- Mimo iż z etycznego punktu widzenia jest to chlubna postawa - powiedziała delikatnym głosem Megan - w praktyce w niewielkim stopniu wpływa na nastawienie terrorystów, którzy na to właśnie liczą w przypadku dumnych lub odważnych ludzi. Terrorysty mają paskudny zwyczaj atakowania bez względu na postawę danej osoby.

- Więc niech po mnie przyjdą - powiedział Fettick. - Ja zamierzam nadal wykonywać swoją pracę. Tu i tam.

Wysoki, szczupły mężczyzna podniósł się ze swojego krzesła i wyszedł do nich zza stołu. - Powiem wam coś jeszcze - zaczął. - Mam tego dość. Straciłem dwie noce porządnej gry, na którą przeznaczam wystarczająco dużą część mojej pensji. Ten żaloszny lokaj Argatha - Księżę - i jego irytujący mały karzeł pożerają wzrokiem moją córkę, wyjadają mi przysmaki i wypijają najlepsze wina, próbując mnie przekonać, że małżeństwo mojej córki z nim, to z dynastycznego punktu widzenia świetne rozwiązanie. Wredny, emerytowany potwór. Siedział mi na głowie dwie ostatnie noce próbując mnie zaszantażować. Albo, co gorsza, zastraszyć. Usiłuje mnie nakłonić do zawarcia przymierza, które mnie nie interesuje i przez które przekłeto by mnie od jednego krańca kontynentu do drugiego. Do przymierza z człowiekiem, który nie dalej jak osiem miesięcy temu napadł na mój kraj, napadł na mnie! Najtańszy, najpodlejszy sposób na zabezpieczanie własnych tyłów, jaki znam. A ja muszę tu siedzieć i kadzić mu dla własnego dobra - nie myślcie, że aż tak nie znam się na polityce. Mam po dziurki w nosie tego całego nacisku! Niepotrzebne mi takie życie. Po prostu nie warto tak żyć.

Usiadł z powrotem i odetchnął ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Podejmę środki ostrożności w granicach rozsądku - powiedział. - I nic poza tym. Bez względu na to, kto za tym stoi, nie pozwolę mu przejąć kontroli nad moim życiem. Ale dziękuję wam - dodał - że zadaliście sobie tyle trudu, żeby mnie ostrzec. Domyślam się, że jestem tylko jednym z wielu celów w waszej podróży.

- Tak - powiedziała Megan. - Księżna Morn... Fettick wybuchnął śmiechem. - Zamierzacie przekazać jej tę samą wiadomość co mnie?

- Mniej więcej - odpowiedziała Megan.

- Macie broń?

Leif i Megan spojrzeli na siebie. - A może nam być potrzebna?

- Jeśli macie zamiar powiedzieć jej, żeby zmieniła swój typowy rozkład dnia, to lepiej uformujcie rzymskiego żółwia z tarcz - powiedział Fettick. - Cóż, życzę wam szczęścia, bo wiem, że macie dobre intencje... a jeśli rzeczywiście macie coś wspólnego z poszukiwaniami osoby odpowiedzialnej za wykopania, a myślę, że tak jest, to życzę wam dużo szczęścia. A teraz muszę się zająć swoimi sprawami. Czy na pewno nie zostanieie na śniadaniu?

- Och, nie, sir - powiedział Leif. - Ale bardzo dziękujemy za zaproszenie. Powinniśmy jechać prosto do Księżnej Morn.

- Jesteście pewni, że obejdziecie się bez broni? Leif uśmiechnął się lekko. - Myślę, że damy sobie radę.

Skłonili się Fettickowi na pożegnanie i opuścili pałac.

Przed tranzytem rozejrzeli się po rynku, ale okazało się, że Wayland już wyjechał. Nikt nie potrafił im powiedzieć kiedy. - Mniejsza z tym - powiedział Leif. - Sam się do nas odezwie. Gotowa do tranzytu?

- Tak. Koło tej samej wielkości?

- To samo miejsce geometryczne.

- Jestem gotowa. Zatkaj uszy, mamy do pokonania różnicę wysokości.

Świat zrobił się fosforyzująco czarno-biały i Megan musiała przełknąć dwukrotnie, żeby odetkać uszy. Wreszcie ustalili miejsce lądowania i Megan spojrzała na dół, na krajobraz tak bardzo różny od Errintu jak dzień różni się od nocy. W polu ich widzenia rozciągała się równina, będąca częścią płytkiej, mulistej delty rzeki, o nieregularnym podłożu, usianej sadzawkami i strumyczkami połyskującymi w porannym świetle. Wszędzie rosły trzciny, na których kołysały się czerwonoskrzydłe kosy i wilgi, śpiewając melodyjnie razem z szumem wiatru, lekko chwiejącego trzciniową gęstwiną. Na środku równiny znajdowała się wielka platforma zbudowana na palach zanurzonych w wodzie. Na tej platformie stał duży, drewniany dom z wieżami i wieżyczkami jak w prawdziwym zamku. Prowadziła do niego po podmokłym terenie droga z drewnianych desek, która kończyła się mostem zwodzonym i krętą groblą łączącą most z platformą.

Dwójka wędrowców zaczęła schodzić w dół drewnianą drogą w stronę zamku Księżnej. Kiedy tak szli, Megan zabiła uprzykrzającego się jej komara i zapytała: - Zauważyłeś, jak dziś rano zachowywał się Wayland?

- Co? Nie za bardzo.

- Może mi się wydaje - powiedziała Megan - ale było z nim coś, sama nie wiem... coś nie w porządku. Wydawał się trochę rozkojarzony.

- Ty na pewno w dużym stopniu odwróciłaś jego uwagę. Jak na to wpadłaś?

- Przyszło mi do głowy, że nie wyjdzie nam na dobre, jeśli wszyscy dokoła dowiedzą się o pieczęci - powiedziała Megan. - Po pierwsze, to najprostsza droga do tego, żeby ktoś ją ukradł. A skoro już o tym mowa, pozwól, że teraz ja ją ponoszę.

- Jasne. - Leif oddał jej przedmiot.

- Po drugie... - podjęła wątek Megan - Nie zauważyłeś w jaki sposób odpowiadał na pytania?

- Nie. W jaki?

Megan wzruszyła ramionami. - Chodzi o to, że odpowiadał na moje pytania ogólnikami... sama nie wiem... po prostu czasem były nieadekwatne, do tego, co mówiłam...

- Może ma problemy ze słuchem - powiedział Leif.

- Och, daj spokój.

- Nie, mówię poważnie. Jeśli ma uszkodzony nerw, to prawdopodobnie nawet rzeczywistość wirtualna niewiele na to poradzi. Być może słabo nas słyszy. Widziałem coś takiego u ludzi z aparatami słuchowymi.

- Hm. - Megan myślała nad tym przez chwilę. - A o to przecież nie wypada spytać.

- Na pewno ci się to nie przywidziało?

Megan spojrzała na niego karcąco i zaczęła trzeć powieki. Czowała się trochę nieswojo, prawdopodobnie z powodu tak dużej ilości tranzytu. - Och, nie wiem. Może i tak. Albo był zwyczajnie rozkojarzony. Jak ja w tej chwili. Wszystko jest możliwe. - Westchnęła.

Potem jednak, kiedy szli dalej, Megan przemyślała raz jeszcze rozmowę z Waylandem i doszła do innych wniosków. Nie, to musi być prawda. Coś z nim było nie w porządku. Ten brak koncentracji... pewnie każdy to czasem przeżywa, nawet w Sarxos. Chociaż biorąc pod uwagę, ile ludzie płacą za udział w grze, to można by przypuszczać, że postarają się skoncentrować, żeby nie marnować pieniędzy.

Zastanawiała się nad tym jeszcze trochę, po czym, idąc dalej, szepnęła: - Interwencja w grze.

- Słucham?

- Rozpoznajesz pieczęć swojego szefa?

- Rozpoznano koncesjonowaną pieczęć. Jak mogę pomóc?

- Gracz nazywany Wayland - czy jest prawdziwy czy generowany?

- To znaczy, czy gracz jest człowiekiem?

- Tak.

- Tak, gracz jest człowiekiem.

- Zakończ - powiedziała Megan i schowała pieczęć do kieszeni. - Nie cierpię, kiedy komputer mówi mi nie to, co chcę usłyszeć.

- Widzę, że zauważyły nas strażę na murach - powiedział Leif. - Spójrz na te kusze.

- Kto wie, może to właśnie jest powód, dla którego powinniśmy byli zadbać o uzbrojenie - powiedziała Megan, kiedy dotarli do stróżówek mostu zwodzonego.

- Teraz za późno już, żeby się wycofać - powiedział Leif zdecydowanie zbyt wesołym głosem jak na kogoś, w kogo celowano z tyłu sztuk broni.

- No nie wiem - zaproponowała cicho Megan, kiedy strażnicy zaczęli wysypywać się ze stróżówek i gromadzić na przeciwległym końcu mostu zwodzonego. - Nagle nabrałam ochoty na późne śniadanie.

Kiedy Megan wyszła z Sarxos do swojej osobistej przestrzeni, znalazła w poczcie elektronicznej mnóstwo listów, którymi trzeba było się natychmiast zająć, a ona najzwyczajniej w świecie nie czuła się na siłach, żeby się tego podjąć. Zbyt wiele rozczarowań i przeżyć. Za dużo rzeczy się nie udało.

Mrugając, odłączyła się od przestrzeni wirtualnej, czując obezwładniające zmęczenie... oraz ból, jakby ktoś ją dokładnie obił kijem baseballowym. Stres... Wstając z fotela, spojrzała na zegarek. Piąta szesnaście rano. Och... naprawdę jest już tak późno?

Megan wyszła z gabinetu i skierowała się do kuchni, pojękując przy każdym kroku. Ktoś litościwie zostawił kubek z włożoną torebką herbaty oraz banana na kuchennym blacie. Tata, pomyślała z uśmiechem. Banany dobrze robią nocnym markom, zwykły mawiać. Potas pomaga pracy mózgu. A skoro sam był typowym nocnym markiem, to chyba wiedział, co mówi.

Na szczęście, jej nieobecność podczas „wieczoru rodzinnego” nie pociągnęła za sobą tak poważnych reperkusji, jak obawiała się Megan. Jej ojciec najwyraźniej wyczuł, że dzieje się coś ważnego. Prawdopodobnie porozmawiał na ten temat z mamą Megan i o nic córki nie wypytywał...

co było mile z jego strony i bardzo dla niego typowe. Ale przyjdzie jeszcze czas na pytania. Będzie musiała im wszystko wyjaśnić... i strasznie się tego bała. Wiedziała, że jej ojciec szybko wydedukowałby to, czego nie powiedziała Wintersowi i kazałby jej natychmiast zapomnieć o całej tej sprawie z wykopywaniem i pozwolić, żeby zajęło się nią Zwiadowcy. Gdyby jej tak powiedział, musiałaby się zastosować do jego polecenia. Darzyła go na tyle dużym szacunkiem.

A jednak...

Postawiła czajnik na gazie, obrała banana i usiadła przy kuchennym stole, jedząc go z zamyśloną miną. Już chyba po raz dziesiąty zaczęła analizować trop, którym ona i Leif podążali w tej sprawie. Myślenie przychodziło jej z trudem. Przede wszystkim była zmęczona, a poza tym wciąż prześladował ją wizerunek śmiejącej się z nich do rozpuku Księżnej Morn.

Ona i Leif właściwie nie potrzebowali bronii, żeby się z nią rozmówić. W tej kwestii Fettick zdecydowanie przesadził. Ale lekceważąca pogarda jaką Morn żywiła wobec pomysłu, że ktoś mógłby ją wykopać była bliźniaczo podobna do jego nastawienia. Morn przekroczyła już siedemdziesiątkę, była mała, koścista i czerstwa jak bułeczka, a na dokładkę niezwykle zabawna. Żywiołowa - tak określiła ją w myślach Megan i złapała się na tym, że życzyłaby sobie trzymać taką formę, kiedy sama skończy siedemdziesiąt lat.

„Niech tylko spróbują mnie ruszyć” - tak Morn podchodziła do całej sprawy. Uważała, że zarówno jej komputer, jak i życie są wystarczająco dobrze chronione. A gdyby nawet było inaczej, pomyślała Megan, Morn z jej całkowitą pogardą dla strachu, właściwą osobom, które mają poczucie długiego i spełnionego życia, nie bałaby się powiedzieć „pas”, gdyby w następnym rozdaniu karta jej nie szła.

Kiedy Megan i Leif opuszczali Drewniany Dom w uszach wciąż im dźwięczały rozbawione docinki starej damy, skierowane do tych, którzy ośmielają się wtrącać w jej interesy. Po tej wizycie musieli opuścić Sarxos, ponieważ czekała ich szkoła, a obydwójce byli bardzo wyczerpani, chociaż żadne z nich nie chciało się do tego przyznać przed drugim.

- Miałam długi dzień - powiedziała Megan do Leifa. - Ale być może wpadnę tu później. Zostaw mi pieczęć Chrisa, dobrze?

- Nie ma sprawy - odpowiedział Leif. Oddał jej monetę i znikł, wyglądając tak źle jak Megan się czuła, a na dokładkę sprawiając wrażenie bardziej przybitego.

Pieczęć leżała więc na „biurku” w jej wirtualnym gabinecie. Kiedy zjadła banana, rozległ się przeraźliwy gwizd czajnika i Megan pobiegła czym prędzej do kuchni, żeby go wyłączyć. Znowu pomyślała o pieczęci.

Nie Lateran. Wciąż nie mogła tego pojąć. Coś tu nie pasowało. Ale wewnętrzny Sherlock Holmes szeptał jej do ucha: - Wyeliminuj to, co jest niemożliwe, a to co zostanie będzie prawdą. Albo przynajmniej najbliższe prawdy.

Piąta trzydzieści. Nie mogę uwierzyć, że siedziałam tam całą noc. Ale...

Uniosła brwi, westchnęła sama do siebie, naląła wrzątku do swojego kubka i poszła do małej łazienki przylegającej do kuchni, gdzie zmoczyła zimną wodą mały ręcznik i na chwilę przyłożyła go do zamkniętych oczu. Chłód na twarzy okazał się niewielkim, ale bardzo pożądanym szokiem.

Z ręcznikiem na twarzy Megan przyglądała się bladym światełkom poruszającym się po wewnętrznej stronie jej powiek, produktem ubocznym zmęczonych oczu. Zdjęła ręcznik, wykręciła go

i zostawiła przy zlewie, po czym wróciła do kuchni po herbatę.

Usiadła i małymi łydkami popijając gorący napar znów wróciła myślami do sprawy. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przegapiła coś ważnego w związku z zapisami z serwera. Z drugiej strony, Leif uważał, że wyciągnęli wszelkie możliwe wnioski z dostępnych im informacji, a ona skłonna była zaufać jego wiedzy na tym polu. Musi być coś jeszcze, pomyślała. Coś, co przeoczyliśmy...

Jednak cichutki głosik wciąż kazał jej wracać do zapisów z serwera i nie chciał zamilknąć. Miesza mi się już w głowie ze zmęczenia, uznała Megan po jakimś czasie, popijając herbatę i znów parząc się w język. Zachowuję się jak szczur biegający w tę i z powrotem po labiryncie, w którym nie ma sera. Podobne zachowanie bawiło ją zawsze u jej matki, kiedy ta nie mogła znaleźć kluczy i szukając ich sprawdzała kilka razy to samo miejsce, wiedząc doskonale, że ich tam nie ma. Nie jestem lepsza od niej.

Megan piła stygnącą wolno herbatę i myślała dalej. Czuję się taka brudna. Co ja dzisiaj założę do szkoły? Od paru dni nie sprawdzałam stanu swojej garderoby.

Przekląła cicho, wstała i poszła z powrotem do gabinetu. Podeszła prosto do biurka i odsunęła na bok kolejny stos książek. Przewodnik Baedekera po Londynie w roku 1875? „Grzyby Świata”? „Smak Wschodu”? Co, teraz chce podróżować w czasie w poszukiwaniu curry? Przyprawionej pewnie grzybami. Usiadła w fotelu i podłączyła się do implantu.

Przed jej oczami pojawiła się żółto-brunatna przestrzeń Rhei, pokryta tu i ówdzie świeżym niebieskawym śniegiem, który wiatr przywiał z jednej z okolicznych metanowych otworów termicznych. Nad jej głową widniał Saturn, złoty i niedostępny w zimnej czerni nieba, niczym nie odczytana wiadomość. Cały ten e-mail... pomyślała Megan. - Komputer? Poproszę krzesło. - Pojawiło się krzesło. - Pokaż mi, co przyszło.

Pojawiły się ikony około piętnastu wiadomości, niektóre nieruchome, inne wolno kręcące się wokół własnej osi, a jeszcze inne wibrowały w powietrzu wskazując na to, iż są pilne. Większość z nich była pilna, chociaż czytając je, Megan po raz kolejny doszła do wniosku, że definicja pilności pewnych osób nie zawsze pokrywa się z jej własną. Dwie kolejne informacje od Carrie Henderson, której bardzo, ale to bardzo zależało na tym, żeby Megan zrobiła coś, czego nie chciało się jej nawet doczytać. Następna niepotrzebna notka na temat egzaminów. Ktoś sprzedający prenumeratę nowego wirtualnego serwisu informacyjnego, nagranie demo, które zaczęło hałaśliwe odtwarzanie w rogu jej przestrzeni, ukazując zadymiony teren, pocięty promieniami laserów i obrazami walki w jakimś ciemnym zakątku Afryki. Żałowała, że nie może przyłożyć młotkiem nadawcy tego e-maila. Nie mogąc zrobić nic innego, poleciła komputerowi wyłączyć demo i wróciła do sortowania poczty, ikona po ikonie.

Kilka nieudanych prób rozmowy na żywo... Cóż, z zasady nie łączyła się z grupami dyskusyjnymi, kiedy była w Sarxos. J. Simpson? A to kto? Potrząsnęła głową. Czasami kontaktował się z nią ktoś, kogo nigdy nie widziała ani nie słyszała. Pewnie był to człowiek, kto napotkał ją w grze i pragnął kontynuować znajomość. Otworzyła wiadomości, ale nie zawierały nic oprócz charakterystycznych fraz typu „błędna wiadomość, nieudane połączenie”. Trudno, pomyślała Megan. Jak mawiała jej mama: jeśli to ważne to oddzwonią, jeśli nieważne też oddzwonią.

Może ten ktoś zostawił dla mnie jakiś e-mail w Sarxos, pomyślała Megan. - Komputer? Załoguj się do Sarxos.

- Zaczynam.

Jej własna przestrzeń nie znikła, tylko zbladła, kiedy przed oczami pojawiły się jej jak zwykle płonące logo i informacje o prawach autorskich oraz wyniki i dokładny czas poprzedniego wejścia do gry. - Rozpocząć od ostatniego punktu wyjścia? - spytał komputer. - Czy zacząć nowy etap gry?

- Inna możliwość.

- Proszę podać inną możliwość.

- Rozpoznasz ten przedmiot? - Wzięła do ręki złoty herb od Rodriguesa i zaczęła go podrzucać do góry.

- Rozpoznano koncesjonowaną pieczęć. Jak mogę pomóc?

Z powrotem na tej samej ścieżce, pomyślała przygnębiona Megan. - Zidentyfikuj próby połączenia się z moim kontem w celu rozmowy na żywo od osiemnastej trzydzieści wczoraj wieczorem do dzisiaj do piątej piętnaście.

Nastała chwila ciszy. - Żadnych połączeń z Sarxos.

Dobrze. - J. Simpson. Potrząsnęła głową. - Jakiś e-mail?

- Żadnego e-maila.

Więc Wayland nie dowiedział się niczego nowego. - Chcę mieć dostęp do zapisów z serwera - powiedziała Megan.

- Dostęp zapewniony dzięki twojej pieczęci. Czyje zapisy chcesz zobaczyć?

- Graczy Rutina, Walse'a, Hunsala, Orieta, Balka Śruby i Laterana.

- Określ metodę. Audio? Tekst? Grafika?

- Poproszę wersję graficzną - powiedziała Megan. Czuła, że jej oczy nie zniosłyby w tej chwili zbyt wiele tekstu do czytania.

- Jaki przedział czasowy?

- Ostatnie... - Megan machnęła ręką niedbale - ...cztery miesiące.

- Zaczynam.

Przed oczami Megan pojawiło się sześć diagramów, przypominających długofalowe wykresy giełdowego wskaźnika Dow Jones z ostatniego kwartału. Każda pionowa linia przedstawiała okresy dwudziestoczworgodzinne. Od niej w postaci jasnych pionowych kresek odchodziła ciemniejsza linia, przedstawiająca ilość godzin spędzonych przez daną osobę w Sarxos.

Tych sześciu graczy poważnie podchodziło do sprawy. Każdy z nich grał co najmniej cztery godziny na dobę przez całe cztery miesiące. Niektórzy spędzali na graniu sześć, osiem godzin i to regularnie. Dłuższe sesje zdarzały im się zazwyczaj w weekendy albo w okolicach świąt, kiedy potrafili nie wychodzić z Sarxos przez czternaście godzin, a nawet dłużej. Ciekawi mnie, jakie mają programy masujące, pomyślała Megan, rozciągając obolałe członki. Rany, i ja uważałam się za poważnego gracza. Ci ludzie mają obsesję na punkcie Sarxos.

Dla zabawy powiedziała do komputera: - Wyświetl taki sam wykres logów z serwera dla Rudowłosej Meg.

Wykres pojawił się przed nią. Uśmiechnęła się smutno. W ciągu ostatnich dni jej wizyty w grze, chociaż nieregularne, stały się prawie tak obsesyjne jak pozostałej szóstki. Tata palnie mi niezłe kazanie, pomyślała. A jeśli chodzi o mamę... tu nawet nie chciała się zagłębiać.

- Wyświetl taki sam wykres dla Leifa Krzewiastego Czarodzieja - powiedziała Megan. Pod jej wykresem pojawił się drugi. Jego frekwencja w grze w ciągu kilku ostatnich dni w dużym stopniu przypominała jej własną. On też jest nie lepszy ode mnie.

Znów poczuła się jak szczur w labiryncie, w którym nie ma sera. Skrzywiła się i powiedziała: - Pokaż wykres logów z serwera dla Laterana.

Wykres pojawił się. Lateran był taki sam jak pozostali. A nawet gorszy. Kolejny szalenciec, który bez przerwy wchodzi do gry i wychodzi z niej. - Wyświetl frekwencję Argatha.

O dziwo Argath przebywał w Sarxos rzadziej, niż Megan podejrzewała. Jego udział w grze w ciągu ostatnich miesięcy bardziej przypominał jej zwyczaje, chociaż wizyty nasilały się w ostatnich dniach. Nie wyglądało to całkiem normalnie... ale z drugiej strony, jak wygląda normalny wykres frekwencji gracza Sarxos? Czy w ogóle istnieje? Raczej nie.

Megan uniosła brwi, kiedy się nad tym zastanawiała i powiedziała: - Wyświetl wykres frekwencji, powiedzmy... Waylanda.

Wykres Waylanda pojawił się pod wykresem Argatha. Megan popijała herbatę, którą „zabrała” do wirtualnej rzeczywistości i raczej nieprzytomnym wzrokiem przyglądała się wszystkim wykresom świecącym przed jej oczami. Powinam powtórzyć ten trik z mokrym ręcznikiem, pomyślała, mrugając.

Ponownie przyjrzała się wykresom, tym razem bardzo dokładnie.

Wykresy Laterana i Waylanda były bardzo do siebie podobne. W obydwu dała się zauważyć spora przewaga czasu spędzonego w grze niż poza nią. Wykres Laterana zdziwił Megan jeszcze bardziej, kiedy dokładniej przyjrzała się dwudziestoczworgodzinny okresom i zdała sobie sprawę, jak duża ich część jest poświęcona grze. Większość. Bardzo dużo. A gdy porównało się koniec jednego dnia z początkiem następnego - to często, wizyty w Sarxos stykały się ze sobą. No cóż, północ, godzina szczytu w grze.

Ale to nie wyjaśniało sprawy do końca. Sesje dwunastogodzinne. Czasem czternasto- albo szesnastogodzinne. Wzorzec się powtarzał, nieznacznie, ale regularnie przez okres badanych czterech miesięcy. Sześć godzin w grze, dwadzieścia minut poza nią. Osiem godzin w grze, jedna poza nią. Dwie godziny w grze, jedna poza nią. Pięć godzin w...

Wzorzec się zdecydowanie powtarzał. A czasy Laterana wskazywały na coś więcej niż obsesję. Były wręcz patologiczne. Kiedy on sypia, zastanawiała się Megan. A co ważniejsze, kiedy pracuje? Nawet jeśli pracuje w domu, to przy takim planie dnia miałby trudności z utrzymaniem posady.

- Komputer.

- Słucham.

- Profil użytkownika o nazwie Lateran.

- Twoja koncesjonowana pieczęć nie zezwala na taki dostęp. Proszę skonsultować się w tej sprawie z Chrisem Rodriguesem.

- Która jest godzina u Chrisa?

- Druga czterdzieści dwie w nocy.

Mieszka gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu. Nie mogę go obudzić kwadrans przed trzecią w nocy. Chyba że...

- Czy Chris w tej chwili gra?

- Nie.

Muszę poczekać. Znowu spojrzała na rejestr Laterana. Jeśli ten człowiek ma jakąś pracę, to musi ją wykonywać w domu. A nawet wtedy, tylko na pół etatu... przy tak wysokiej frekwencji. A to nie jest dziecko. Ze względu na stopień przemocy, dopuszczalna granica wieku w Sarxos wynosiła szesnaście lat. Więc Lateran albo chodzi do szkoły, albo ma taką pracę... Potrząsnęła głową. Jego wizyty w grze wyglądały wręcz nierealnie.

Nagle wzrok Megan padł na wykres użytkownika należący do Waylanda. Rzeczywiście bardzo przypomina wykres Laterana. Sześć godzin w grze, dwie poza grą... osiem godzin w grze, dwie poza... siedem w grze... Potem wzorzec się powtarzał przez cały czteromiesięczny okres. Nie są do końca zsynchronizowani. Nie identyczni, ale... Potrząsnęła głową.

Wciąż nie dawał jej spokoju sposób, w jaki Wayland zachowywał się tego ranka. Poczwała, że budzi się w niej pewne podejrzenie. To przecież niemożliwe, ponieważ rejestry Waylanda i Laterana wskazywały na to, że często obaj przebywali w Sarxos w tym samym czasie... a nie można jednocześnie grać dwóch postaci.

A jeśli można?

- Komputer - odezwała się Megan.

- Słucham.

- Maksymalna liczba charakterów grana przez jednego użytkownika Sarxos?

- Trzydzieści dwa.

- Kto to?

- Ta informacja nie jest dostępna dla pieczęci, którą obecnie dysponujesz. Proszę skonsultuj się z Chrisem Rodriguesem w celu uzyskania dokładniejszych informacji.

- Wejdź do danych na temat Laterana.

- Plik otwarty. Czekam.

- Ile jeszcze postaci gra człowiek, używający imienia Lateran?

- Pięć.

- Czy jedna z nich to „Wayland”?

Po chwili ciszy komputer odpowiedział: - Tak.

Słyszając potwierdzenie, Megan poczuła jak zalewa ją fala gorąca. - Posłuchaj - zaczęła, zdając sobie sprawę z liczby przerażających możliwości. Teraz jej zadanie polegało na wyeliminowaniu fałszywych scenariuszy. - Czy dzięki tej pieczęci mogę wejść do pliku Chrisa Rodriguesa dotyczącego udanych i nieudanych wykopań graczy Sarxos?

- Dostęp jest możliwy.

- Wejdź proszę do tego pliku i czekaj.
- Wykonałem.
- Porównaj czasy wykopań na wykresie. Zaznacz każdy gwiazdką.

Komputer wykonał polecenie. Każda jasna gwiazdka oznaczająca czas wykopania została nałożona na ciemny przezroczysty wykres odpowiadający znajdującym się powyżej wykresom.

- Nałóż wykresy Laterana i Waylanda na wykres wykopań.

Komputer posłusznie wykonał zadanie. Wszystkie wykopania, łącznie z atakiem na Elblai przypadały na czas, kiedy zarówno Wayland, jak i Lateran znajdowali się w grze.

Przecież to niemożliwe, pomyślała Megan przerażona i podekscytowana zarazem. To niemożliwe. Obydwa rejestry nie mogą być prawdziwe. Te dwa charaktery nie mogły być w grze jednocześnie. Lecz jeśli jeden z nich był...

- Komputer!
- Słucham.
- Czy możliwe jest, żeby jeden gracz posługiwał się dwoma postaciami podczas jednego wejścia do gry?
- Tylko naprzemiennie. Symultaniczna gra wielu postaci jednego gracza została zakazana przez twórcę gry i jest nielegalna w systemie.

Te dwie postaci to jeden i ten sam gracz. Obydwie znajdowały się w grze w tym samym czasie. A to niemożliwe. Komputer tego nie zauważył, ponieważ nie wyszkolono go do tego. Ktoś wynalazł sposób oszukiwania systemu.

- To jest zbyt ważne - wyszeptała. - Komputer, muszę natychmiast skontaktować się z Chrisem Rodriguesem. To bardzo pilne.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie komputer poinformował ją: - Strona Chrisa jest nieaktywna. Proszę spróbować później.

- To sytuacja kryzysowa - powiedziała Megan. - Nie rozumiesz, czy co?

System rozumie pojęcie „sytuacja kryzysowa” - odpowiedział komputer - ale typ twojej pieczęci nie upoważnia go do skontaktowania się z Chrisem Rodriguesem o tej porze. Proszę spróbuj ponownie później.

To on, pomyślała. To wykopywacz. To on. A niech to wszyscy diabli...!

Czy chcesz zostawić wiadomość dla Chrisa Rodriguesa?

Megan otworzyła usta i zamknęła je, ponieważ do głowy przyszła jej nowa myśl. - Nie - powiedziała.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Megan siedziała patrząc na wszystkie wykresy. - Pokaż mi inne zapisy z serwera - poleciła komputerowi. - Z tego samego okresu, dla wszystkich pozostałych postaci granych przez człowieka, nazywanego Wayland i Lateran.

- Zaczynam. - Pojawiły się kolejne wykresy. Pierwszy i trzeci ściśle odpowiadały wzorcowi Waylanda i Laterana. Istniały między nimi niewielkie niezgodności w czasie i wzorce były nieco bardziej zróżnicowane, ale i tym razem postaci spędzały za dużo czasu w systemie, żeby to było wykonalne i ten sam wzorzec powtarzał się cyklicznie przez cztery miesiące. Są sztuczne, pomyślała Megan. To nie ulega wątpliwości.

Środkowy diagram użytkownika wyglądał bardziej realnie. Trzy godziny w grze, dwadzieścia godzin poza nią. Cztery godziny w grze, trzydzieści pięć godzin poza grą... nieco skromniejszy wzór użytkownika. Nie dyl, ale też nie zwariowany na punkcie Sarxos.

Megan dała oczom chwilę wytchnienia, co było dobrym sposobem upewnienia się, że nie ma przywidzeń. Podobieństwo wszystkich wykresów było zbyt duże jak na zwykły zbieg okoliczności.

- Zachowaj obraz - powiedziała Megan.
- Nazwa pliku?
- Megan i Leif Jeden. Czy mogę skopiować ten obraz do poczty elektronicznej?
- Tak.
- Skopiuj dla gracza Leifa Krzewiastego Czarodzieja.
- Zrobione. Czekam na odebranie.
- Wyślij mu to też poza systemem.
- Wiadomość wysłana do Sieci na numer lokalny 05 54. Co teraz?

Megan przełknęła ślinę - dwa razy. Miała sucho w ustach. Lateran. Mieliśmy rację. Wiem, że tak jest. Młody, pnący się po szczeblach kariery generał... Uśmiechnęła się ponuro. Niezły analityk. A do tego niebezpieczny, sądząc z jego poczynań. Każdy, kto potrafi znaleźć sposób na wmówienie systemowi rzeczywistości wirtualnej, że się w niej znajduje, kiedy go tam tak naprawdę nie ma...

A co ważniejsze, pomyślała Megan, po co wykorzystywać taką technologię akurat tutaj? To przecież tylko gra. To prawda, istnieli ludzie, którzy traktowali zdarzenia z Sarxos ze śmiertelną powagą i spędzali w nim każdą wolną chwilę, mieszkali w nim, jedli i pili i, jak twierdził Chris, chcieli się tu wprowadzić na stałe, ale... Megan potrząsnęła głową. Tu mamy do czynienia z kimś, kto jest gotowy użyć, czy też opracować technologię mającą na celu tylko i wyłącznie wykorzystanie podstawowej zasady obecności w rzeczywistości wirtualnej.

Do tej pory była święcie przekonana, że „odcisku palca”, który zostawiało się w Sieci dzięki obecności implantu, nie można usunąć ani podrobić. Była to jedna z banalnych prawd, na których zasadzało się bezpieczeństwo korzystania z Sieci: twój implant mówi kim jesteś, gdzie jesteś i kiedy tam jesteś. Implant podłączony do ciała autoryzował twoje działania w Sieci i to nie podlegało dyskusji. A tu ktoś - Wayland? Lateran? Kimkolwiek był ten człowiek, znalazł sposób bycia tam pod własną nieobecność. A wtedy ciałem znajdował się gdzie indziej i czym innym się zajmował. Włamywał się komuś do domu i niszczył mu komputer... taranował samochód starszej kobiety i spychał ją z drogi na słup.

Co by było dalej?

A wszystko z powodu gry.

Lecz czy na pewno? Bo implikacje korzystania z takiej technologii są przerażające.

Megan zadrżała, znów przełknęła, czując, że w ustach ma nadal sucho. Ciągle nie mam dowodów.

To wszystko poszlaki. Ale dobre poszlaki i wzbudzą wiele pytań.

Co dalej?

Powiedziała do komputera: - Zachowaj wykresy... usuń je z mojego miejsca pracy. Poślij kopię Jamesowi Wintersowi w Zwiadowcy.

- Wykonałem.

Megan zapatrzyła się na Saturna za oknem.

Oczywiście się dowie. Powiedzieliśmy mu prosto w oczy, jakie prowadzimy śledztwo i jakie mamy podejrzenia. Nawet o Lateranie. Wie, że jesteśmy na jego tropie. To nie o Fetticka i Morna powinniśmy się niepokoić tylko o nas samych. A przecież nietrudno nas znaleźć, pomyślała Megan. Nasze plany dnia są dość regularne. Adresy ogólnie dostępne. Uśmiechnęła się smutno.

Muszę się natychmiast skontaktować z Wintersem.

I zamarła.

Wyobraziła sobie, jak Wayland, Lateran, a raczej ten, kto się krył za tymi postaciami - przychodzi tu, żeby ją dopaść. Albo Leifa. Zdobycie ich adresów i telefonów oraz wszelkiego rodzaju danych personalnych w Sieci nie stanowiło najmniejszego problemu. A z drugiej strony...

Czym się tak przejmuję? Megan poczuła, że nie jest jej już tak sucho w ustach. Mam tu regulaminową ilość broni i wiem jak jej użyć. Niech tylko ktoś mnie zaczepi na ulicy. Uśmiechnęła się złowieszczo. Nie, myślę, że akurat tę sprawę chcielibyśmy podać Wintersowi na tacy.

Ale nie możemy tego zrobić. Musimy działać zgodnie z regulaminem. Tylko, że to przecież nie znaczy, że mam tu czekać z założonymi rękami, aż Wayland po mnie przyjdzie...

Jeszcze raz przyjrzała się uważnie próbom połączenia się z nią na żywo. J. Simpson, pomyślała. Gdzie pan jest, panie J. Simpson?

- Komputer Sarxos - powiedziała Megan. - Dziękuję. Wylogowuję się.

- Nie ma za co, Rudowłosa Meg. Życzę miłego dnia. - Pojawiła się informacja z prawami autorskimi i znikła w karmazynowym błysku.

- Komputer - powiedziała Megan. - Wejdź do adresu poczty elektronicznej J. Simpsona. Otwórz nowy list...

I uśmiechnęła się do siebie.

Leif znalazł się w swojej drewnianej chacie i usiadł na nowoczesnej sofie w stylu skandynawskim, trąc oczy.

- Poczta? - spytał swój komputer.

- Całe tony, mój panie i władco. Jak chcesz ją przejrzeć? Najpierw ważne listy? Nudne? W kolejności otrzymywania?

- Tak, tym ostatnim sposobem - powiedział Leif i znów potarł oczy. Czuł się śmiertelnie zmęczony.

Myślał, że będzie spał jak kłoda (cokolwiek to znaczy) po wyjściu z Sarxos poprzedniej nocy. Ale zamiast natychmiast zapaść w sen, przewracał się w łóżku, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Coś go męczyło, coś czego nie potrafił do końca uchwycić, coś co przeoczył.

Nie Lateran. Niech to wszyscy diabli. Nie mógł się oswoić z tą nowiną. I cały czas myślał o Waylandzie. O tym, co powiedziała mu Megan. Że coś było z nim nie w porządku...

Komputer odtwarzał właśnie e-mail od jego matki, która chciała, żeby wziął udział w jakiejś imprezie. - Posłuchaj - powiedział do swojej maszyny - zatrzymaj to wszystko na moment.

Leif wrócił myślami do innych spotkań z Waylandem, łącznie z pierwszym z nich. Ten człowiek wydawał mu się wtedy nieco ekscentryczny... ale w Sarxos czasem spotykało się takie postaci. Ale im więcej Leif analizował ich rozmowy, tym prawdziwsze stawały się zarzuty Megan. A gracz mógł wracać do swoich zdarzeń z przeszłości, jeśli tylko pamiętał, żeby je zachować.

Leif uśmiechnął się ponuro. Chomikowanie miał w naturze i archiwizował wszystko, do tego stopnia, że jego ojciec zaczął narzekać, że nie starcza mu pamięci komputera na sprawy służbowe. - Posłuchaj - powiedział Leif - wejdź do moich archiwów Sarxos.

- Ich maszyna działa w trybie bezpośrednim, szefie - odpowiedział jego osobisty komputer - i mówi o tobie takie rzeczy, których nie chciałbym powtarzać. Zużywasz tyle miejsca!

- Tak, i płacę za to. Mniejsza z tym. Posłuchaj, chcę, żebyś odtworzył mi wszystkie rozmowy, które przeprowadziłem z postacią o imieniu Wayland.

- Proszę bardzo.

Leif zaczął słuchać. Przy trzeciej rozmowie zaczął już dostrzegać powtarzające się wyrażenia. Nie tylko dlatego, że brzmiały znajomo, lecz również dlatego, że wypowiedano je za każdym razem z identyczną intonacją. Poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Kolejna fraza: „A to ciekawe” którą powtórzył kilka miesięcy później. „A to ciekawe”. Ta sama intonacja. I trzeci raz: idealnie - ten sam czas co do sekundy.

Ale potem... odtworzył rozmowę, którą przeprowadzili z Megan i Waylandem. „A to ciekawe”.

Inna intonacja. Bardziej rozbawiona... i zdecydowanie bardziej ludzka.

Przełknął ślinę i popatrzył na coś wibrującego w powietrzu. Jakiś e-mail... z adresem Megan.

- Do diabła. Otwórz to! - powiedział do komputera. Komputer spełnił jego polecenie i przed oczami Leifa pojawiły się wykresy. Logi z serwera różnych ludzi sporządzone zgodnie z czasem użytkowania. To były...

Otworzył usta ze zdziwienia patrząc na ostatnie daty logowania na końcu zestawienia: dwa wykresy nałożone na siebie, a na nich gwiazdki oznaczające czas wykopań w ciągu ostatnich

miesiący.

Leif poczuł, że coś ściska go w gardle. Nawet nie był w stanie przekląć. Nie miał słów na określenie tego, co zobaczył.

Mieliśmy rację. To Lateran.

A Lateran to zarazem Wayland. A Wayland jest w jakiś sposób sztucznie generowany. Słuchaliśmy wcześniej zaprogramowanych fraz...

Oprócz wczorajszego wieczoru. To bardzo interesujące... i uśmiech Waylanda.

Gdzie jest Megan?!

Nie znał kodu jej poczty głosowej. Nigdy z niej nie korzystali; zawsze kontaktowali się przez Sieć.

- Komputer! Połącz mnie z Megan na żywo.

- Nie ma jej, szefie.

- Zaloguj się do Sarxos i sprawdź, czy jej tam nie ma. Sekundy dłużyły mu się niemiłosiernie, podczas gdy maszyna wchodziła do gry i odtwarzała logo oraz informacje o prawach autorskich. Po chwili usłyszał: - Nie ma jej tam.

Nie mógł się też dowiedzieć, kiedy była tam po raz ostatni, ponieważ to ona miała pieczęć.

Ciężar gatunkowy informacji przed jego oczami, tych samych, którymi i ona dysponuje, wspomnienie ich wczorajszego spotkania z Waylandem, fakt, iż on już wiedział, że oni są w posiadaniu tych informacji oraz fakt, iż Leif nie mógł jej zlokalizować, to wszystko ułożyło się nagle w logiczną całość i Leif wiedział, co się stało, lub jeśli ma szczęście, co właśnie się dzieje.

Zaczął kląć po rosyjsku najpierw na Megan, a potem Waylanda, krzycząc takie wyrazy, od których jego mama natychmiast by zemdląca. Czuł się zupełnie bezradny w wirtualnej postaci, kiedy rozpaczliwie pragnął być cielesny. Nie istniał sposób, żeby znalazł się natychmiast w Waszyngtonie, ponieważ tkwił w Nowym Jorku.

Leif wrzasnął do komputera: - James Winters! Alarm Zwiadowcy! Natychmiastowe połączenie!

Odpowiedział mu nieco zaspany głos: - Winters.

Leif nabrał w płuca powietrza i krzyknął: - Pomocy!

Wysłała e-mail i czekała... żadnej odpowiedzi. Każda rozsądna osoba o siódmej rano wciąż śpi, pomyślała. No pewnie.

Wreszcie Megan zrezygnowała z czekania. Robiło się późno. Poszła na piętro, wzięła prysznic i ubrała się, starając się nie hałasować, ponieważ jej tata najwyraźniej siedział do późna w nocy w jakimś innym pokoju niż gabinet. A mama, co się często zdarzało, pewnie już wyszła. Bracia nie zostali wczoraj na noc -jeden miał obchód w szpitalu wcześniej rano, a drugi narzekał na zbliżający się egzamin z budownictwa. Obydwaj wyszli od razu po kolacji.

Zeszła na dół, pomyślała o kolejnej filiżance herbaty, ale zrezygnowała. Tego dnia w szkole nie ma nic ważnego... ale to nie powód, żeby nie iść. Prace domowe ma odrobione. Przenośny komputer jest naładowany, dyskiety z podręcznikami w torbie. A przed domem trąbił autobus, który dowoził ją do szkoły.

Megan złapała torbę, przenośny komputer, wrzuciła do kieszeni kartę magnetyczną do zamka, zatrzasnęła za sobą drzwi wyjściowe, sprawdziła, czy mechanizm zadziałał, odwróciła się.

I zobaczyła go przed sobą, z jakimś czarnym przedmiotem w wyciągniętej ręce.

Uratował ją tylko refleks. Kiedy chciał się na nią rzucić, zdołała odskoczyć w bok i rzucić w niego torbę, przez co zrobił mały krok do tyłu. Megan po stłumionym syku i skwierczeniu poznała paralizator bioelektryczny. Wystarczy jedno dotknięcie, a jej bioelektryczność na chwilę zwariuje, co może spowodować krótkie omdlenie. Przedmiot miał zasięg rzędu stu dwudziestu centymetrów. Megan rzuciła się na ziemię i turlając się zerwała się na nogi i uciekła od napastnika na drugi koniec trawnika przed domem, zdecydowana trzymać go na jak największy dystans. Znow się na nią rzucił i znow Megan musiała się cofać, chociaż bardzo jej to działało na nerwy.

Była przerażona, ale jednocześnie koncentrowała się na utrzymaniu napastnika na dystans. Nie pozwól mu podejść, trzymaj się poza zasięgiem. A na to wszystko nakładał się jeszcze wręcz flegmatyczny komentarz w jego głosie. Słyszałam klakson, gdzie jest mój transport, to nie ten samochód, ta sama marka, może nawet ten sam rok produkcji, jak mu się udało...?

Od kiedy podejrzewał, że są z Leifem na jego tropie? Jak dokładnie ich obserwował? Leif, pomyślała, dlaczego ja nie...!

Mężczyzna ponownie ją zaatakował, nie mówiąc przy tym ani słowa. Prawie chciała, żeby krzyknął lub coś powiedział. Około metr siedemdziesiąt wzrostu, oceniła wprawnym okiem. Średniej budowy ciała, szara bluza, dżinsy, czarne pantofle, białe skarpetki - białe skarpetki?? Rany, ale nochal. Wąsy. Oczy - z tej odległości nie potrafiła określić ich koloru, a nie miała zamiaru podejść na tyle blisko, żeby to sprawdzić. Duże dłonie, bardzo duże: twarz zaskakująco apatyczna i nieruchoma, biorąc pod uwagę dynamizm sytuacji, cały ten taniec po trawniku o siódmej czterdzieści pięć rano. A poza tym, czy nikt tego nie widzi, nie ma tu sąsiadów, czy co?! Megan otworzyła usta, żeby krzyknąć, tak głośno jak tylko potrafiła...

I wtedy zobaczyła, że napastnik upuścił paralizator i celował do niej z innego przedmiotu.

Nie poczuła nawet uderzenia akustyki. Kiedy się ocknęła, leżała na ziemi i nie mogła się ruszyć. To wszystko ośmieszało do pewnego stopnia całe jej szkolenie, dobre rady instruktora samoobrony. Drzwi do domu zamknięte na klucz, nie ma dokąd uciekać, nie ma się gdzie schować, już za późno.

Mężczyzna pochylił się nad nią, z miną, która zdradzała jednak lekkie zirytowanie, że dziewczyna narobiła mu tylu kłopotów i zaczął ją podnosić, sadząc, z zamiarem wzięcia jej na ręce i zanieśienia do samochodu, żeby ją gdzieś zabrać. Nigdy nie pozwól napastnikowi zabrać cię dokądkolwiek, powiedział jeden z instruktorów samoobrony, tonem bardziej alarmującym od każdego z pozostałych szkoleniowców, z którymi zetknęła się Megan. Jedyne powód, dla którego ktoś chce cię gdzieś zabrać, to po to, żeby cię uczynić zakładnikiem albo zgwałcić i zabić w ukryciu. Jeśli nie ma innego wyjścia, zmusz go, żeby to zrobił w miejscu publicznym. To może być okropne, ale lepsze niż śmierć.

Zrób coś, przemawiała w myślach do swojego gardła i płuc. Krzycz! Weź głęboki oddech i krzycz! Ale głęboki oddech nie chciał dać się wciągnąć do płuc, a krzyk zabrzmiał jak cichy kaszel. Istniał tylko w jej głowie, a Megan poczuła atak wściekłości i przerażenia, ale tylko na moment, ponieważ - ku jej zdziwieniu - krzyk rozlegał się teraz w powietrzu.

Zaalarmowany mężczyzna podniósł głowę w stronę ciemnego kształtu spadającego na niego niczym kamień z nieba. Jeszcze raz spojrział na Megan z obsesją w oczach i poruszył ręką.

A wtedy ciężko upadł na bok, częściowo zakrywając ją swoim ciałem. Usłyszała okropne stłumione uderzenie, kiedy jego głowa zetknęła się z podłożem. Ziemia była dość sucha, trawnik nieco podeschnięty, a gleba stwardniała.

Megan upadła na plecy i w jej polu widzenia znalazło się niebo. Nie mogła przekręcić głowy,

słyszała tylko ryk silnika, dźwięczący jej w uszach. I wtedy poczuła, że zaraz wybuchnie płaczem, nie ze strachu, ale ze szczęścia, ponieważ usłyszała wokół siebie kroki i kątem oka dostrzegła przepiękny mundur Zwiadowcy - czarny ze złotym paskiem po jednej stronie oraz lądujący helikopter policyjny.

I twarz kapitana Wintersa, zasłaniającego jej niebo i mówiącego do sanitariuszy: - Nic jej nie jest, dzięki Bogu, dostała trochę akustyką. Pomóżcie jej. A co do niego...

Spojrzał w kierunku zwężającego się obszaru pola widzenia Megan. - Oto nasz wykopywacz - powiedział Winters surowym i jednocześnie pełnym satysfakcji głosem.

- Zakujcie go w kajdanki.

Emocje opadły dopiero po kilku dniach. Megan spędziła dwa z nich w szpitalu - nie można ujść bezkarnie akustyce technicznej - a trzeci na rozmowach z pracownikami Zwiadowcy, którzy wraz z Wintersem i przybyłym z Nowego Jorku Leifem przyszli, żeby się z nią zobaczyć.

Wszyscy obchodzili się z nią jak z jajkiem, co pierwszego dnia nie przeszkadzało jej za bardzo, drugiego zaczęło powoli działać jej na nerwy, a trzeciego zirytowało ją do tego stopnia, że dobitnie dała to do zrozumienia kilku osobom, nie wyłączając Wintersa.

- Nic jej nie będzie - powiedział na odchodnym Winters do pielęgniarki. Odwrócił się jeszcze do Megan i grożąc jej palcem powiedział: - Ale w dniu, kiedy cię stąd wypiszą, chcę was oboje widzieć o dziesiątej rano w moim gabinecie.

- Ja będę w Nowym Jorku - powiedział z nadzieją w głosie Leif.

- A co, masz zepsuty komputer? Dziesiąta rano. I poszedł sobie.

Megan, usadowiona w wygodnym fotelu w kącie pokoju - nareszcie pozwolono jej wstać z łóżka - powiedziała do Leifa: - Widziałeś się dziś rano z ludźmi z Zwiadowcy.

- Aha.

- Podali ci jakieś szczegóły, na temat sposobu w jaki ich zdaniem pan Simpson, Wallace, czy Duvalier - okazuje się, że używał kilku nazwisk - nabierał system, każąc mu wierzyć, że w nim jest, kiedy go nie było i na odwrót?

Leif potrząsnął głową. - Przyznam ci się, że nie jestem za dobry w techniczne klocki. Jeśli dobrze zrozumiałem, zdobył drugi implant, który nauczył udawania, że jest podłączony do jego ciała. Nie pytaj mnie, jak to zrobił... w każdym razie Zwiadowca jest tym bardzo zainteresowany. Ten implant wgrywał „profesjonalny program” - standardowy program przystosowany do interaktywnego systemu.

Leif oparł się o parapet. - To bardzo stare oprogramowanie. Słyszałaś kiedyś o programie, który nazywa się Salon? Mój wujek znał jego twórcę.

Megan potrząsnęła przecząco głową.

- To skrót od „Salonowiec” - wyjaśnił Leif. - Był unowocześnioną formą jednego ze starych programów testów Turinga, które miały udawać człowieka, przynajmniej na tyle dobrze, żeby dało się z nimi porozmawiać. Salonowiec miał cię przekonać, że prowadzisz z kimś niezobowiązującą konwersację. Simpson, czy jak mu tam, opracował na własne potrzeby inteligentny program dla Sarxos, dzięki któremu jego postaci potrafiły prowadzić całkiem rozsądne dialogi... i nie dać się przyłapać na oszustwie. Nic dziwnego, że mu się udało. Kiedy się jest w Sarxos, człowiek automatycznie zakłada, że rozmawia albo z prawdziwym graczem albo ze sztucznym tworem gry... a te ostatnie czasem dziwnie się zachowują. W końcu nawet w Sarxos zdarzają się błędy w oprogramowaniu. I wygląda na to, że nasz koleżka miał cztery takie programy, które czasem uruchamiał jednocześnie. Piąte „ja” to był on sam. Pojawiał się w różnych miejscach, pomagał swoim postaciom, żeby mieć pewność, że wszyscy biorą je za prawdziwe... podczas, gdy on załatwiał swoje interesy: był Lateranem, albo kolejno pozbywał się ludzi, którzy jego zdaniem wchodzili mu w drogę.

- Domyślają się, dlaczego tak gwałtownie zaatakował Elblai?

Leif zaprzeczył ruchem głowy. - Policyjni psychiatrzy już z nim rozmawiali, ale ja myślę, że Elblai wywierała na niego zbyt silną presję. W efekcie się załamał. I będąc w takim stanie, nadal grał. Shel też na niego naciskał, ale nie aż tak jak Elblai. Gość po prostu nie wytrzymał nerwowo. Ale był bardzo ostrożny, bardzo sprytny. Przez dłuższy czas zacierał za sobą ślady... okazuje się, że mogło to trwać o wiele dłużej niż cztery miesiące. - Z miny Leifa jasno wynikało, że nie rozumie jego postępowania. - Wątpię, czy opinia psychiatrów pomoże mu w zbliżającym się procesie. Ucieczka z miejsca wypadku, usiłowanie zabójstwa, kilka włamań i zniszczenia mienia, i w twoim wypadku

usiłowanie morderstwa... Nie sądzę, żebyśmy go w najbliższym czasie spotkali w Sarxos. Ani gdziekolwiek indziej.

Leif skrzyżował ramiona i odwracając się od okna spojrzął na Megan. - W każdym razie cieszę się, że nic ci się nie stało - powiedział.

- Tak, ale gdyby nie ty, byłoby ze mną krucho.

- Bałem się, że jest już za późno.

- Ja też - powiedziała Megan. - Posłuchaj... zapomnijmy już o tym. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- Jakie?

- Spotkanie pojutrze - powiedziała Megan - o dziesiątej rano...

Kiedy nadeszła pora spotkania, Megan i Leif siedzieli wirtualnie w gabinecie Jamesa Wintersa; ale ich fizyczna nieobecność wcale nie poprawiała im samopoczucia.

Na biurku kapitana panował absolutny porządek. Przed nim leżały w zgrabnych plikach wydruki komputerowe, a obok kilka dyskietek do przechowywania danych. Winters mrożącym wzrokiem spojrzął na nich znad dokumentów.

- Muszę z wami zamienić parę słów - powiedział - na temat odpowiedzialności.

Obydwoje milczeli jak zakłęci. Czuli, że nie jest to najlepszy moment do prezentowania swojej argumentacji.

- Rozmawiałem z każdym z was oddzielnie na ten temat - powiedział. - Pamiętacie?

- Hm, tak - odpowiedziała Megan.

- Tak - zawtórował jej Leif.

Winters utkwił świdrujące spojrzenie w Megan. - Jesteś pewna, że pamiętasz tamtą rozmowę? Bo twoje zachowanie sugerowałoby, że zapadłaś na głęboką amnezję. Chyba się nie oprę, żeby nie poradzić twoim rodzicom zabrania cię do kliniki w Waszyngtonie w celu, który mój ojciec w zamierzonych czasach określiłby jako „zbadanie głowy”. Gdyby się okazało, że cierpisz na jakąś chorobę wyjaśniającą twoje zachowanie, bardzo ułatwiłabyś mi życie.

Megan była czerwona ze wstydu.

- Nie? Tego się obawiałem. Czemu nie posłuchałaś mojego polecenia? - spytał Winters. - Fakt, nie był to rozkaz, bo nie jesteście pod moim dowództwem... ale w Zwiadowcy polecenia od starszego rangą oficera wydawane Zwiadowcy Zwiadowcy mają zazwyczaj jakieś znaczenie.

Megan spuściła wzrok i przełknęła. - Myślałam, że sytuacja nie jest tak niebezpieczna, jak pan to przedstawił - powiedziała, podnosząc wreszcie głowę. - Sądziłam, że ja i Leif damy sobie z tym radę.

- A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że chcesz po prostu świetnie wypaść?

- Hm. Tak. Przyszło.

- A tobie? - spytał Winters Leifa.

- Tak - powiedział Leif - sądziłem, że sobie poradzimy. I pomyślałem, że byłoby super, gdybyśmy to załatwili sami.

- A więc - Winters nie spuszczał go z oka - nie braliście raczej pod uwagę, żeby oszczędzić nam niebezpieczeństwa albo kłopotów.

- Nie.

- Może czasu - powiedziała Megan cichutko.

- A chwały? - spytał niewinnym tonem Winters.

- Odrobinę - przyznał Leif.

Winters odchylił się na krześle. - Nie można powiedzieć, żebyście się wykręcali od odpowiedzi. Cóż, miałem czas, żeby przyjrzeć się waszemu rejestrowi gry. Uparte z was sztuki. I muszę przyznać, że da się w waszym działaniu wyczuć wiele poświęcenia. Nie chcieliście popuścić, co?

- Nie mogłam zapomnieć o tej sprawie - przyznała Megan.

- Dostaliśmy zadanie do wykonania - powiedział spokojnie Leif. - Kiedy pan z nami rozmawiał... jeszcze go nie zakończyliśmy. A chcieliśmy go zakończyć.

Winters siedział nieruchomo, wpatrując się w jakiś dokument, leżący przed nim na biurku. Zaczął przerzucać jego strony, a było ich sporo. - Przełożeni naciskali nas - powiedział - żebyśmy się natychmiast pozbyli ze Zwiadowców waszej kłopotliwej dwójki. Wasze beztróskie zachowanie i lekceważenie przełożonych, jakie zaprezentowaliście w ciągu kilku ostatnich dni, to nie najlepszy przykład dla reszty Zwiadowców. Ponieważ nowiny szybko się rozchodzą, na to nie ma rady, istnieje niebezpieczeństwo, iż inni młodzi i niedoświadczeni Zwiadowcy, dojdą do wniosku, że taki model zachowania jest dopuszczalny. Udało nam się zminimalizować szkody, ale... - Podniósł wzrok do nieba. - Ta mała scenka na trawniku przed twoim domem, Megan, niespecjalnie nam pomogła. Prędzej czy później ludzie poznają szczegóły sprawy, w której braliście udział. Dla waszego dobra mam nadzieję, że nie spotkają was prawne konsekwencje. Kiedy postępujecie zgodnie z naszymi poleceniami, potrafimy was do pewnego stopnia chronić. Kiedy nie...

Winters znów podniósł wzrok, jakby prosił niebios o pomoc i pokręcił głową. - Na razie muszę postanowić, co z wami zrobić... ponieważ w tej sprawie naciska mnie wiele stron. Pewni członkowie w tej organizacji twierdzą, iż analiza, która doprowadziła was do waszych wniosków, to był świetny przykład myślenia lateralnego i że chętnie popracują z wami w przyszłości. A jeśli was wyrzucę, to ta opcja stanie się bardzo trudna do zrealizowania. Z drugiej strony, inni ludzie potrząsają głowami i mówią: „Wyrzucić ich do diabła!”. Więc co mam zrobić? Jakies sugestie? Spojrzał na Leifa, który otworzył usta, ale zaraz je zamknął z powrotem. - Nie krępuj się - zachęcił go Winters. - Nie wiem, jak moglibyście się pograć jeszcze bardziej.

- Proszę nas zatrzymać - powiedział Leif - ale na okresie próbnym.

- A jak on twoim zdaniem ma wyglądać?

- Nie jestem pewien.

- A ty? - zwrócił się Winters do Megan. - Masz jakieś propozycje.

- Nie, ale mam pytanie. - Przełknęła ślinę. - Co dzieje się z agentami Zwiadowcy, kiedy zrobią coś takiego?

- Zazwyczaj zostają usunięci dyscyplinarnie - powiedział ponuro Winters. - Jedyne wyjątkowe okoliczności łagodzące są w stanie ich uratować. Czy w waszej sprawie przychodzą wam jakieś do głowy?

- Może to, że zdemaskowaliśmy jednego z groźniejszych przestępców w trzydziestoletniej historii rzeczywistości wirtualnej? - spytał Leif z niewinną miną.

Winters spojrzał na niego przeciągle i pozwolił sobie na niechętny uśmiech. Leif dostrzegł go i natychmiast poczuł, że wszystko będzie dobrze. Niezbyt przyjemnie... ale dobrze.

- To na wasze szczęście jest prawdą - powiedział Winters. - Dotychczas cały system wirtualny opierał się na przekonaniu, że wszystkie operacje wykonywane na odległość przez implant są prawdziwe. I nagle ta teoria runęła. Odczują to wszystkie dziedziny związane z Siecią. Trzeba będzie przejrzeć wszelkie protokoły autoryzacji i uodpornić je na taki rodzaj działalności przestępczej, jaki udało się opracować waszemu Sarxoskiemu przyjacielowi. Kto mu pomagał... tego nie wiemy. Sarxos stało się poligonem doświadczalnym dla technologii, którymi interesują się różne kraje. Kiedy ktoś zaczął rozrabiać akurat w tej grze... rozdzwoniło się wiele alarmów. I długo jeszcze będą dzwonić. - Kapitan przerwał na chwilę. - Ale zostawmy to. Cały ten incydent zaalarmował wielu ludzi, którym wydawało się, że mają dobrze zabezpieczone systemy. Sarxos jest grą, w której zwracano baczną uwagę na ochronę zastrzeżonych danych. Wielu ludzi zaszokowała wiadomość, że dokonano tam takiego sabotażu, wprowadzono błędne dane, i że trwało to miesiące... być może wiele miesięcy, zanim zaczęto coś podejrzewać. Jeśli można było zrobić to w Sarxos, to można to powtórzyć w każdym z systemów ochrony zastrzeżonych informacji.

W systemach bankowych, systemach bezpieczeństwa, „inteligentnych” systemach obsługujących różne dziedziny bezpieczeństwa narodowego krajów na całym świecie. Systemach kontroli broni... - Winters westchnął.

- Szkoda nawet mówić o tym, ile trzeba będzie od nowa programować. Tylko, że dzięki wam, musimy się teraz tym zająć. - Uśmiechnął się krzywo. - Pewnie w tym momencie przeklina was tylu menedżerów i analityków systemowych oraz specjalistów od oprogramowania i sprzętu, że świat nie widział. Ci sami ludzie was też błogosławią. Gdybyście teraz mieli umrzeć, trudno wyczuć, jak by was ocenili.

Oparł się wygodniej na krześle. - A co do samego... Sarxos... - Wziął do ręki jedną z kartek z samej góry pliku dokumentów, spojrzał na nią i odłożył z powrotem na miejsce. - Sarxos prawdopodobnie ocalało wyłącznie dzięki wam. Od dawna jest źródłem wielkich zysków dla swojej macierzystej firmy, a ataki na graczy oraz niemożność złapania winowajcy zaczynały negatywnie odbijać się na rynkowej sytuacji firmy. Prawo rynku głosi „Bądź czujny, kiedy są chciwi, uważaj, kiedy się boją”. Udziałowcy Sarxos się wystraszyli i rynek zaczął tracić zaufanie do firmy. Ich notowania giełdowe znacznie spadły na całym świecie. Sam twórca gry, człowiek nie bez wpływów politycznych, dzięki krezusowej fortunie, poprosił nas, żebyśmy wykazali w stosunku do was maksimum dobrej woli. Prezes macierzystej firmy też wstawiał się za wami, co jest ewenementem w przypadku człowieka, o którym mówi się, że nie kiwnąłby palcem, gdyby wilk chciał pożreć jego

babkę, chyba że miałyby koszyk pełen opcji giełdowych. Również policja w Bloomington jest wam bardzo wdzięczna, ponieważ wasze zeznania doprowadziły ich prosto do wynajętego samochodu, użytego do zepchnięcia z drogi tej kobiety. FBI też jest szczęśliwe, bo ten sam podejrzany przyznał się do jeszcze kilku przestępstw w innych stanach - usiłuje wypracować sobie jakąś ugodę z prokuratorem, ale nie wiem, czy to mu coś da. Parę innych organizacji, o których ani wy, ani ja nie powinniśmy wiedzieć, też się cieszy, z powodów których nie mogę lub nie mam prawa wyjawiać. I ogólnie rzecz biorąc, za waszą sprawą planetę ogarnęła fala powszechnej życzliwości...

Teraz zaczął nieco oschlejszym tonem. - To nieco osobliwe. Ludzie, którzy normalnie nie podaliby ci nawet godziny, teraz proszą nas, żebyśmy postąpili z wami łagodnie. - Winters odchylił się na krześle i spojrzał na nich. - Szczerze mówiąc albo nie rozumieją, co dokładnie zrobiliście, albo dlaczego to zrobiliście... tak czy inaczej, niektórzy z nich mają rację.

Leif spojrzał ukradkiem na Megan, ale ona siedziała bez ruchu.

- Biorąc to wszystko pod uwagę - ciągnął Winters - szczerze wątpię, żeby złożenie was na ołtarzu ślepego posłuszeństwa komukolwiek wyszło na dobre. Wolałbym raczej pozostawić wam otwarte drzwi do przyszłej być może współpracy z - co to był za wyraz - z „dorosłymi”?

Megan poczuła się bardzo nieswojo. Leif też. - Czyta nam pan w myślach? - spytała Megan gwałtownie.

Winters spojrzał na nią, uniósł jedną brew i powiedział. - Nie za często. Boli mnie od tego głowa. Wystarczy mi wyraz waszych twarzy. A co do reszty...

Winters odsunął od siebie raport. - Jeśli kiedyś dane wam będzie pracować z „dorosłymi” i dożyć tego błogosławionego stanu, będziecie musieli zrozumieć, że w działaniu w zespole nie zawsze chodzi o to, żeby mieć rację i że pojęcia „mieć rację” i „bronić słusznych racji” tak bardzo się od siebie nie różnią. Pomylenie obu pojęć może was kosztować życie lub życie waszego partnera, czy też przypadkowej niewinnej osoby. - Spojrzał na Megan. - A co by się stało, gdyby w trakcie tego ataku pojawił się twój ojciec? Albo natknął się na niego jeden z twoich braci?

Megan znów wbiła wzrok w podłogę, czując, jak pali ją twarz.

- No dobrze - powiedział Winters. - Nie zamierzam rozwodzić się na tą możliwość. Wygląda na to, że sama zdajesz sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji. Ta sama kwestia odnosi się też do ciebie. - Spojrzał na Leifa. - Byłeś drugi na jego liście. Miał adres twojej szkoły. Łatwo by cię zlokalizował. I albo próbowałby cię stamtąd porwać, co by mu się prawdopodobnie udało, a wtedy znaleźlibyśmy cię w jakimś przydrożnym rowie albo w rzece, albo postanowiliby załatwić to na miejscu. Potrafiłby to zrobić na sto sposobów i w wielu przypadkach mógł zginąć któryś z twoich szkolnych kolegów lub koleżanek. Odpowiedzialność - powiedział Winters - spadłaby na ciebie.

Leif też nagle bardzo zainteresował się dywanem. - Niewykluczone, że kiedyś tego doświadczycie - powiedział Winters. - Jedyne, co mogę wam ofiarować, to emocje, które teraz wami targają: wstyd, wyrzuty sumienia, strach. Zapewniam was, że są nieskończenie lepsze od świadomości, że z powodu waszej niesubordynacji ginie na służbie jeden z waszych współpracowników. Ginie bezsensowną śmiercią albo spotyka go coś gorszego niż śmierć.

Wszelki ruch w jego gabinecie jakby zamarł na chwilę. - A skoro już o tym mowa - powiedział

Winters pochylając się w ich stronę. - Wasza przyjaciółka Ellen...

- Elblai! Jak się czuje? - spytała Megan.

- Dziś rano odzyskała przytomność - powiedział Winters. - Przekazano jej nowiny na temat ostatnich wydarzeń - podobno nalegała, żeby ją o wszystkim poinformować. Lekarze twierdzą, że wyzdrowieje. Najwyraźniej jednak jest wściekła, z powodu jakiejś bitwy, która ją ominęła z tym... - Pochylił się nad biurkiem i spojrzał na kolejny dokument z pliku. - Człowiekiem o imieniu „Argath”. Który, nawiasem mówiąc, nie ma nic wspólnego z całą sprawą.

- Tak też sądziliśmy - powiedział Leif.

- Wiem. To zresztą ciekawe, biorąc pod uwagę, że dysponowaliście znikomą liczbą sprawdzonych informacji. Ale przecucia grają w naszej pracy tak samo dużą rolę jak sprzęt. Kierowanie się przecuciami, pod warunkiem, że trzyma się je na krótkiej smyczy, to talent, z którego chętnie korzystamy.

- Dlaczego to zrobił? - spytała Megan.

- Kto? A, chodzi ci o Simpsona, człowieka o wielu nazwiskach?

Winters odchylił się na swoim fotelu. Nagle, bez żadnej zapowiedzi w kącie gabinetu pojawił się obraz człowieka siedzącego na krześle. Człowiek ten miał na sobie więzienne ubranie - prosty w kroju niebieski drelich, a na twarzy to samo beznamiętne spojrzenie, jakiego doświadczyła Megan, kiedy celował do niej z broni. Z trudem powstrzymała drżenie.

- Nigdy nie wygrywam - powiedział więzień beznamiętnym tonem, pasującym do jego miny - i Megan nagle poczuła ulgę, że nic do niej nie powiedział w czasie ataku. Brzmiał jak holograficzny robot. - To znaczy, przedtem nigdy nie wygrywałem. A teraz, w Sarxos... wygrywam cały czas. Nikt nie był taki cwany jak ja. Nikt nie zna się tak na strategii jak ja.

- Zwłaszcza, że posługujesz się tyloma różnymi postaciami - odezwał się spokojny głos spoza kadru, należący prawdopodobnie do psychiatry. Albo programu psychiatrycznego, pomyślała Megan.

- A jak inaczej mógłbym być tyloma ludźmi naraz? Jak inaczej wszyscy oni mogliby wygrywać? Nie tylko ja - kontynuował Simpson. - Ja mogłem być główną postacią... ale zwycięstwo, zwycięstwo ma wielkie znaczenie. Mój tato zwykł mawiać „Nie ważne jak grasz; ważne czy wygrywasz czy przegrywasz”. A potem umarł... - Jedyne w tym momencie jego twarz zdradzała jakieś emocje: pojawiła się na niej na krótko wściekłość, tak pozbawiona dojrzałości i doświadczenia, że można by przysiąc, iż ma się do czynienia z trzylatkiem, który zaraz rzuci się na podłogę z histerycznym płaczem. Tylko, że ten trzylatek dobiegał czterdziestki. - Wygrałem wiele razy - powiedział spokojnym już głosem, z twarzą znów pozbawioną wyrazu - i dalej bym wygrywał. Wszyscy byśmy wygrywali - wszyscy ludzie, którzy są we mnie. I znów wygram, któregoś dnia, mimo że na razie wypadłem z gry. Prędzej, czy później znów wygram...

Człowiek na krześle znikł, a Megan i Leif spojrzeli na siebie czując mieszaninę politowania, strachu i obrzydzenia.

- Określenie, że „komuś brak piątej kleпки” wyszło już z użycia - powiedział Winters - w przeciwnym wypadku ten człowiek idealnie by do niego pasował. Terapeuci spędzą sporo czasu na

docieraniu do źródła jego problemów... ale moim zdaniem cierpi on na rozszczępienie osobowości, połączone z niezdolnością odróżniania rzeczywistości od gry... oraz zrozumienia, że gra służy do zabawy.

W pomieszczeniu znowu zapadła cisza. Winters przerwał ją westchnieniem. - No dobrze, moi drodzy. Nie zamierzam wyrzucić was ze Zwiadowców, przede wszystkim dlatego, że nie cierpię marnowania nieoszlifowanych talentów. Podkreślam przymiotnik „nieoszlifowanych”.

Spojrzał na dwójkę swoich podopiecznych, którzy -czerwoni ze wstydu -ponownie wbili wzrok w podłogę. Leif jednak zaraz podniósł wzrok. - Dziękujemy.

- Właśnie - dodała Megan.

- A co do reszty - jeśli w najbliższej przyszłości znajdziemy zadanie odpowiednie dla waszych specyficznych uzdolnień do wtrącania nosa w nie swoje sprawy, nie przyjmowania do wiadomości słowa „nie”, denerwującego uporu i pokręconego sposobu rozumowania... - Uśmiechnął się. - To osobiście was o takim zadaniu powiadomię. A teraz znikajcie stąd i przygotujcie się do konferencji prasowej. I lepiej zachowujcie się jak mali grzeczni Zwiadowcy Zwiadowcy albo Bóg mi świadkiem, że... - Westchnął. - Nieważne. Widzicie, co przez was mam? Szarpiecie mi nerwy. No już, zmykajcie stąd.

Wstali. - Ale zanim wyjdziecie - powiedział Winters - musicie wiedzieć jeszcze jedno. Nie ma nic gorszego niż przekonanie, że kłamstwo jest prawdą. Pomyślcie o tym ilu paskudnych kłamstw oszczędziliście całemu światu. Nawet jeśli wszystkie inne sprawy źle zrozumieliście i źle przeprowadziliście... to z tej jednej rzeczy możecie być dumni.

Odwrócili się i wyszli rzucając sobie ukradkowe uśmiešky... tak, żeby nie widział ich Winters.

- Aha, i jeszcze jedno.

Zatrzymali się w pół Kroku i spojrzeli za siebie. Winters kręcąc głową spytał: - Co do licha znaczy Balk Śruba?

W pokoju bez okien siedziały trzy Garnitury i patrzyły po sobie.

- Nie udało się - powiedział człowiek siedzący u szczytu stołu.

- Udało się - zaprzeczył drugi mężczyzna, próbując ukryć rozpacz w głosie. - Zabrakło kilku dni. Pierwsza informacja o ataku, nagłośniona przez media, wpłynęła bardzo negatywnie na notowania firmy. Jeszcze parę godzin i następnych ataków, kolejne informacje - wszystko tak drastycznie wpłynęłoby na ich notowania, że musieliby się wycofać z rynku. Ludzie tłumnie zaczęliby uciekać z ich środowiska. A co najważniejsze - technologia się sprawdziła.

Po pierwsze - powiedział mężczyzna u szczytu stołu. - Teraz już o niej wiedzą. Miała działać i nie dać się wykryć. Teraz to głośna sprawa. Każdy, kto o niej usłyszy, natychmiast przeszuka swoją bazę danych w poszukiwaniu dowodów nieobecności lub postaci zastępczych wśród jej użytkowników. Otwierały się dla nas drzwi do wielkich możliwości... ale teraz zostały zamknięte.

W pokoju zapadła cisza. - Cóż - odezwał się mężczyzna, który daremnie starał się nie okazywać rozpaczy. - Jutro rano znajdziesz na biurku odpowiednią dokumentację.

- Nie czekaj do rana. Ma tam być za godzinę. Sprzątnij swoje biurko i wynoś się. Jeśli znikniesz teraz będę miał wymówkę, kiedy jutro rano pojawi się tutaj Tokagawa.

Trzeci mężczyzna w garniturze wstał i wyszedł w wielkim pośpiechu.

- I co teraz? - spytał drugi mężczyzna.

Pierwszy wzruszył ramionami. - Poszukamy innego sposobu - powiedział. - Wielka szkoda. Ten miał wielki potencjał. Ale zainspirował nas do szukania innych dróg ataku.

- Mimo to... szkoda, że ten plan się nie powiódł. Można by dzięki niemu prowadzić wojny. Prawdziwe wojny...

- Prawdziwe tylko w zakresie, w jakim pozwalałyby na to pakiet kontrolny - powiedział pierwszy mężczyzna z ledwo dostrzegalnym, lodowatym uśmiechem. - Dowiedliśmy, że obecna technologia nie dorasta do naszych potrzeb... nie jest wystarczająco bezpieczna, żeby przekonać naszych klientów do używania jej zamiast bardziej konwencjonalnych pól walki. To niekoniecznie negatywny aspekt sprawy, ponieważ kolejne odkrycia technologiczne będą uważane za doskonale chronione. A to błąd. Znow się tam dostaniemy, zbudujemy tylne wejście. Tym razem od samego początku procesu, a nie od połowy. Ta porażka czegoś nas nauczyła. A ci z nas, którzy nie wyciągnęli z niej nauki będą zmuszeni do zabrania swoich rzeczy z biurka. - Spojrzał na drugiego mężczyznę. - A ty gdzie będziesz?

- Jeśli pozwolisz - powiedział drugi mężczyzna wstając - muszę zadzwonić w pewne miejsce.

Gdy wyszedł, pierwszy mężczyzna zatonął w myślach. Cóż, trudno. Następnym razem... ponieważ co wymyślił człowiek inny człowiek może rozpracować i zniszczyć. Zawsze istnieje sposób na oszustwo, wystarczy dobrze poszukać.

Następnym razem na pewno...

* * *

Legenda głosi, że gdzieś na obrzeżach Sarxos istnieje tajemne miejsce. Ma wiele nazw, ale najczęściej posługiwano się najkrótszą. Był to Dom Roda.

Niektórzy sarxończycy, stojąc na najdalej wysuniętych na północny wschód szczytach Północnego Kontynentu, twierdzili, że przy dobrej widoczności można było wypatrzeć to miejsce na zachodzie - pojedynczą wyspę, strzelisty górski szczyt, osamotniony pośród wzburzonych fal Morza Zachodzącego Słońca. Krążyło wiele opowieści o tym miejscu, chociaż wątpliwe, żeby ktoś tam kiedyś był. Niektórzy mówili, że odchodzą w to miejsce dobre dusze i łączą się na wieczność z Rodem; według innych Rod spędzał tam weekendy i patrzył na świat, który stworzył.

Niewielu znało prawdziwe wersje tych historii. Ale Megan i Leif od niedawna należeli to garstki takich ludzi.

Był to zamek. Tego akurat nie dało się uniknąć. Ale na tym podobieństwo się kończyło, ponieważ

miejsce wyglądało tak, jakby zaprojektował je nawiedzony architekt, który miał koszmar na temat zamku Neuschwanstein i usiłował wykonać jego kopię, krzyżując style wczesno-asyryjski i późne rokoko. Otaczały go zielone trawniki ozdobione stylowymi klombami pełnymi kwiatu złotogłowia. Nie zabrakło tam też małej, białej plaży, gdzie można było zacumować łódź. Mówiono, że lubią się tu zatrzymywać Elfy w drodze na Zachód. - Ale na Prawdziwy Zachód - wytłumaczył rozbawiony Rod. - Ten jest Fałszywym Zachodem. Jeśli chcecie się dostać do prawdziwego, musicie jechać dalej swoją drogą, aż skończy się planeta, potem skręćcie przy drugim księżycu w prawo i dalej prosto - nie można go przeoczyć.

Nad zamkiem górowała strzelista wieża z balkonem od wschodniej strony. Wszystkie okna zamku wychodziły na wschód. Leżało tam całe Sarxos, otulone chmurami góry i morza, jeziora, odległe promienie słońca odbijane przez chmury o zachodzie...

- Ładny widok, prawda? - usłyszała Megan głos za plecami.

Odwróciła się i kiwnęła głową w stronę Roda, który z puszką coli w ręku wyglądał oknem ponad jej głową.

- Mamy tu piękne zachody słońca - powiedział - ale można je oglądać tylko z wieży.

- Z przyczyn osobistych? - spytała Megan.

Rod wyglądał na zrezygnowanego. - Może dla architekta. Moja była żona projektowała to miejsce. Nazwała je ciekawostką krajobrazową. Ja nazywam je dziwołagiem. Chyba chciała mi zapewnić odpowiednią ilość ćwiczeń.

- Czy to wysoko?

- Tradycyjna liczba stopni - powiedział Rod. - Trzysta trzydzieści trzy. Dlatego zamontowałem tu windę. - Uśmiechnął się triumfalnie.

Megan roześmiała się i odwróciła, żeby spojrzeć na ludzi zebranych w sali na parterze. Nikt nie odmówił przyjęcia na takie przyjęcie, jeśli tylko miał czas - a każdy go znalazł. Nie brakowało tu „tych, którzy odeszli”, czyli graczy zmarłych w ten czy inny sposób podczas gry i wszystkich wykopanych. Niedaleko bufetu stał Shel Lookbehind i z zapalem dyskutował kwestie trzeciego świata z Allą. Była też Elblai, ucinająca przyjacielską pogawędkę z Argathem, którego widziała na żywo po raz pierwszy. - Jestem po prostu drogą honorową nieobecną wśród żywych - mówiła wesoło - i wierz mi, nie mam nic przeciwko temu...

Na przyjęciu bawiło się też kilku szczęściarzy z Sarxos, którzy nadal żyli. Niektórzy nie wiedzieli do końca, dlaczego są tu Megan i Leif, ale nie wypadało się im dopytywać. Współpracownicy Roda i jego przyjaciele znali prawdę lub się jej domyślali, ale trzymali buzie na kłódkę.

- Nie mogę nagłośnić tej sprawy - wyjaśnił Rod Leifowi i Megan. - Wiecie dlaczego. Pewne osoby nie byłyby z tego zadowolone. Ale mimo to... chciałem wam jakoś podziękować.

Teraz Megan przeszła na drugi koniec pomieszczenia, gdzie stali jej rodzice z drinkami i prowadzili ożywioną rozmowę z rodzicami Leifa. Kiedy do nich podeszła, matka uśmiechnęła się do niej o wiele szczerzej, niż można by się spodziewać po rozmowie, którą odbyły poprzedniego dnia. -

Więc o to chodziło, kochanie.

- Może nie do końca, mam. Ale... właśnie tym ludziom pomagaliśmy.

- Cóż. - Matka pogłaskała córkę po włosach czułym gestem, który sprawił że Megan natychmiast poprawiła fryzurę. - Wygląda na to, że zrobiłaś coś dobrego...

- O wiele więcej - wtrąciła Elblai, podchodząc z tyłu do Megan ze swoją siostrzenicą. Obydwie się uśmiechały.

- Chciałam ci jeszcze raz podziękować za to, co zrobiłaś. Rzadko spotyka się ludzi, którzy wyciągają pomocną dłoń do innych.

- Musiałam - powiedziała Megan. - Obydwoje musieliśmy to zrobić. - Spojrzała w kierunku Leifa, rozpaczliwie szukając wyjścia z tej kłopotliwej sytuacji.

Ale Leif stał tylko i kiwał głową.

- Może być pani dumna z córki - powiedziała Elblai, a siostrzenica Ellen odezwała się do Megan: - Wciąż mi głupio, że nie uwierzyłam wam tamtego wieczoru. To by nam oszczędziło wielu kłopotów.

- Grałaś zgodnie z Regułami - odpowiedziała Megan.

- Tak to już jest. Reguły same się sobą zajmują.

- To prawda - zgodziła się Elblai. - Jedliście już sushi, zawijane jak omleciki? Są naprawdę dobre.

- Omleciki? - spytał ojciec Megan, posłał jej aprobujące spojrzenie i pomaszerował do bufetu.

Megan poszła za nim. - Tato...

- Tak?

- O czym ty właściwie teraz piszesz?

Uśmiechnął się. - To historia handlu przyprawami. Nie domyśliłaś się?

- Niemożliwe! Zmyślasz!

- No jasne, że zmyślam. To moja mała zemsta. - Uśmiechnął się szeroko. - Posłuchaj Megan. Cieszę się, że to, co robiłaś w czwartek było naprawdę ważne. Inaczej musiałbym palnąć ci kazanie. Ale od tej chwili masz obowiązek mówić mi pierwszemu o sytuacjach, w których ktoś może do ciebie strzelać, dobrze? - Minę miał jednocześnie zagniewaną i zaniepokojoną, więc nie potrafiła się na niego rozżłościć.

- Och, dobrze, dobrze tato.

- Cieszę się. A wracając do mojej książki, przeczytasz ją, jak skończę. W przyszłym tygodniu. - Odwrócił się z uśmiechem. - Nauka cierpliwości ci nie zaszkodzi.

- Włamię ci się do systemu.

- Serdecznie zapraszam do ataku - powiedział z szatańskim uśmieszkiem i poszedł przyjrzeć się bliżej omlecikom.

Megan podeszła do Leifa, który stał wyglądając przez okno. - Chcesz wejść na wieżę?

- Jasne, chyba wszyscy już tam byli.

Poszli w kierunku windy. Gdy dojechała na miejsce, znaleźli się w małym, okrągłym pomieszczeniu, które nie łączyło się w żaden widoczny sposób ze spiczastym szczytem wieży. Na zachodzie migotały ostatnie promienie słońca. Na wschodzie nad Sarxos wznosił się powoli duży, jasny księżyc. Drugi księżyc pojawił się z boku i zaczął systematycznie wznosić się na tle pierwszego wyżej na niebo.

Gdzieś w oddali księżycowa poświata odbijała się od ośnieżonych powierzchni północno-wschodnich gór. Nad nimi niczym fajerwerki zaczęły rozbłyskiwać gwiazdy.

Z dołu rozległy się „achy” i „ochy”.

- Hej - odezwał się wesóły głos. - To moje gwiazdy i mogę je wysadzić w powietrze, jeśli zechcę. Zresztą, rano zaczynają świecić od nowa.

Daleko na wschodzie pojawiła się skrzydlata postać. Stawała się coraz większa i większa, aż zrobiła się nieprawdopodobnie wielka. - Co to jest? - zdziwiła się Megan.

Leif potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od dziwnego kształtu. Stwór zbliżał się do nich, łopocząc czarnymi błoniastymi skrzydłami, które na tle wieczornego krajobrazu wyglądały jak chmury burzowe. Przeleciał blisko wieży, obrzucając ich spojrzeniem. Poczuli się jakby patrzył na nich pojazd z bliskiej przestrzeni kosmicznej. Od jego lotu zerwał się huraganowy wiatr.

Wielkie rozpostarte skrzydła zaczęły opadać. Wiatr wzmógł się jeszcze na chwilę, a potem ustał, kiedy król-bazyliszek ostrożnie wylądował na szczycie góry, na której stał Dom Roda, upewnił się, że mocno się trzyma i złożył skrzydła. Dla lepszej równowagi owinał swój długi cienki ogon wokół szczytu góry i opuścił swoją sześciometrowej wysokości głowę, żeby utkwic melancholijne spojrzenie przekrwionych od słońca oczu w Megan i Leifie.

Z głębin morza wynurzył się łeb morskiego potwora na długiej poskręcanej w pętle szyi i zaryczał buńczucznie na intruza. Megan i Leif nie mogli wydusić słowa z podziwu i zdumienia, i tylko patrzyli po sobie bez słowa.

- Witajcie w moim świecie - odezwał się Rod gdzieś za nimi - w którym oszuści nigdy nie wygrywają.

Tym razem, pomyślała Megan... ale zachowała to dla siebie.

KONIEC